

Mity i opowieści Platona

1. **Opowieść Alkibiadesa o Sokratesie na ucztach u Agatona**
Uczta 214 b - 222 a (w: Platon, Uczta, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1957)
2. **Mowy Sokratesa przed sądem w Atenach**
Obrona Sokratesa 17 a - 42 a (w: Platon, Eutyfron. Obrona Sokratesa. Kriton, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
3. **Sokrates w celi śmierci w więzieniu**
Kriton 43 a - 54 e (w: Platon, Eutyfron. Obrona Sokratesa. Kriton, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
4. **Opowieść o śmierci Sokratesa**
Fedon 115 a - 118 (w: Platon, Fedon, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
5. **Mit o zbudowaniu przez boga świata i człowieka**
Timaios 27 b - 52 d (w: Platon, Timaios i Kritias, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1960)
6. **Mit o boskim pasterzu świata, o naprzemiennych obrotach świata: jednym razem kierowanych przez boga, innym razem samodzielnych i o spowodowanych tym zmianach kierunku upływu czasu**
Polityk 269 c - 274 d (w: Platon, Polityk, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1956)
7. **Mit o powstaniu ludzi z ziemi i o daniu im przez Zeusa wstydu i poczucia prawa, niezbędnych do tworzenia państwa**
Protagoras 320 c - 323 a (w: Platon, Protagoras, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
8. **Mit o powstaniu ludzi z ziemi**
Meneksenos 237 c - 238 b (w: Platon, Meneksenos, przekład Krystyna Tuszyńska-Maciejewska, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, seria: Biblioteka Przekładów z Literatury Antycznej nr 31)
9. **Mit o czterech synach ziemi**
Państwo 414b-415e (w: Platon, Państwo, tom I, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
10. **Mit o Atlantydzie**
Timaios 20 d - 25 e (w: Platon, Timaios i Kritias, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1960)

11. **Mit o Atlantydzie**
Kritias 108 c - 121 c (w: Platon, Timaios i Kritias, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1960)
12. **Mit o sądzie nad duszami po śmierci z opisem świata**
Fedon 107 b-115 a (w: Platon, Fedon, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
13. **Mit o sądzie nad duszami po śmierci i o wybieraniu przez nie dla siebie nowych losów**
Państwo 613 c ? 621 d (w: Platon, Państwo, tom II, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
14. **Mit o sądzie nad duszami po śmierci**
Gorgiasz 522 e - 527 b (w: Platon, Gorgiasz, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
15. **Mit o trzech składnikach duszy**
Państwo 588 b - 589 d (w: Platon, Państwo, tom II, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
16. **Mit o naturze duszy i miłości**
Fajdros 245 c ? 257 a (w: Platon, Fajdros, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
17. **Opowieść o trupach koło domu kate i o sprzecznych dążeniach ludzkiej duszy**
Państwo 439 d - 440 a (w: Platon, Państwo, tom I, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
18. **Mit o Erosie opowiedziany przez Arystofanesa podczas uczy u Agatona**
Uczta 189 c ? 193 d (w: Platon, Uczta, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1957)
19. **Mit o naturze Erosa, dwóch sposobach osiągania nieśmiertelności i o poznawaniu piękna, opowiedziany na uczcie u Agatona przez Sokratesa, który powtarza swoją rozmowę z tajemniczą Diotymą z Mantinei**
Uczta 201 c - 212 c (w: Platon, Uczta, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1957)
20. **Mit-alegoria jaskini, czyli o ideach i przedmiotach zmysłowych oraz o poznawaniu przez człowieka**
Państwo 514 a - 518 d (w: Platon, Państwo, tom I, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
21. **Metafora demokracji - okręt - a sytuacja filozofów w państwie**
Państwo 488 a - 489 c (w: Platon, Państwo, tom I, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)
22. **Mit o pierścieniu Gygesa. Glaukon, brat Platona, przeprowadza eksperyment myślowy, by zbadać naturę sprawiedliwości i stawia pod rozagę tezę, że może sprawiedliwość to nie jest dobro dla**

jednostki, bo każdy, gdzie tylko myśli, że będzie mógł krzywdy wyrządzać bezkarnie, tam je wyrządza

Państwo 358 e - 360 d (w: Platon, Państwo, tom I, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)

23. **Mit "egipski" o dziwnej naturze pisma i o mowie żywej**

Fajdros 274 b - 277 a (w: Platon, Fajdros, przekład Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958)

Opowieść Alkibiadesa o Sokratesie na uczcie u Agatona

Uczta

? No, to słuchajże ? powiada Eryksimachos ? myśmy tu, zanim się przyszedł, postanowili, żeby każdy kolejno w prawą stronę powiedział coś o Erosie, jak potrafi najładniej, i żeby to była pochwała. Otóż każdy z nas już swoje powiedział. A ty, skoroś nic nie powiedział, a już się wypił, powinieneś też coś powiedzieć, a jak skończysz, zadać coś Sokratesowi, co tylko zechcesz, a on to poda w prawą stronę i tak dalej.

? Ależ mój Eryksimachu ? powiada Alkibiades ? pięknie mówisz, ale trudno, żeby się pijany człowiek brał na słowa z trzeźwymi; nierówne siły;

a potem, zacna duszo, ty wierzysz w to, co Sokrates dopiero mówił, czy też wiesz, że jest właśnie na odwrót? Toż on by mi dopiero dał, gdybym przy nim nie jego chwalił, tylko kogo innego, czy to boga, czy człowieka!

? Nie gadałbyś też od rzeczy ? powiada Sokrates.

? Na Posejdona ? woła Alkibiades ? nie sprzeciwiaj mi się; ja i tak nie będę przy tobie nikogo innego chwalił!

? No, rób już tak, jak chcesz ? powiada Eryksimachos ? już chwal Sokratesa.

? Co mówisz? ? powiada Alkibiades. ? Mam się wziąć do niego i ukarać go wobec całego towarzystwa?

? Masz tego znowu ? powiada Sokrates ? a tobie co znowu strzeliło; będziesz mnie na żarty chwalił, czy co chcesz robić?

? Nic, powiem prawdę. A może nie pozwolisz?

? Ależ prawdę ? powiada ? pozwolę; proszę cię, mów!

? Poczekaj, zaraz zacznę ? powiada Alkibiades ? a ty tak rób: gdybym się gdzieś mijał z prawdą, zaraz mi przerwij, jeżeli wola, i powiedz, że to kłamstwo. Umyślnie nie będę wcale kłamał. Ale jeżeli tak sobie będę przypominał i mówił tu to, a tam owo, to się nie dziw, bo to dla mnie dziś niełatwa rzecz, tak wytrząść i po porządku wylizywać wszystkie twoje dziwactwa.

Otóż mam zamiar Sokratesa chwalić, moi panowie, i to chwalić go obrazową metodą. On będzie pewnie myślał, że to żarty, ale to będą obrazy naprawdę, nie na żarty. Otóż powiadam, że jest najpodobniejszy do tych sylenów siedzących w kapliczkach, których snycerze robią z pozytywką albo fletem w rękę; sylen się otwiera, a w środku posążki bogów. I powiadam, że podobny jest do satyra Marsjasza. Żeś do niego z twarzy podobny, Sokratesie, o to się nawet ty sam sprzeczać nie będziesz. Ale żeś i poza tym do niego podobny, to zaraz usłyszysz. Przede wszystkim jesteś szelma; może nie? Postawię świadków, jeżeli zaprzeczysz. Tylko na flecie nie grywasz, ale z ciebie muzyk jeszcze bardziej osobliwy niż tamten. Bo tamten wprowadził moc miał w ustach, brał jednak instrument do ręki i dopiero czarował słuchaczy, i dziś jeszcze czaruje ich każdy, kto jego rzeczy gra. Bo cały kunszt Olimposa to tylko nauka Marsjasza. A jego rzeczy mają to do siebie, że gdy je gra dobry flecista albo i marna flecistka, to ludzie w zachwyt wpadają i zaraz widać, komu potrzeba łaski bogów i święceń tajemnych; takie to są boskie rzeczy. A ty się tym tylko różnisz od niego, że bez instrumentów, samymi tylko słowami, robisz podobne rzeczy. Bo przecież kiedy kto z nas słucha, jak inny, nawet i dobry mówca, mówi o czym innym, to, powiem otwarcie, nikogo to nic nie obchodzi. Ale kiedy kto ciebie słucha albo twoje słowa tylko słyszy z drugich ust, choćby je nawet drugi marnie opowiadał, to czy kobieta słucha, czy mąż, czy młody chłopiec, wszystkich nas twoja mowa bierze i porywa.

Gdybyście nie myśleli, że już całkiem pijany, to bym wam przysięgł na to, jak na mnie jego słowa działały i jeszcze dzisiaj działają. Bo kiedy go słucham, serce mi się tłuc zaczyna silniej niż Korybantom w tańcu i lży mi się cisną do oczu, a widzę, że wielu innym tak samo. A przecież ja i Peryklesa słyszałem, i innych tęgich mówców, a nigdy czegoś takiego nie doznawałem, choć uważałem, że dobrze mówili; nigdy mi się dusza nie szarpała i nie rwała tak, jak się niewolnik z kajdan rwie. Ale ten Marsjasz już mnie tak nieraz nastrajał, już mi się nieraz zdawało, że żyć nie wart taki jak ja. I o tym, Sokratesie, nie powiesz, że to nieprawda. Ja jeszcze dziś czuję, że gdybym cię słuchać zaczął, to bym nie zapanował nad sobą, tylko bym na nowo czuł tak samo. Bo on na mnie wymusza to przeświadczenie, że ja, tyle braków mając, zamiast dbać o swoje własne niedostatki, sprawami Aten się zajmuję. Tedy sobie uszy gwałtem zatykam, jak przed Syrenami, i uciekam, że bym się tam przy nim nie zasiał i nie zestarzał na miejscu.

I ja wobec tego jednego człowieka doznałem B uczucia, o które by mnie nikt nie posądził, uczucia wstydu. Ja się jego jednego wstydzę.

Bo ja doskonale wiem i czuję, że go nie potrafię zbić; ja nie potrafię wykazać, że nie należy tak robić, jak on każe, a kiedy odejdę, wtedy mnie unosi ambicją, wtedy idę na lep uznania i oklasków hołoty. Więc mu znikam z oczu i uciekam, a kiedy go zobaczę, wstyd mi, że się był na zasady zgodziłem. I nieraz mu już śmierci życzą, a wiem, że gdyby się to stało, byłoby mi jeszcze gorzej; tak że JUŻ całkiem nie wiem, co mam właściwie począć z

tym człowiekiem.

Już ten "satyr" i mnie, i niejednemu tak samo przygrywał na flecie. Ale posłuchajcie mnie dalej, jak ja go prawdziwie przyrównałem do tych kaplic i jaka w nim potęga mieszka.

Bądźcie przekonani, że go żaden z was nie zna; ale ja go już odsonię całego, skórom zaczął. Widzi z was każdy, jak to Sokrates za pięknosciami ugania, jak za nimi przepada, jak on nigdy nic nie wie, jak wszystko "pierwszy raz słyszy". On też i wygląda na to, zupełnie jak sylen. No, nie? Ale to wszystko jest tylko na wierzchu, tak jak w tym wydrążonym sylenie; kiedy go otworzyć, to, jak się wam zdaje, towarzysze kielicha, ile tam w środku panowania nad sobą? Otóż musicie wiedzieć, że jemu na pięknosciach nie zależy nic, ani troszkę; nikt E by nie uwierzył, jak on tym pogardza, a tak samo majątkiem i wszystkim tym, co hołota za wielkie szczęście zwykła uważać. On to wszystko ma za nic, powiadam wam, on całe życie z ludzi podrwiwa i żartuje z nich sobie. A nie wiem, czy kto kiedykolwiek, gdy on był poważny i otwarty, popatrzył w niego i czy widział skarby, które w nim są. Ja je już raz widziałem i takie mi się boskie wydały i złote, i precudne, że mi się po prostu jego niewolnikiem poczułem od tej chwili.

Zdawało mi się kiedyś, że Sokratesowi serio zależy na mojej piękności, więc sobie myślałem, że to dla mnie jak znalazł i że mi się szczególnie szczęście trafiło, bo jeżeli mu pofolguję, będę mógł za to od niego słyszeć wszystko, co on tylko wie. A byłem strasznie zarozumiały na swoją piękność. Wiecem w tej myśli nieraz niewolnika odprawiał, który nam przedtem stale towarzyszył, i zostawaliśmy sami. Powiem wam już całą prawdę? zaprzecz, Sokratesie, jeżeli skłamię.

Otóż bywaliśmy, proszę was, sam na sam i ja byłem przekonany, że on mi zaraz zacznie mówić takie rzeczy, jak to miłośnik oblubieńcowi mawia na osobności, i jużem się z góry cieszył. Tymczasem nic z tego nie było; on ze mną, bywał, jak zwykle, jak w rozmowie przepędził, zabrał się i poszedł.

Więc go do siebie na gimnastykę zapraszałem i ćwiczyliśmy się razem, bom znowu i tak próbował. Odbywał ze mną ćwiczenia i szedł w zapasy nieraz, a nikogo przy tym nie było.

Ani mówić; nic więcej nie wskórałem. Więc kiedyś tak w żaden sposób nie mogłem do niego trafić, myślę sobie, że trzeba będzie gwałtem wziąć tego człowieka i nie darować, kiedy się raz postanowiło: niech przynajmniej wiem, co jest właściwie.

Więc go raz na wieczór zapraszam, zupełnie jak miłośnik oblubieńca łapie. Nie chciał przychodzić? nareszcie raz dał się uprosić. Kiedy pierwszy raz przyszedł, zjadł i chciał iść do siebie. Wstydzilem się jeszcze wtedy, więc go puściłem do domu. Ale na drugi raz byłem mądrzejszy: po wieczery gadaliśmy zawsze długo w noc; więc kiedy się chciał zabierać, zatrzymałem go przemocą u siebie, bom uważał, że już późno było wracać. Tedy się wycią-giiał na kanapie, która tuż przy mojej stała, tam, gdzie jadł kolację, a nikt więcej w domu nie nocował, tylko my sami.

? Dotąd można by tę historię swobodnie każdemu powiedzieć, ale dalszego ciągu pewnie byście ode mnie nie usłyszeli, gdyby, jak to mówią, prawda nie leżała na dnie wina i na języku dziecka, chociaż to nie o to idzie, a potem, myślę, że się nie godzi ukrywać pysznego czynu Sokratesa, kiedy się go chwalić zaczęło.

I jest mi tak, jakby mnie żmija ukąsiła: powiadają, że kogo żmija ukąsi, ten nikomu nie chce bólów swych opowiadać, chyba też pokąsanemu, bo ^g tylko ten potrafi przebaczyć i zrozumieć, do jakich słów i czynów ból się zdola posunąć. A ja jestem boleśniej ukąszony i w najczulsze miejsce, jakie w ogóle może być ukąszone: w serce czy w duszę, czy jak się to tam nazywa, ukąszony zębem filozoficznych rozmów, które się gorzej niż żmija w młoda, zdrową duszę wpijają i człowiek potem gada i robi, sam nie wie, co. ? Ale, ot, widzę tu takich Fajdrosów, Agatonów, Eryksimachów, Pauzanaszów, Arystodemów i Arystofanesów? co mówić o samym Sokratesie i o tych innych? wyście wszyscy półobłąkani, jak on, filozof, tedy mnie wszyscy słuchajcie, bo wy mi przebaczycie to. com wtedy zrobił, a teraz opowiadam! Ale służba i profany, i jaki tam inny ordynarny chłop niech sobie dobrze uszy pozatyka.

Więc kiedy światła pogasty a służba się wyniosła, pomyślałem, że nie ma co robić z nim zachodów, c ale mu otwarcie powiem, co myślę. Więc go trącam i powiadam:

? Sokratesie, ty śpisz?

? Jeszcze nie? odpowiedział.

? Wiesz, co ja myślę?

? No, cóż takiego? ? powiada.

? Ja myślę, że ty jeden godzienes być moim miłośnikiem i zdaje mi się, żebyś rad ze mną o tym pomówił, ale nie wiesz, jak. A ja tak uważam: to by było wielkie głupstwo z mojej strony, gdybym ci jeszcze i tego bronił i nie chciał służyć w ogóle czymkolwiek, czego byś czy od mojej fortuny potrzebował, czy od przyjaciół. Przecież mi na niczym c tak nie zależy, jak na tym, żebym był możliwie najdzielniejszym człowiekiem, a wiem, że mi nikt do tego lepiej pomóc nie potrafi jak ty. Toż bym się wstydzić musiał przed ludźmi mądrymi, gdybym takiemu jak ty człowiekowi nie folgował, a folgował za to tłumowi głupców!

On to usłyszał i powiada, tak po swojemu, tak ironicznie, jak on to zawsze: ? Alkibiadesie miły, toś ty, widać, nie głupi, jeżeli to prawda, co o mnie mówisz, jeżeli we mnie taka moc siedzi, która ciebie może lepszym zrobić. Toż to by znaczyło, żeś we mnie niewidzianą piękność odkrył, znacznie wyższą od dobrych linii twojego ciała. Więc jeśli ci o nią chodzi i chciałbyś ze mną obcować, i piękne za nadobne wymienić, to ładnie chcesz na mnie zarobić. Bo naprawdę chciałbyś kupić istotę piękna za jego pozory i "miedz za złoto" wymienić. Uważaj lepiej, zacy chłopcze, żebyś się nie pomylił, bo nużem ja nic nie wart! Dusza ludzka dopiero wtedy jaśniej widzieć poczyna, kiedy się bystrość młodych oczu zwolna zatracza. A tobie jeszcze daleko do tego.

Ja mu na to: ? Od siebie już ci wszystko powiedziałem; ani słowa inaczej nie mówiłem, tylko tak, jak myślę. Ty sam się zastanów, co będzie najlepsze, twoim zdaniem, dla ciebie i dla mnie.

? O, to ci się udało? powiada. ? Trzeba będzie na przyszłość istotnie nad tym pomyśleć i to zrobić, co się nam najlepsze wyda i w tej sprawie, i w innych.

Kiedyś to usłyszał i powiedział, myślałem, że go przecież mój pocisk osiągną!. Wstałem, nie dawszy mu nawet przyjść do słowa, wziąłem na siebie te zarzutkę, bo mróz był wtedy? wsunąłem mu się pod płaszcz, rękami objąłem tego nadludzkiego doprawdy i niepojętego człowieka i tak całą noc przeleżałem.

I w tym, Sokratesie, znowu mi kłamu nie zadasz. I chociaż to wszystko robiłem, on bezpiecznie przebywał wszystko i gardził, i obśmiewał moje wdzięki, i uragał mi jeszcze, wysoki sędzie! Tak jest, osądźcie wy tę Sokratesową dumę. Bo pomyślcieź, dla wszystkich bogów i bogiń, że chociażem ja spał całą noc z Sokratesem, wstałem rano, jak gdybym był przy ojcu leżał albo starszym bracie.

Jak myślicie, co mi się działo potem, kiedy z jednej strony czułem poniżenie, a z drugiej brała mnie ta jego natura, to panowanie nad sobą, ta moc jego! Nie przypuszczałem, żebym miał kiedykolwiek spotkać człowieka z takim rozumem i z taką wolą potężną.

Toteż nie wiedziałem, jak się mani gniewać na niego i porzucić jego towarzystwo, ani jak go pozyskać, bo to doskonaleni rozumiał, że złotem do niego trafić było trudniej niż do Ajaksa żelazem. A zawiodła mnie była jedyna sieć, której jeszcze ufałem. Wiecem już nic nie wiedział i ten człowiek tak mnie opanował i ujarzmił, jak nikt nigdy nikogo.

Ale to wszystko dawniej było? a potem poszliśmy razem na wojnę pod Potidaję i jadaliliśmy przy jednym stole.

Nieraz bywało, kiedyśmy odcięci byli, ot, jak to w polu, i głód przyszło znosić, nikt tego tak nie potrafił jak on.

A kiedy przyszły lepsze czasy, on jeden umiał żyć 22 i pić nadzwyczajnie. Nie żeby miał pociąg, ale kiedy go zmuszono, to wszystkich przy kielichu pokonał i co najdziwniejsze: żadne oko ludzkie nigdy nie widziało Sokratesa pijanym. Myślę, że się nawet zaraz o tym przekonamy.

A jak on mróz znosić potrafi! Bo tam zimy są strasznie ostre? a on w ogóle niebываłych rzeczy dokazywał i raz, kiedy mróz chwycił taki, że to strach, kiedy się nikt z namiotu nie ruszał, a jeżeli się ruszał, to kładł na siebie, co tylko mógł, i na nogi, i zawiązał stopy w piłsi i w futra, on wtedy wychodził w tym, co ma na sobie, w takiej samej zarzutce, jaką i przedtem zawsze nosił, a bosy łatwiej po lodzie chodził niż inni w butach. Toteż n wojsko na niego krzywo patrzyło, jak gdyby się nad nich chciał wywyższać.

Tak to, tak! Czego wtedy dokazał, co przeszedł łęgi wojownik wtedy tam na tej wyprawie, to przecież warto usłyszeć. Raz mu coś nad ranem wpadło na myśl; za-czem stanął i dumał, a że mu jakoś nie szło, nie ruszał się z miejsca, tylko stał i dumał. A już było i południe i ludzie się patrzyli i dziwili, a jeden drugiemu opowiadał, że Sokrates tak od rana stoi i myśli o czymś. Nareszcie zrobił się i wieczór. Po wieczerzy kilku młodych wyniosło pościel na dwór? bo to było lato wtedy? i spali na chłodzie, a równocześnie uważali na niego, czy będzie stał i przez noc. A ten stał aż do rana, dopóki słońce nie wzeszło. Potem się pomodlił do słońca i poszedł.

A jeśli chcecie, w bitwach? bo to mu trzeba przyznać? przecież podczas bitwy, za którą mnie wodzowie dali nagrodę, nikt inny, tylko on właśnie życie mi ocalił; byłem ranny, a on mnie odstąpić nie chciał, tylko ratował i zbroję, i mnie. Toteż wnosilem wtedy, żeby wodzowie tobie dali nagrodę; i za to się na mnie nie będziesz chyba gniewał, i nie powiesz, że kłamię. Wodzowie zważali wtedy na moje wyższe stanowisko i mnie chcieli dać nagrodę, a tyś jeszcze bardziej niż wodzowie był za tym, żebym ja ją dostał, a nie ty.

A jeszcze warto też było, moi panowie, widzieć Sokratesa, kiedy armia uciekała spod Delion. Wtedy właśnie ja byłem na koniu, a on był w ciężkiej piechocie. Schodził z Lachesem z pola dopiero kiedy wszystko poszło w rozsypkę. Ja podjeżdżam, poznałem ich i wołani, żeby się nie bali, bo ich nie opuszczę. Tam się mogłem lepiej napatrzeć Sokratesowi niż pod Potidaję, bom się i sam tak nie bał, choćby dlatego, że byłem na koniu. Naprzód też uważałem, o ile on był bardziej spokojny i przytomny niż Laches, a potem, wiesz, Arystolanesie, przyszło mi to twoje na myśl, że on, jak teraz, tak i wtedy: "bociani miał krok i toczył wkoło wzrok dumny" to w prawo, to w lewo, na swoich i na nieprzyjaciół, a widać było i z daleka, że gdyby kto tego męża zaczął, niełatwa byłaby z nim sprawa. Toteż uszedł cało i on, i ten drugi. Bo w wojnie nikt, nie napada takich, tylko się goni za tymi, co t uciekają na łeb na szyję.

Można by na pochwałę Sokratesa powiedzieć wiele jeszcze innych, niebываłych rzeczy. Ale jeżeli chodzi o te lub inne czyny, łatwo by można podobne znaleźć i u innego człowieka, a u niego to jest najdziwniejsze, że on nie jest podobny do nikogo z ludzi, ani dawnych, ani dzisiejszych. Bo taki jak Achilles, mógłby ktoś powiedzieć, był i Brazidas, i inni, a Perykles znowu był jak Nestor i Antenor. rasą i inni także; każdego można by do kogoś przyrównać. Ale takiego oryginała, jak ten człowiek i jego mowy, że światłem nikt nie znajdzie ani pośród współczesnych, ani dawnych postaci, chyba że go kto zechce przyrównać tak jak ja: do nikogo z ludzi, tylko do sylenów i satyrów; jego i jego słowa tak samo.

Bo i tom pominąć poprzednio, że rozmowy jego; nie są podobne do tych zamykanych sylenów. Bo gdyby kto chciał się przysłuchać rozmowom Sokratesa, wydałyby mu się śmieszne na pierwszy rzut oka. To, co on mówi, to ubrane w takie słowa i zwroty, jakby w kosmatą skórę jakiego szelmy satyra. Mówi o osłach objuczonych, o jakichś kowalach, szewcach, garbarzach i wydaje się, że on zawsze jedno i to samo mówi w ten sam sposób, tak że każdy, kto go nie zna i nie uważa, musi się śmiać z tego. Ale kiedy kto do wnętrza tych słów zagłębnie, kiedy kto wejdzie w nie naprawdę, zobaczy, że tylko w takich słowach jest jakiś sens, a potem się przekona, że tam w nich są skarby dzielności; znajdzie tam prawie wszystko, a raczej wszystko, na co uważać powinien człowiek, który chce być doskonały.

Mowy Sokratesa przed sądem w Atenach

Obrona Sokratesa

cz. 1

Jakieście wy, obywatele, odebrali wrażenie od moich oskarżycieli, tego nie wiem; bo i ja sam przy nich omal żem się nie zapomniał, tak przekonująco mówili. Chociaż znowu prawdziwego, powiem po prostu, nic nie powiedzieli. A najwięcej mnie u nich jedno zadziwiło z tych wielu kłamstw; jak to mówili, że wyście się powinni strzec, abym ja was nie oszukał, bo doskonale umiem mówić. To, że się nie wstydzili (toż ja zaraz czynem obalę ich twierdzenia, kiedy się pokaże, że ja ani trochę mówić nie utniem, to mi się wydało u nich największą

bezczelnością.

Chyba że oni może tęgim mówcą nazywają tego, co prawdę mówi. Bo jeżeli tak mówią, to ja bym się zgodził, że tylko nie według nich, jestem mówcą.

Więc oni, jak ja mówię, bodaj że i słowa prawdy nie powiedzieli; wy dopiero ode mnie usłyszycie całą prawdę.

Tylko serio, na Zeusa, obywatele: nie takie mowy przystrojone, jak te ich: zwrotami i wyrazami, ani c ozdobione, ale usłyszycie proste słowa, wyrazy takie, jakie się nawiną.

Bo ja wierzę, że to sprawiedliwe, co mówię, i niech się nikt z was czegoś innego nie spodziewa.

Przecieżby nawet nie wypadło, obywatele, że bym ja, w tym wieku, jak młodzik mówki układać przed was przychodził. Ale naprawdę ja bardzo was, obywatele, o to proszę i błagam: jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takimi samymi słowami, jakimi zwykle mówię i na rynku koło straganów, gdzie mnie niejednen z was słyszał, i gdzie bądź indziej, nie dziwcie się i nie róbcie hałasów dlatego. Bo to tak jest: teraz ja pierwszy raz stoję przed sądem, a lat mam siedemdziesiąt; po prostu więc obcy mi jest tutejszy język. Więc tak samo jak gdybym naprawdę był z innych stron, to wybaczylibyście mi przecież, gdybym tamtym językiem i sposobem mówił, w jakim bym był wyrósł, otóż tak samo i teraz o tę was proszę sprawiedliwość, tak się to przynajmniej mnie przedstawia, żebyście mi darowali sposób mówienia? on tam będzie może gorszy, może lepszy? a na to tylko patrzyli i na to tylko zważali, czy ja słusznie mówię, czy nie; bo to jest zaleta sędziego, a mówcy: mówić prawdę. Więc naprzód moje prawo bronić się, obywatele, przeciw pierwszej fałszywej skardze na mnie i przeciw pierwszym oskarżycielom; potem przeciwko drugiej i drugim.

Bo na mnie wielu skarżyło przed wami od dawna, i już od lat całych, a prawdy nic nie mówili; tych ja się boję więcej niż tych koło Anytosa, chociaż i to ludzie straszni.

Ale tamci straszniejsi. Obywatele, oni niejednego z was już jako chłopaka brali do siebie, wmawiali w was i skarżyli na mnie, że jest taki jesień Sokrates, człowiek mądry, i na gwiazdach się rozumie, i co pod ziemią, to on wszystko wybadał, i ze c słabszego zdania robi mocniejsze. Obywatele, to oni, to ci, co o mnie takie pogłoski porozsiewali, to są moi straszni oskarżyciele. Bo kto słyszy, ten myśli, że tacy badacze to nawet w bogów nie wierzą. A potem jest takich oskarżycieli wielu i już długi czas skarżą, a prócz tego jeszcze w takim wieku do was mówią, w którymście uwierzyć mogli najłatwiej, dziećmi będąc, a niejednen z was wreszcie młodym chłopcem; po prostu taka zaoeczna skarga, bez żadnej obrony.

A ze wszystkiego najgłupsze to, że nawet nazwisk ich nie można znać ani ich wymienić. Chyba że r przypadkiem który jest komediopisarzem.

Jedni z zazdrości potwarzy w uszy wam nakładli, drudzy uwierzyli i z przekonania zrażają do mnie innych, a ze wszystkimi nieporadna godzina. Bo ani ich tutaj przed sąd nie można pociągnąć, ani rozumnie przekonać żadnego, tylko po prostu tak człowiek musi niby z cieniem walczyć; broni się i zbija zarzuty, a nikt nie odpowiada.

Więc chcecie zważyć i wy, jak powiadani, że ja mam dwa rodzaje oskarżycieli: jedni to ci, co wygłosili skargę dopiero co, a drudzy dawniej, ci, o których mówię; i przyznajcie, że ja się przeciwko tamtym muszę naprzód obronić. Przecież i wyście tamtych naprzód słuchali, jak skarżą, i o wiele więcej niż tych, co później.

No tak, więc trzeba się bronić, obywatele, i trzem ba próbować wyjąć wam z uszu potwarz, która tam długi czas siedziała, a wyjąc w tak krótkim czasie! No, ja bym tam rad, żeby się to tak stało, jeśli to dobre dla was i dla mnie, i jeżeli się moja obrona na cokolwiek przyda. Ale myślę, że to trudna rzecz; ja trochę wiem, jak to jest.

A jednak, niech tak rzeczy idą, jak bóg zechce; prawa potrzeba słuchać i bronić się.

Więc weźmy jeszcze raz od początku, cóż to za skarga, z której na mnie potwarz wyrosła, a Meletos jej uwierzył i wniósł na mnie to oskarżenie tutaj? Tak jest. Cóż tedy mawiali potwarzy? Jakby więc prawdziwe oskarżenie trzeba ich zaprzysiężone słowa odczytać: Sokrates popełnia zbrodnią i dopuszcza się występku badając rzeczy ukryte pod ziemią i w niebie i ze słabszego zdania robząc mocniejsze i drugich tego samego nauczając.

To coś będzie w tym rodzaju. Boście przecież i sami coś takiego widzieli w komedii Arystofanesa, jak się tam taki Sokrates hušta, a mówi, że chodzi po powietrzu i mnóstwo innych głupstw wygaduje, na których ja się nic a nic, ani w ogólności, ani w szczególności nie rozumiem. I nie mówię tego, że bym chciał uwłaczać tego rodzaju wiedzy, jeżeli ktoś jest mądry w takich rzeczach (żeby mnie tylko znowu o to Meletos do sądu nie pozwał), ale mnie te kwestie, obywatele, nic a nic nie obchodzą. Na D świadków biorę wielu z was samych i myślę, że jeden drugiemu to wytłumaczy i powie: każdy z tych, którzy kiedykolwiek słyszał który z was, że bym ja w ogólności lub w szczegółach rozmawiał o takich rzeczach? Widzicie więc, że tyle samo warte i wszystko inne, co o mnie tłum opowiada.

Więc ani na tym nic nie ma, ani jeśli byście słyszeli od kogoś, że ja biorę ludzi na wychowanie i robię na tym pieniądze, to także nieprawda.

Chociaż mnie się i to bardzo podoba, jeżeliby ktoś umiał ludzi wychowywać, jak na przykład Gorgiasz z Leontiniów i Prdikos z Keos, i Hippiasz z Elidy.

Obywatele, każdy z nich potrafi chodzić od miasta do miasta i namawiać młodych ludzi, którzy mogą za darmo przestawać z kim tylko chcą ze swych współobywateli, żeby porzucili tamto towarzystwo, a obcowali z nimi; za to im się płaci pieniędzmi, a oprócz tego wdzięcznością.

A tu jest jeszcze inny taki obywatel z Paros, mędrzec; dowiedziałem się niedawno, że przyjechał, bom przypadkiem spotkał jednego obywatela, który zapłacił sofistom więcej pieniędzy niż wszyscy inni razem, Kalliasza syna Hipponika. Więc ja go zapytałem? bo on ma dwóch synów. "Kalliaszu? powiadam? jak by ci się tak byli twoi dwaj synowie żrebackami albo cielętami porodzili, to my byśmy umieli wyszukać im kierownika i zgodzić go, żeby z nich zrobił piękne i dobre sztuki we właściwym im s rodzaju zalet. I, to by był albo jakiś człowiek od koni, albo od roli. No teraz, skoro są ludźmi, to kogo im zamysłasz wziąć na kierownika? Kto się tak rozumie na zaletach człowieka i obywatela? Myślę przecież, że ty się nad tym zastanowił, bo masz synów. Jest ktoś taki? mówię mu? czy nie?"

„A no, pewnie”? powiada.

"Któż taki? mówię? i skąd on, i po czemu uczy?"

"Euenos ? powiada ? Sokratesie, ten z Paros, po pięć min".

A ja sobie pomyślałem: szczęśliwy ten Euenos, jeżeli on naprawdę posiada tę sztukę i tak ładnie uczy! Ja bym się i sam chwalił i wysoko nosił, gdybym to umiał. Ale ja tego nie umiem, obywatelu!

Więc może mi ktoś z was wpadnie w słowo i zapyta: „Sokratesie, a twoja robota jaka właściwie? Skądże się wzięły te potwarze na ciebie? Już też z pewnością, gdybyś się nie był, niby to, bawił w żadne nadzwyczajności, a żył jak każdy inny, nie byłoby cię ludzie tak osławili ani obgadali, skoro twoje zajęcia niczym nie odbijały od wszystkich innych ludzi. Więc powiedz nam, co jest, żebyśmy i my w twojej sprawie nie strzelili jakiegoś głupstwa". Kto tak mówi, ten mówi sprawiedliwie,, jak uważam, i ja wam spróbuję wykazać, co tam jest takiego, co mi wyrobiło takie imię i taką potwarz.

A słuchajcie. Może się będzie komu z was zdawało, że żartuję; tymczasem bądźcie przekonani; całą wam prawdę powiem. Bo ja, obywatele, przez nic innego tylko przez pewnego rodzaju mądrość takie imię zyskałem. A cóż tam za mądrość taka? Taka może jest i cała i ludzka mądrość! Doprawdy, że tą i ja, zdaje się, jestem mądry. A ci, o których przed chwilą mówiłem, ci muszą pewnie być jakąś większą mądrością, ponad ludzką miarę mądry, albo ? nie wiem sam, co powiedzieć. Ja przynajmniej zgola się na tej wyższej nie znam, a kto to na mnie mówi, ten kłamie i tylko na to wychodzi, żeby oszczerstwo na mnie rzucił.

A tylko, obywatele, nie krzyczcie na mnie, nawet gdyby się wam zdawało, że wielkich słów używam. Bo nie będę swoich słów przytaczał w tym, co powiem, ale się powołam na kogoś innego, kto to powiedział. Przytoczę wam świadka mojej mądrości. jeżeli jaka jest i jaka: boga w Delfach.

Znacie pewnie Chajrefonta. To mój znajomy bliski od dziecięcych lat i mnóstwo z was, z ludu, dobrze go znało. On wtedy razem poszedł na to wygnanie i wrócił razem z wami. I dobrze wiecie, jaki był Chajrefon; jaki gorączka, do czego się wziął. I tak raz nawet, jak do Delf ów przyszedł, odważył się o to pytać wyroczni i, jak powiadam ? nie róbcie hałasu, obywatele! ? zapytał tedy wprost, czyby istniał ktoś mądrzejszy ode mnie. No i Pytia odpowiedziała, że nikt nie jest mądrzejszy. I to wam ten tutaj brat jego poświadczy, bo tamten już umarł. Zważcie tedy, dlaczego to mówię. Chcę wam pokazać, skąd się wzięła potwarz. Bo ja, kiedym to usłyszał, zacząłem sobie w duchu myśleć tak: Co też to bóg mówi? Cóż ma znaczyć ta zagadka? Bo ja, doprawdy, ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam. Więc cóż on właściwie mówi, kiedy powiada, że ja najmądrzejszy? Przecież chyba nie kłamie. To mu się nie godzi. I długi czas nie wiedziałem, co to miało znaczyć, a potem powoli, powoli zacząłem tego dochodzić tak mniej więcej:

Poszedłem do kogoś z tych, którzy uchodzą za mądrych, aby jeśli gdzie, to tam przekonać wyrocznie, że się myli, i wykazać jej, że ten oto tu jest mądrzejszy ode mnie, a tyś powiedziała, że ja.

Więc, kiedy się tak w nim rozglądam ? nazwiska wymieniać nie mam potrzeby: to był ktoś spośród polityków, który na mnie takie jakieś z bliska zrobił wrażenie, obywatele ? otóż, kiedym tak z nim rozmawiał, zaczęło mi się zdawać, że ten obywatel wydaje się mądrym wielu innym ludziom, a najwięcej sobie samemu, a jest? Nie! A potem próbowałem mu D wykazać, że się tylko uważa za mądrego, a nie jest nim naprawdę. No i stąd mnie znienawidził i on, i wielu z tych, co przy tym byli.

Wróciwszy do domu zacząłem miarkować, że od tego człowieka jednak jestem mądrzejszy. Bo z nas dwóch żaden, zdaje się, nie wie o tym, co piękne i dobre, ale jemu się zdaje, że coś wie, choć nic nie wie, a ja, jak nic nie wiem, tak mi się nawet i nie zdaje. Więc może o tę właśnie odrobinę jestem od niego mądrzejszy, że jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem.

Stamtąd poszedłem do innego, który się wydawał mądrzejszy niż tamten, i znowu takie samo odniosłem wrażenie. Tu znowu mnie ten ktoś znienawidził i wielu innych ludzi.

Więc potem, tom już po kolei dalej chodził, choć v wiedziałem, i bardzo mnie to martwiło i niepokoiło, . że mnie zaczynają nienawidzić, a jednak mi się koniecznym wydawało to, co bóg powiedział, stawiać nade wszystko. Trzeba było iść dalej, dojsć, co ma znaczyć wyrocznia, iść do wszystkich, którzy wyglądali na to, że coś wiedzą. I dalipies, obywatele ? bo przed wami potrzeba prawdę mówić ? ja, doprawdy, odniosłem takie jakieś wrażenie: ci, którzy mieli najlepszą opinię, wydali mi się bodaj że największymi nędzaczami, kiedym tak za wolą boską robił poszukiwania, a inni, lichsi z pozorów, byli znacznie przywoitsi, naprawdę, co do porządku w głowie.

Muszę wam jednak moją wędrówkę opisać; jakim ja trudy podejmował, aby w końcu przyznać słuszność wyroczni. Otóż po rozmowach z politykami poszedłem do poetów, tych, co to tragedię piszą i dytyramby, i do innych, żeby się tam na miejscu niezbitcie przekonać, żem głupszy od nich.

Brałem tedy do ręki ich poematy, zdawało się, najbardziej opracowane i bywało, rozpytywałem ich o to, co chcą właściwie powiedzieć, aby się przy tej sposobności też i czegoś od nich nauczyć. Wstydzę się wam prawdę powiedzieć, obywatele, a jednak powiedzieć potrzeba. Więc krótko mówiąc: nieledwie wszyscy inni, z boku stojący, umieli lepiej niż sami poeci mówić o ich własnej robocie.

Więc i o poetach się przekonałem niedługo, że to, co oni robią, to nie z mądrości płynie, tylko z jakiejś przyrodzonej zdolności, z tego, że w nich bóg wstępuje, jak w wieszczków i wróżbitów; ci także mówią wiele pięknych rzeczy, tylko nic z tego nie wiedzą, co mówią. Zdaje mi się, że coś takiego dzieje się i z poetami. A równocześnie zauważyłem, że oni przez tę poezję uważają się za najmądrzejszych ludzi i pod innymi względami, a wcale takimi nie są. Więc i od nich odszedłem, uważając, że tym samym ich przewyższam, czym i polityków. W końcu zwróciłem się do rzemieślników. Bo sam zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że nic nie wiem, a u tych wiedziałem, że znajduję wiedzę o różnych pięknych rzeczach. I nie pomyliłem się. Ci wiedzieli rzeczy, których ja nie wiedziałem, i tym byli mądrzejsi ode mnie. Ale znowu, obywatele, wydało mi się, że dobrzy rzemieślnicy popełniają ten sarn grzech, co i poeci. Dlatego że swoją sztukę dobrze wykonywał, myślał każdy, że jest bardzo mądry we wszystkim innym, nawet w największych rzeczach, i ta ich wada rzucała cień na ich mądrość.

Tak żem się zaczął sam siebie pytać zamiast wyroczni, co bym wolał: czy zostać tak jak jestem i obejść się bez ich mądrości, ale i bez tej ich głupoty, czy mieć jedno i drugie, jak oni. Odpowiedziałem i sobie, i wyroczni, że mi się lepiej opłaci zostać tak, jak jestem.

Z tych tedy dochodzeń i badań, obywatele, liczne i się porobiły nieprzyjaźnie, i to straszne, i bardzo ciężkie, tak że stąd i potwarze poszły, i to imię stąd, że to mówią: mądry jest. Bo zawsze ci, co z boku stoja, myślą, że ja sam

jestem mądry w tym, w czym mi się kogo trafi położyć w dyskusji.

A to naprawdę podobno bóg jest mądry i w tej wyroczni to chyba mówi, że ludzka mądrość mało co jest warta albo nic. I zdaje się, że mu nie o Sokratesa chodzi, a tylko użył mego imienia, dając mnie na przykład, jak by mówił, że ten z was, ludzkie, i jest najmądrzejszy, który, jak Sokrates, poznał, że nic nie jest naprawdę wart, tam gdzie chodzi o mądrość.

Ja jeszcze i dziś chodzę i szukam tego, i myszkuję, jak bóg nakazuje, i między mieszczanami naszymi, ii między obcymi, jeżeli mi się który mądry wydaje, a jak mi się który mądry wydaje, to zaraz bogu pomagam i dowodzę takiemu, że nie jest mądry. I to mi tyle czasu zabiera, że ani nie miałem kiedy w życiu obywatelskim zrobić czegoś, o czym by warto było mówić, ani koło własnych interesów chodzić; ostatnią biedę klepię przez tę służbę bożą.

A oprócz tego chodzą za mną młodzi ludzie, którzy najwięcej mają wolnego czasu, synowie co najbogatszych obywateli; nikt im chodzić nie każe, ale oni lubią słuchać, jak się to ludzi bada, a nieraz mnie naśladowują na własną rękę i próbują takich badań na innych.

Pewnie? znajdują mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś wiedzą, a wiedzą mało albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich: mówią, że to ostatni fajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich ktoś pyta, co on robi takiego i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć, nie wiedzą; żeby zaś pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każdego miłośnika wiedzy zaraz mówi: że tajemnice nieba odsłania i ziemi a bogów nie szanuje, a z gorszego zdania robi lepsze.

Bo prawdy żaden by chyba nie powiedział: że się ich niewiedzę odsłania i udawanie mądrości. A że im widać na poważaniu zależy, a zaciekli są i dużo ich jest, a systematycznie i przekonująco na mnie wygadują, więc macie pełne uszy ich potwarz, rzucanych na mnie od dawna a zajadle. Spośród nich też wyszli na mnie Meletos, Anytos i Lykon. Meletos się obraził za poetów, Anytos za rzemieślników i polityków, a Lykon za mówców.

Tak, że jakem na początku mówił ja bym się sam dziwił, gdyby mi się w tak krótkim czasie udało wyjąć wam z uszu te liczne a zastarzałe oszczerstwa.

Oto jest, obywatele, cała prawda; nie ukryłem przed wami ani wielkich, ani małych okoliczności; nie pokrywałem niczego milczeniem. Chociaż wiem, że to samo znowu nienawiść przeciw mnie rozbudza. To właśnie świadczy, że mówię prawdę, że taka jest potwarz na mnie i takie są jej przyczyny. I czy teraz, czy później kiedyś zechcecie się tym zająć, zawsze i to samo znajdziecie.

Więc na to, o co mnie pierwsi oskarżyciele moi oskarżyli, niech mi to przed wami za obronę starczy. A

Meletosowi zacnemu i pełnemu troski o los państwa, jak mówi, i tym późniejszym zaraz spróbuję odpowiedzieć.

A że to już są inni oskarżyciele, więc weźmy znowu ich skargę pod uwagę. Ona taka jest mniej więcej:

Sokrates, powiadają, zbrodnię popełnia, albowiem psuje młodzież, nie uznaje bogów, których państwo uznaje, ale inne duchy nowe. Taka jest skarga. Przejdźmy ją punkt za punktem. Więc powiada, że jestem zbrodniarzem, bo psuję młodzież. A ja, obywatele, powiadam, że to Meletos jest zbrodniarzem, bo sobie drwi z poważną miną, lekkomyślnie ludzi do sądu ciągnie ii udaje, że mu serio idzie o rzeczy, na których mu nigdy nie zależało. Ze to tak jest, spróbuję i wam wykazać.

? Chodź no tu, Meletosie, powiedz no mi: ? Nieprawdaż, tobie najwięcej zależy na tym, żeby młodzież była jak najlepsza?

? Tak jest.

? No, to proszę cię teraz, powiedz tym obywatelom, kto to młodzież naprawia? Jasna rzecz, że ty wiesz; przecież tobie na tym zależy. Bo tego, co psuje, znalazłeś, jak powiadasz, we mnie, zaciągnąłeś mnie przed tych tu obywateli i wnosisz oskarżenie. Więc i tego, co naprawia, nazwij i donieś sądowi, kto to jest. Widzisz, Meletosie, że milczysz i nie masz co odpowiedzieć? A nie uważasz, że to wstyd i najlepsze świadectwo tego, co przecież ja mówię, że ci nic na tym nie zależało? No, powiedz, kochanie, któż ich naprawia?

? Prawa!

? Ależ mój drogi, ja się nie o to pytam, tylko: co za człowiek, który przede wszystkim i to zna: prawa.

? Ci oto, Sokratesie, sędziowie!

? Tak mówisz, Meletosie? Ci tutaj umieją młodych ludzi wychowywać i naprawiają ich?

? Oczywiście!

? Wszyscy, czy tylko jedni z nich, a drudzy nie?

? Wszyscy.

? Dobrze mówisz, na Herę, i coś bardzo dużo tych pożytecznych obywateli. No, ale jakżeż to? A ci tu słuchacze naprawiają, czy nie?

? I ci także.

? A cóż członkowie Wielkiej Rady?

?! członkowie Rady.

? Ależ, Meletosie, a ci z Walnego Zgromadzenia, ci nie psują młodych ludzi? Oni także naprawiają ich wszyscy?

? Oni także.

? No to chyba wszyscy Ateńczycy doskonałą młodzież, tylko ja nie; ja tylko jeden psuję. Tak mówisz?

? Bardzo stanowczo tak mówię.

? Ja jestem, doprawdy, okropny nędznik w twoich oczach. Ale odpowiedz mi. Czy uważasz, że i z końmi rzecz się ma tak samo? Naprawiają konie wszyscy ludzie, a tylko jeden jakiś psuje? Czy też i wprost przeciwnie: jeden ktoś potrafi je 'naprawiać albo bardzo nieliczni ludzie: ujeżdżacze; a ci liczni, jak zaczną się z końmi obchodzić i używać ich, psują. Czy nie tak się rzeczy mają, Meletosie, i z końmi, i z innymi wszystkimi istotami żywymi?

Doprawdy, że tak; wszystko jedno, czy się ty i Anytos na to zgodzicie, czy nie. To wystarczy, Meletosie; dowiodłeś, żeś się nigdy nie interesował młodzieżą; jasno widać twoje niedbalstwo; nie dbasz zgoła o to, o co mnie do odpowiedzialności pociągasz?

A jeszcze nam powiedz, Meletosie, czy lepiej jest mieszkać wśród obywateli dzielnych, czy w społeczeństwie złych ludzi? Odpowiadaj, przyjacielu! Ja cię przecież o nic trudnego nie pytam. Nieprawdaż, że źli ludzie zawsze

coś złego robią tym, co z nimi najbliżej obcuja, a dobrzy coś dobrego?

? No pewnie.

? A czy istnieje taki człowiek, który by wolał od bliźnich doznawać czegoś złego raczej niż dobrego? i Panie dobry, odpowiadaj! Przecież prawo nakazuje odpowiadać. Czy istnieje człowiek, który chce doznawać złego?

? Naturalnie, że nie.

? A proszę cię, ty mnie tutaj przed sąd ciągniesz za to, że psuję młodzież i wyrabiam złych ludzi umyślnie, czy nieumyślnie?

? A pewnie, że umyślnie.

? Jak to Meletosie? O tyleś ode mnie, starego, mądrzejszy, ty taki młodzik, żeś zrozumiał, jako iż źli ludzie źle robią swemu najbliższemu otoczeniu, a dobrzy dobrze. A ja bym miał aż tak zgłupieć, żebym i tego nawet nie pojmował, że jeśli kogoś w swym otoczeniu złym człowiekiem zrobię, mogę potem sam czegoś doznać złego z jego strony, i takie straszne zło popełniam umyślnie, jak mówisz ty? W to ja ci nie uwierzę, Meletosie, ja myślę, że i nikt inny. Więc albo nie psuję? albo psuję nieumyślnie, zaczem ty w obu wypadkach kłamiesz. A jeśli psuję nieumyślnie, to za takie, i to nieumyślne zbrodnie nie wolno ludzi tutaj do sądu ciągać, ale się samemu do tego wzięć; nauczać i kierować. Jasna rzecz, że jak się nauczę, to przestanę to robić, co nieumyślnie popełniam. A tyś obcowania ze mną unikał i uczyć mnie nie chciałeś, tylkoś mnie tu przed sądem postawił, gdzie wolno stawiać ludzi, którym kary potrzeba, a nie nauki.

Więc obywatele, to już jest jasna rzecz, com mówił, że się troskliwe serce Meletosa o te rzeczy nigdy ani w ogólności, ani w szczególności nie troszczyło.

Mimo to powiedz nam, Meletosie, jak ty mówisz, że ja psuję młodych. Oczywiście, wedle skargi, którąś wniósł na piśmie, to uczę ich nie wierzyć w bogów, w których państwo wierzy, tylko w inne duchy nowe. Czyż nie taka, powiadasz, jest treść mojej nauki gorszącej?

? Otóż bardzo stanowczo to stwierdzam.

? Ależ na bogów, na tych samych, o których teraz mowa, Meletosie, powiedzże jeszcze jaśniej i mnie, i tym obywatelom tutaj. Bo ja nie mogę wyrozumieć, czy twoim zdaniem ja uczę wierzyć, że są jacyś bogowie, i sam przecież w bogów wierzę, a nie jestem kompletnym ateistą i nie w tym moja zbrodnia, chociaż nie w tych, których państwo uznaje, ale w innych; i o to mnie właśnie oskarżasz, że w innych; czy też, twoim zdaniem, ja w ogóle w bogów nie wierzę i drugich tego nauczam?

? To mówię, że ty w ogóle w bogów nie wierzysz.

? Przedziwny Meletosie! Na co ty takie rzeczy mówisz? Więc ani Heliosa, ani Seleny za bogów nie i uważam, tak jak inni ludzie?

? Na Zeusa, sędziowie, "tak. Bo on mówi, że słońce to kamień, a księżyc to ziemia.

? Kochany Meletosie! Tobie się zdaje, że ty Anaksagorasa skarżysz? Za kogo ty masz tych obywateli? Myślisz, że oni książek nie czytają, nie wiedzą, że to w pismach Anaksagorasa z Kladzomenów pełno takich zdań. I tak naprawdę i młodzi ludzie ode mnie się dopiero uczą takich rzeczy, które można nieraz, E jeśli drogo, to za całą drachmę w teatrze kupić i śmiać się z Sokratesa, gdyby udawał, że to jego pomysły? inna rzecz, że i tak głupie. Nie, na Zeusa, to ja, twoim zdaniem, tak ani w jednego boga nie wierzę.

? Nie, na Zeusa, ani troszeczkę!

? Tyś bardzo niewierny człowiek, Meletosie, i to nawet, mnie się zdaje, ty samemu sobie nie wierzysz. Bo mnie się tak wydaje, obywatele, że on sobie pozwala i używa sobie? a tę skargę napisał po prostu z buty jakiejś, z rozpusty i młodzieńczego humoru. Tak wygląda, jak by zagadki układał i próbował: czy się też pozna Sokrates, ten mądry, że ja sobie figle stroję i sprzeciwiam się sobie samemu, czy też wywiodę w pole i jego, i innych słuchaczy? Bo mnie się wydaje, że on sam sobie zaprzecza w skardze; tak, jak by mówił: popełnia zbrodnię Sokrates w bogów nie wierząc, ale w bogów wierząc. A przecież to są figle. Doprawdy, rozpatrzcie ze mną, obywatele, jak on to, moim zdaniem, mówi: a ty nam odpowiadaj Meletosie, A wy, ja was już o to prosiłem na samym początku, pamiętajcie nie podnosić na mnie hałasu, jeżeli ja tak swoim starym zwyczajem będę prowadził rozmowę.

? Meletosie, czy istnieje taki człowiek, który wierzy w istnienie spraw ludzkich, a w istnienie ludzi nie wierzy?

Obywatele, niech on odpowiada, zamiast co chwila wrzaskami swoje niezadowolenie objawiać! Czy jest ktoś, kto w istnienie koni nie wierzy, a tylko w roboty końskie? Albo w istnienie flecistów nie wierzy, a tylko pracę flecistów uznaje? Nie ma takiego, zacności moja. Jeżeli ty nie chcesz odpowiadać, to ja ci to sam powiadam i wszystkim innym tutaj. Ale na drugie mi odpowiedz: czy jest taki, co wierzy w sprawy duchów, a w duchy same nie wierzy?

? Nie ma takiego.

? Ach jakżeś łaskaw, żeś przecież raczył odpowiedzieć, kiedy cię sędziowie zmusili. Nieprawdaż, ty mówisz, że ja duchy uznaję i nauczam o nich; inna rzecz: nowe czy stare. Zatem duchy uznaję, wedle twoich słów; tyś to nawet zaprzysiął na piśmie w oskarżeniu. Zatem jeśli ja w sprawy duchów wierzę, to z konieczności muszę tym samym i w duchy wierzyć. Czyż nie tak? Naturalnie, że tak. Bo ja zakładam, że ty się zgadzasz, skoro nie odpowiadasz. A duchy czyż nie uchodzą u nas albo za bogów, albo za potomstwo bogów?

? Naturalnie.

? No więc? Jeżeli zatem, jak powiadasz, wierzę w duchy, a duchy są jakimiś bogami, to byłoby tak, jak ja mówię, że ty zagadki układasz i figle stroisz, mówiąc raz, że ja w bogów nie wierzę, a potem znowu, że w bogów wierzę, skoro wierzę w duchy.

A jeśli znowu duchy to potomstwo bogów gdzieś tam z boku, z nimi czy z jakichś tam innych, jak to opowiadają, to któryż człowiek mógłby wierzyć w istnienie dzieci bożych, a w bogów samych nie? Toż to by było podobne głupstwo, jak gdyby ktoś przyjmował istnienie potomków koni i osłów, a mianowicie muły, a w istnienie samych koni i osłów nie wierzył. Ależ, Meletosie, to nie może być inaczej, tylkoś ty tę skargę napisał tak na próbę dla nas, albo też nie wiedziałeś naprawdę, o jaki by mnie można właściwie występkiem oskarżyć. Ale żebyś ty kogoś przekonał, co ma choć odrobinę oleju w głowie, że jeden i ten sam człowiek potrafi w dzieła duchów i bogów wierzyć i znowu ten sam nie wierzy ani w duchy, ani w bogów, ani w bohaterów, to się w żaden sposób nie da zrobić.

Zanim, obywatele, że ja nie popełniam zbrodni, takiej wedle skargi Meletosa, na to, zdaje się, nie potrzeba długiej obrony; wystarczy już i to.

Ale to, com już i przedtem mówił, że wielka przeciwko mnie nienawiść istnieje, i to z wielu stron, bądźcie przekonani, że jest święta prawda. I to jest to, co mnie zgubi; ani Meletos, ani Anytos, ale potwarz ze strony wielu i zawiść. One już i wielu innych i dzielnych ludzi zgubiły, a myślę, że i gubić będą. Zgola nie ma obawy, żeby to na mnie stanęło.

Więc gotów może ktoś powiedzieć; dobrze, a czy ty się nie wstydzisz, Sokratesie, żeś się taką robotą bawił, za którąś dzisiaj gotów umrzeć?

A ja bym takiemu sprawiedliwe słowo odpowiedział, że ty nieładnie mówisz, człowiecze, jeżeli, twoim zdaniem, z góry widoki życia lub śmierci obliczać powinien człowiek, z którego jest choćby jaki taki pożytek, a nie na to tytko patrzeć, kiedy działa, czy postępuje słusznie, czy niesłusznie i czy robi tak jak człowiek dzielny, czy jak lichy. Toż lichymi figurami byłiby wedle twojego zdania i półbogowie, którzy padli pod Troją, a między innymi i syn Tetydy, który tak dalece gardził niebezpieczeństwem, byle hańby po sobie nie przenieść, że gdy chciał zabić Hektora i matka, że to bogini, powiada mu o tak jakoś, zdaje mi się: synu, jeśli pomścisz śmierć przyjaciela, Patrokla, i zabijesz Hektora, to sam zginiesz! Zaraz cię bowiem, powiada, po śmierci Hektora skon czeka? on to usłyszał, ale tak mało dbał o śmierć i niebezpieczeństwo, a znacznie więcej się obawiał żyć i być lichym człowiekiem, i przyjaciela nie pomścić, że i zaraz powiada, niech i zginę, jak tylko złoczyńcę ukarzę, byłem się tutaj beczynnym ludziom na śmiech nie włóczył koło okrętów garbatych i ziemi nie deptał daremnie. Myślisz, że on dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo? Tak jest, obywatele, naprawdę. Gdzie człowiek raz stanie do szeregu, bo to uważał za najlepsze, albo gdzie go zwierzchnik postawi, tam trzeba, sądzę, trwać mimo niebezpieczeństwa; zgola nie biorąc w rachubę ani śmierci, ani niczego innego oprócz hańby.

Więc ja bym strasznie postąpił, obywatele, gdybym wtedy na rozkaz wodzów, którychżeście wy obrali i i postawili nade mną pod Potideą, pod Amfipolis i pod Delion, trwał tam, gdzie mi oni kazali, tak samo jak i każdy inny i narażał się na śmierć, a kiedy mi rozkazywał bóg, jak ja sądziłem i byłem przekonany, że powinien życie poświęcić ukochaniu mądrości i badaniu siebie samego i drugich, gdybym miał ze strachu przed śmiercią, czy wszystko jedno przed czym, opuszczać szyk.

To by było straszne i wtedy by naprawdę mnie słusznie mógł ktoś do sądu ciągnąć za to, że w istnienie bogów nie wierzę i wyroczni nie słucham i uważam się za mądrego, choć nie jestem. Bo obawiać się śmierci, obywatele, to nic innego nie jest, jak tylko mieć się za mądrego, choć się nim nie jest. Bo to znaczy myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie. Bo przecież o śmierci żaden człowiek nie wie, czy czasem nie jest dla nas największym ze wszystkich dobrem, a tak się jej ludzie boją, jak by dobrze wiedzieli, że jest największym złem. A czyż to nie jest głupota, i to ta najpaskudniejsza: myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie?

Mowy Sokratesa przed sądem w Atenach

Obrona Sokratesa

cz. 2

Ja się, obywatele, i na tym punkcie różnię od wielu innych ludzi i jeżelibym naprawdę powiedział, że jestem pod jakimś względem mądry, to właśnie pod tym, że nie mając dostatecznego pojęcia o tym, co w Hadesie, zdaję też sobie z tego sprawę, że nie wiem. A że krzywdy wyrządzać i nie słuchać lepszego od siebie? boga czy człowieka? jest czymś złym i hańbą, to wiem. Więc zamiast się chronić od takiego zła, o którym wiem, że jest złem, ja takich rzeczy, o których nie wiem, czy przypadkiem nie są właśnie dobre, ani siłę bać, ani przed nimi uciekać nie myślę.

Toteż nawet, jeśli mnie teraz puścicie i nie dacie wiary Anytosowi, który mówił, że albowiem się tu w ogóle nie powinien był znaleźć, albo skórom się już tu znalazł, niepodobna mnie na śmierć nie skazać, bo jeśli, powiada, ujdę kary, to już wasi synowie, postępując wedle nauk Sokratesa, zepsują się do reszty i ze szczętem? więc, gdybyście mi na to powiedzieli: Sokratesie, my teraz nie posłuchamy Anytosa, tylko cię uwolnimy, pod tym jednakże warunkiem, abyś się nigdy więcej takimi poszukiwaniami nie bawił ani nie filozofował dalej, a jeśli by cię znowu na tej robocie schwytano, to zginiesz? jeśli byście mnie, jak mówię, pod tymi warunkami puścić mieli, to bym wam powiedział, że ja was, obywatele, kocham całym sercem, ale posłucham boga raczej aniżeli was i póki mi tchu starczy, póki sił, bezwarunkowo nie przestanę filozofować i was pobudzać, i pokazywać drogę każdemu, kogo tylko spotkam, mówiąc, jak to zwykle, że ty, mężu zacny, obywatelem będąc Aten, miasta tak wielkiego i tak sławnego z mądrości i siły, nie wstydzisz się dbać i troszczyć o pieniądze, abyś ich miał jak najwięcej, a o sławę, o cześć, o rozum i prawdę, i o duszę, żeby była jak najlepsza, ty nie dbasz i nie troszczysz się o to?

I jeżeli by mi kto z was zaprzeczał i mówił, że dba, ja go nie puszcę i nie dam mu odejść, ale go będę pytał i badał, i przekonywał, i jeśli dojdę do przekonania, że on nie ma dzielności naprawdę, a tylko tak mówi, to będę go poniewierał, że o najwyższe wartości najmniej dba, a rzeczy lichsze wyżej stawia. I tak będę robił młodemu i starym, i kogo tylko spotkam, i swoim, i obcym, a tym bardziej swoim, boście mi bliżsi krwią.

Tak rozkazuje bóg, dobrze sobie to pamiętajcie, a mnie się zdaje, że wy w ogóle nie macie w państwie nic cenniejszego niż ta moja służba boża. Bo przecież ja nic innego nie robię, tylko chodzę i namawiam młodych spośród was i starych, żeby się ani o ciało, ani o pieniądze nie troszczył jeden z drugim przede wszystkim, ani tak bardzo, jak o duszę, aby była jak najlepsza: i mówię im, że nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze i wszelkie inne dobra ludzkie i prywatne, i publiczne.

Więc jeśli tak mówię i tym młodzień psuję, to może być, że to są rzeczy szkodliwe; ale jeśli ktoś twierdzi, że ja cokolwiek innego mówię, a nie to właśnie? ten kłamie.

Wobec tego, Ateńczycy? czy wy posłuchacie Anytosa, czy nie i czy mnie wypuścicie, czy nie wypuścicie, ja nie

będę postępował inaczej; nawet gdybym miał nie jeden, ale sto razy umrzeć.

Nie podnoście wrzasków, Ateńczycy; wytrzymajcie, jakem was prosił, żeby nie krzyczyć na to, co powiem, ale słuchać. A myślę, że to wam się przyda, jeżeli posłuchacie. Ja wam jeszcze coś niecoś powiem takiego, na co pewnie będziecie krzyczeli, ale nie róbcie tego, nie!

Bądźcie przekonani, że jeśli skazecie na śmierć mnie, takiego człowieka, jak mówię, nie zaszkodzicie więcej mnie niż sobie samym.

Przecież mnie nie może w niczym zaszkodzić ani Meletos, ani Anytos. Nawet by nie potrafili! Bo mnie się zdaje, że gorszy człowiek "nie ma prawa" zaszkodzić lepszemu. Pewnie, może go zabić, skazać na wygnanie, pozbawić czci i praw. Tylko że te rzeczy on pewnie uważa, i ktoś inny może, za wielkie nieszczęścia, a ja zgola nie uważam; znacznie większe nieszczęście robić to, co on teraz robi: niesprawiedliwie nastawać na życie człowieka.

Więc teraz, Ateńczycy, jestem daleki od tego, żebym miał przemawiać w obronie siebie samego, jak by się komuś zdawać mogło, ale raczej w obronie was, żebyście czasem nie obrazili boga za to, że was obdarował, jeżeli na mnie wyrok śmierci wydacie.

Bo jeśli mnie skazecie, to niełatwo znajdziecie drugiego takiego, który by tak, śmiech powiedzieć, jak bąk z ręki boga puszczony, siadał miastu na kark; ono niby koń wielki i rasowy, ale taki duży, że gnuśniej i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go budziło.

I zdaje mi się, że czymś takim dla miasta ja właśnie jestem, od boga mu przydany; ja, który was ciągle budzę i nakłaniam, i zawsze besztam każdego z osobna po całych dniach, to tu, to ówdzie przysiadając. Takiego drugiego niełatwo dostaniecie, obywatele; toteż, jeżeli mnie posłuchacie, to nie zechcecie się mnie pozbywać. Ale może być, że wy się gniewacie jak ten, któremu ktoś drzemkę przerywa; radzi byście mnie pacnąć i, jak Anytos radzi, zabić mnie niewiele myśląc. Potem, byście resztę życia mogli spać spokojnie, chyba że się bóg o was zatroszczy i kogoś innego wam znowu ześle.

Że ja jestem właśnie taki i że mnie bóg dał miastu, to może i stąd zmiarkujecie; przecież to nie jest zwyczajna ludzka rzecz, że ja o swoje sprawy zgola nie dbam i spokojnie patrzę na mój dom w zaniedbaniu, i to już od tylu lat, a ciągle jestem waszym dobrem zajęty. Prywatnie do każdego przychodzę niby ojciec albo starszy brat, i każdego namawiam, żeby dbał o dzielność. Gdybym jeszcze za to coś dostawał, brał jakie honoraria za te roztrząsania dusz, to miałbym jakiś powód.

Ależ dzisiaj wy widzicie sami, że oskarżyciele, którzy mnie tak bezwstydnie o wszystko inne oskarżyli, do takiej się przecież nie potrafili posunąć bezczelności, żeby świadka postawić na to, jakobym ja od kogo kiedykolwiek albo wziął wynagrodzenie, albo go zażądał. Bo, ja, zdaje się, wystarczającego stawiam świadka na to, że prawdę mówię: ubóstwo.

Ale może się to wyda nierozsądkiem, że ja tylko tak prywatnie ludziom doradzam i chodzę tu i tam, i tyle mam. do roboty, a publicznie wystąpić nie mam odwagi: pójść na mównicę w tłum między was i rad udzielać państwu. To pochodzi stąd, że jakeście to nieraz ode mnie słyszeli, mam jakieś bóstwo, jakiegoś ducha, o czym i Meletos na żart w swoim oskarżeniu pisze. To u mnie tak już od chłopięcych lat: głos jakiś się odzywa, a ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza. cokolwiek bym przedsiębrał, a nie doradza mi nigdy.

Otóż ano mi nie pozwala zajmować się polityką. A zdaje mi się, że to zakaz bardzo piękny. Bo wiercie mi, obywatele, gdybym się był kiedyś zajął polityką, dawno bym był zginął i na nic się nie przydał ani wam, ani sobie. Nie gniewajcie się; ja mówię prawdę. Nie ma takiego człowieka, któremu by wasz lub jakikolwiek inny tłum przepuścił, jeżeli mu ktoś szlachetnie czoło stawia i nie pozwala na krzywdy i bezprawia; w państwie; człowiek, który naprawdę walczy w obronie słuszności, a chce się choć czas jakiś ostać, musi koniecznie wieść żywot prywatny, a nie publiczny.

Wielkie wam świadectwa podam na to: nie słowa, ale to, co wy cenicie: czyny. Posłuchajcie, co mi się przytrafiło, abyście wiedzieli, że ja bym przed nikim nie ustąpił wbrew słuszności i ze strachu przed śmiercią: nie ustąpiłbym, choćbym i zginąć miał. Opowiem wam ciężkie i smutne historie, ale prawdziwe.

Bo ja, Ateńczycy, nigdy żadnego nie spełniałem: urzędu w państwie, tyłkom raz należał do Wielkiej Rady.

Właśnie wtedy prywania wypadała na naszą grupę, Antiochidę, kiedyście wy uchwalili sądzić sumarycznie dziesięciu wodzów za to, że trupów po bitwie morskiej nie pogrzebali.

Bezprawie, jakeście później postanowili wszyscy przyznali.

Wtedy ja jeden spośród prywanów postawiłem się wam, że niczego nie będę robił wbrew prawu, i głosowałem przeciw uchwale, chociaż rotory gotowe były mnie na miejscu denuncjować i kazać zaraz odprowadzić, a wyście tego żądali i wrzeszczeli; uważałem jednak, że powinienem raczej przy prawie i słuszności stać, bez względu na niebezpieczeństwo, aniżeli się was trzymać, kiedy bezprawia uchwalacie, ze strachu przed więzieniem lub śmiercią.

Ale to było jeszcze za czasów demokracji w mieście.

A kiedy przyszła oligarchia, to znowu tych Trzydziestu posłało po mnie, żebym razem z czterema innymi przyszedł do nich, do okrągłego doinu, i kazali mi dostawić z Salaminy Leona Salamińczyka. Mieli go stracić. Oni przecież mnóstwo takich poleceń wydawali różnym ludziom, żeby mieć jak najwięcej współwinnych. Wtedy ja nie słowem, ale czynem dowiodłem, że mi na śmierci zależy, przepraszam, ale... ani tyle! a żeby niczego nieuczciwego, ani bezbożnego nie zrobić, na tym mi tylko zależy i koniec.

Mnie też tamten rząd nie przestraszył, chociaż taki był silny, żebym miał aż coś nieuczciwego popełnić; toteż kiedyśmy z okrągłego domu wyszli, tamci czterej puścili się zaraz do Salaminy i dostawili Leona, a ja poszedłem prosto do domu. I pewnie bym był za to śmierć poniósł, gdyby się ów rząd w krótki czas potem nie był rozwiązał. I na to znajdziecie wielu świadków.

Cóż wy myślicie, że ja bym był tyle lat bezpiecznie przeżył, gdybym się był pracą publiczną bawił, a bawił tak, jak dzielnemu człowiekowi przystało, pomagał ludziom uczciwym i jak być powinno, o to dbał nade wszystko? Ani mowy, obywatele! Ani nikt inny na moim miejscu.

Ja przez całe życie, czy to na publicznym stanowisku, jeżeli tam coś zdziałał, czy w prywatnym życiu, jestem zawsze taki sam, nigdy nikomu nie ustąpił wbrew słuszności ani z innych, ani żadnemu z tych, których

oszczercy nazywają moimi uczniami.

Ja nie byłem nigdy niczym nauczycielem. Tylko jeśli ktoś ma ochotę słuchać, jak ja mówię i swoje robię, to czy to młody, czy stary, żadnemu tego nigdy nie bronilem; i ja nie rozmawiam za pieniądze, B a bez pieniędzy nie, tylko zarówno bogatemu, jak i ubogiemu pozwalam, żeby mi pytania stawiał albo stuchał i odpowiadał, kiedy o czymś rozmawiam. A czy się ktoś przez to robi lepszym, czy nie, ja nie mam prawa za to odpowiadać, bom ani nie przyrzekał nikogo nauczyć czegokolwiek, anim też nie uczył. A jeśli ktoś mówi, że się kiedyś u mnie nauczył albo ode mnie słyszał prywatnie coś innego niż i wszyscy inni, bądźcie przekonani, że kłamie.

Ale czemu niejeden ze mną przecież tak chętnie długi czas przestaje? Słyszeliście, obywatele. Ja wam całą prawdę powiedziałem. Bo się chętnie przysłuchują, jak się bada tych, co myślą, że są mądrzy, a nie są. To wcale przyjemna rzecz. A mnie to, jak powiadam, bóg nakazał robić i przez wróżby, i sny, i na wszelkie sposoby, jakimi zrządzenie boskie zwykło człowiekowi cokolwiek rozkazywać.

To jest, obywatele, i prawda, i dowieść tego łatwo.

Bo jeśli ja młodych ludzi psuję, a niektórych nawet już popsulem, toż by koniecznie ? jedni z nich postarzelisi się przecież ? poznali, że im kiedyś za młodu coś złego doradzałem, musieliby więc tu przyjść i skarżyć mnie za to; a gdyby sami nie chcieli, to zawsze ktoś z bliskich, jakiś ojciec czy brat, czy inny krewny takiego, pamiętałby mi to, gdyby jego najbliższy był czego złego doznał ode mnie i dzisiaj by się mścił. A tymczasem wielu z nich jest tu koło mnie.

Widzę ich; naprzód ten oto: Kriton, mój rówieśnik i sąsiad, ojciec tego tu Kritobulosa; potem Lizaniasz ze Sfettos, ojciec, o tego, Ajschinesa; dalej Antyfon z Kefizji, o ten, ojciec Epigenesa. A ci inni, to bracia tych, co ze mną przestawali: Nikostratos, syn Teozotida, brat Teodota, a Teodot sam umarł, więc on tu swego brata nie zaprosił, i Paralos, ten syn Demodoka, jego bratem był Teages; a ten tu, to Adejmantos, syn Aristona; a to jego brat, Platon; tam Ajantodoros, tu brat jego Apollodoros. A jeszcze wielu innych mogę wam wymienić. Meletos powinien był w swojej mowie przede wszystkim kogoś z nich podać na świadka: jeżeli wtedy zapomniał, niech go poda teraz; ja poczekam; niech mówi, jeśli ma co.

Tymczasem znajdziecie coś wręcz przeciwnego, obywatele; oni wszyscy gotowi poprzeć mnie, którym tyle złego zrobił ich najbliższym, jak powiada Meletos i Anytos. Jeszcze ci zepsuci mieliby powód, żeby mnie popierać; ale ci niezepsuci, starsi, ci krewni ? cóż tych skłania do tego, żeby mnie popierać, jak nie słuszność i sprawiedliwość? To przekonanie, że Meletos kłamie, a ja mówię prawdę? Otóż tyle by było, obywatele!

Co ja bym miał do powiedzenia na swoją obronę, to mniej więcej to właśnie i inne rzeczy tym podobne.

Ale może być, że się ktoś z was zżyma, przypomniałszy sobie siebie samego; on może i w mniej poważnym procesie stawał, a prosił i błagał sędziów i łzami się zalewał, a dzieci swoje tu przyprowadził, żeby jak największą litość wywołać, a jeszcze krewnych przywłócił i przyjaciół; ja, oczywiście, nie będę robił niczego podobnego, choć się narażam, mógłbym sądzić, na największe niebezpieczeństwo.

Więc może niejeden, widząc to, zatnie się na mnie, zgniewa go to i gotów w gniewie głos oddać.

Jeśli tu jest ktoś taki ? ja nie przypuszczam, ale jeżeli ? to mógłbym mu, zdaje się, coś na to powiedzieć.

Powiedziałbym, że mam ci może i ja, ojciec dobry, także jakichś tam krewnych. Toż już i jak Homer powiada:

anim z drzewa nie wyrósł, anim ze skały wyskoczył, tylko z ludzi; toteż i dom jakiś mam, i synów, obywatele, trzech; jeden już pod wąsem, a dwaj to' chłopaki, a mimo to żadnemu tu nie przyprowadził i nie będę was prosił o uwolnienie. A czemu nic podobnego nie zrobicie? To nie pycha, obywatele, ani lekceważenie was, i czy ja mam odwagę na śmierć, czy nie, to nie o to chodzi ? chodzi o to, czy to wypada i mnie, i wam, i całemu miastu ? mnie się zdaje, że to nieładnie, żebym ja takie rzeczy robił, w tym wieku i z tym imieniem, wszystko jedno czy słusznym, czy fałszywym.

Bo to niby jest pewne, że Sokrates czymes się wyróżnia od wielu innych ludzi.

Przecież jeżeliby się ktokolwiek z was w powszechnej opinii wyróżniał mądrością czy odwagą, czy jakąkolwiek inną dzielnością, a tak by się zachowywał, to byłby wielki wstyd. A ja już niejednego takiego i nieraz widziałem, który za coś pomiędzy ludźmi uchodził, a w sądzie wyprawiał nie wiadomo co. Jak by myślał, że strach co mu się stanie, jeśli umrze; jak by miał nieśmiertelnym zostać, gdybyście go nie skazali. Mnie się zdaje, że tacy tylko wstyd miastu przynoszą; potem jeszcze gdzieś ktoś B z obcych gotów myśleć, że najdzielniejsi ludzie w Atenach, których obywatele sami wyróżniają godnościami i zaszczytami, niczym się nie różnią od kobiet.

Ateńczycy, czego podobnego ani my nie powinniśmy robić, którzy za coś tam uchodzimy, ani wyście na to pozwalacie nie powinni; raczej pokazać, że o wiele prędzej skażecie takiego, co te rozczulające dramaty wyprawia i miasto ośmiesza, niż takiego, który się spokojnie zachowuje.

A nie mówiąc o tym, czy wypada; to nawet mi się to, obywatele, nie wydaje uczciwym; prosić sędziego i uwalniać się prośbami od odpowiedzialności, zamiast pouczać i przekonywać. Przecież nie na to tutaj siedzi sędzia, żeby w podarunku rozdawał z łaski sprawiedliwość, tylko żeby sądził. Przecież przysięgał nie na to, że będzie folgował temu, który mu się podoba, ale że będzie sądził według praw.

Nieprawdaż? Zatem ani myśmy was nie powinni przyzwyczajając do krzywoprzysięstwa, ani wyście się samli nie powinni do tego przyzwyczajać. Nie godzi się to przed bogiem ani nam, ani wam.

Nie sądzcie tedy, obywatele, że ja powinienem się wobec was zachowywać w sposób, który mi się ani pięknym nie wydaje, ani sprawiedliwym, ani zbożnym; tym bardziej że mnie, dalibóg, o bezbożność ten tu Meletos oskarża.

Oczywiście, gdybym na was wpływał i prośbami gwałt zadawał waszej przysiędze, wtedy bym was uczył niewiary w bogów i po prostu, broniąc się, oskarżałbym siebie samego, że bogów nie uznaję. Ale daleko do tego. Ja ich uznaję, obywatele, jak żaden z moich oskarżycieli i pozostawiam bogu i wam sąd o mnie; niech wypadnie tak, jak będzie najlepiej dla mnie i dla was.

Jeżeli się, nie burzam, obywatele, na to, co się stało, żeście mnie skazali, na to się składa bardzo wiele, a między innymi i to, że mnie nie zaskoczył niespodziewanie ten fakt. Ja się raczej dziwię, że taka wypadła liczba głosów po obu stronach.

Nie spodziewałem się tak małej większości ? myślałem o wielkiej. A tu, jak widzę, gdyby tylko trzydzieści skorupek było padło w drugą stronę, byłbym został uwolniony. Przeciw Meletosowi, to uważam, że i tak wygrałem

i nie tyłkom wygrał, ale to każdy zrozumie, że gdyby się był do jego skargi nie przyłączył Anytos i Lykon, byłby musiał zapłacić tysiąc drachm, bo nie dostał piątej części głosów.

Więc ten obywatel proponuje dla mnie śmierć. No, dobrze. A ja ? jakąż ja mam podać ze swej strony propozycję?

No, oczywiście, że należyta. Więc cóż? Jakaż mi się należy kara osobista czy grzywna, zem, lichy wie czemu, całe życie nie siedział cicho i nie dbał o to, o co się troszczy wielu: o pieniądze, o dom, o strategię, mowy na zgromadzeniach, urzędy, sprzysiężenia, obywatelskie spiski, bom się naprawdę za zbyt porządnego człowieka uważał na to, żeby tam pójść, a ostać się, i nie szedłem tam, gdzie bym się ani wam, ani sobie na nic nie był przydał, tyłkom jak zwykły człowiek do każdego z osobna chodził świadczyć mu największe dobrodziejstwo, ja przynajmniej tak uważam; tak szedłem i próbowałem każdego z was namawiać; żeby ani o żadną ze spraw swoich nie dbał prędzej, zanim dbać zacznie o siebie samego, by się stał jak najlepszym i najmądrzejszym, ani śle o sprawy państwa troszczył, zanim o państwie samym nie pomyśli, i żeby się o wszystko inne podobnym porządkiem starał. Więc co mi się należy za to? Takiemu człowiekowi? Coś dobrego, obywatele, jeżeli wniosek ma być naprawdę należyty. I to coś dobrego w tym rodzaju, żeby to odpowiadało mojej osobie.

A cóż odpowiada człowiekowi ubogiemu, zasłużonemu, który musi mieć wolną głowę, żeby was mógł nawracać? Nie ma nic odpowiedniejszego, Ateńczycy, jak to, żeby takiemu obywatelowi dawać honorowy wikt w Prytanejon: o wiele więcej, niż jeśli który z was na koniu, parą albo czterema końmi odniesie zwycięstwo w Olimpii. Bo dzięki niemu zdaje się wam, że jesteście szczęśliwi, a dzięki mnie ? jesteście. I taki nie potrzebuje utrzymania, a ja potrzebuję. Jeżeli więc mam po sprawiedliwości proponować karę należyta, to proponuję: honorowy wikt w Prytanejon.

Może się wam zdaje, że i teraz mówię podobnie jak przedtem o owych jękach i błaganiach, bom się zaciął w zarozumiałości. To nie to, obywatele, raczej coś innego; ja jestem przekonany, że dobrowolnie nikogo na świecie nie skrzywdziłem, ale was o tym nie przekonam; bo myśmy za krótko ze sobą rozmawiali. Mimo to, ja myślę, że gdyby u was istniało prawo, jak u innych ludów, żeby w sprawach gardłowych nie jeden tylko dzień sądzić, ale kilka, to prawdopodobnie dalibyście się przekonać. Tak, teraz, niełatwo w czasie tak krótkim, takie wielkie oszczerstwo z siebie zmyć.

Otóż mając głębokie przekonanie, że nie krzywdzę nikogo, daleki też jestem od tego, żebym miał siebie samego krzywdzić i o sobie samym powiedzieć, zem na coś złego zasłużył i miałbym coś podobnego dla siebie proponować... czemu właściwie? Ze strachu? A przed czym? Żebym nie poniósł tego, co dla mnie Meletos proponuje? Ależ ja mówię, że nie wiem, ani czy to jest coś dobrego, ani czy to' coś złego. Mam więc zamiast tego wybierać rzeczy, o których dobrze wiem, że są złe, i co zaproponować? Więzienie? Alboż mi się chce żyć w więzieniu i jak niewolnik zależeć od ustawicznie zmieniającej się władzy, od tych jedenastu? Może grzywnę i więzienie, zanim kary nie splacę? Ależ to to samo, co dopiero mówiłem. Ja nie mam pieniędzy, nie mam skąd płacić.

Więc może proponować wygnanie? Wy byście mi to może uchwalili. Ale ja bym musiał być strasznie do życia przywiązany, gdybym miał być aż tak głupim i nie mógł wymiarkować, że wy przecie, moi współobywatele, nie mogliście wytrzymać mojego sposobu życia i myślenia, ale wam to zaczęło zanadto już ciążyć i budzić zawiść, tak że chcecie się tego wszystkiego pozbyć. A obcy, niby, zniosą to' tym łatwiej? Ani mowy, obywatele! I ładne bym ja miał życie; tak pójść na wygnanie, człowiekowi w tym wieku, wólczyć się z miasta do miasta, czekać, aż go znowu skądś wyrzucą. Jestem przekonany, że dokądkolwiek bym przyszedł, młodzież będzie słuchała moich rozmów, tak samo jak tutaj. Gdybym ich pędził od siebie, oni się sami postarają o wygnanie mnie z miasta, namówią starszych, a jeśli ich nie będą pędził, to mnie wygnają ich ojcowie i bliscy, ze względu na nich samych. Więc pewnie ktoś powie: „A nic nie gadać i cicho siedzieć, ty nie potrafisz, Sokratesie, jak sobie od nas pójdziesz na wygnanie?” Otóż to właśnie. O tym najtrudniej przekonać niejednego z was. Bo jeżeli powiem, że to jest nieposłuszeństwo względem boga i ja dlatego nie mogę siedzieć cicho, to mi nie uwierzycie; powiecie, że to drwiny. A jeżeli powiem, że to właśnie jest też i największe dobro dla człowieka: każdego dnia tak rozprawiać o dzielności i o innych rzeczach, o których słyszycie, że i ja sam rozmawiam, i własne, i cudze zdania roztrząsam, a bezmyślnym życiem żyć człowiekowi nie warto, jeśli to powiem, to tym mniej mi będziecie wierzyli. Ale to tak jest, jak mówię, obywatele: tylko przekonać kogoś o tym nie jest łatwo.

Poza tym nie zwykłem się uważać za człowieka, któremu by się coś złego należało.

Więc gdybym miał pieniądze, byłbym był proponował grzywnę, którą by mi wypadło zapłacić. To by mi zupełnie nie szkodziło. Tymczasem tak ? no, nie mam, chyba tyle, ile bym potrafił zapłacić, na tyle może zechcecie mnie skazać? Ja bym może mógł zapłacić wam... minę srebrem. Więc tyle proponuję.

Tymczasem ten tutaj Platon, obywatele, Kriton, Kritobulos i Apollodoros proszą mnie, żebym proponował trzydzieści min; mówią, że sami ręcą za spłatę. Więc proponuję tyle. Porękę za srebro będziecie mieli pewną. Dla tych paru, a bardzo już niewielu lat, będziecie obywatele, osławieni i kto tylko zechce, będzie mógł miasto hańbić, żeście zabili Sokratesa, mędrca. Bo będą o mnie mówili, że jestem mędrcom, jakkolwiek nim nie jestem, ci, którzy zechcą wam uwłaczać. Gdybyście byli poczekali niedługo, czas jakiś, byłoby wam to i tak samo z siebie przyszło. Widzicie przecie mój wiek, że to już życia dużo poza mną, a śmierć blisko. Nie mówię tego do was wszystkich, ale do tych, którzy wetowali dla mnie śmierć. A jeszcze i to powiem, także tylko do nich: wy może myślicie, obywatele, że ja przegrywam dlatego, bo za mało mam argumentów takich, którymi bym. Was potrafił przekonać, gdybym sądził, że trzeba wszystko możliwe robić i mówić, byle wyroku uniknąć. Ani mowy. Przegrywam, bo za mało mam nie argumentów, tylko bezwstydu i bezczelności, i zbyt mało mi się chce mówić wam takich rzeczy, których wy byście słuchali najchętniej: gdybym tu płakał i jęczał, i gdybym nie wiadomo co wyprawiał i mówił rzeczy poniżej mojej godności, jak ja uważam, takie, jakieście zwykli słyszeć od innych.

Tymczasem ja ani przedtem nie uważałem za stosowne robić niczego podłego z uwagi na niebezpieczeństwo, ani mi teraz żal, zem się w ten sposób bronil; wolę zginać po takiej obronie, niż tamtym sposobem żyć. Bo ani w sądzie, ani w wojnie, ani ja, ani ktokolwiek inny nie powinien o tym przemyślać, żeby śmierci uniknąć, wszystko jedno jak. Przecie i w bitwach często najwidoczniej można śmierci uniknąć, jeżeli ktoś porzuci zbroję albo się z prośbami zwróci do ścigających. W każdym niebezpieczeństwie jest wiele różnych sposobów na to, żeby się

śmierci wymigać, jeżeli ktoś ma odwagę wszystko jedno co robić i mówić. Więc nie to jest rzecz trudna, obywatele: uniknąć śmierci; znacznie trudniej ? zbrodni. Bo zbrodnia biegnie prędzej niż śmierć. Tak też i teraz; ja tam powoli chodzę, zwyczajnie jak to starzec, toteż mnie to powolniejsze zgoniło; a moi oskarżyciele to figury nie lada i ostre, więc ich to, co szybsze: zbrodnia. I teraz ja odchodzę, w oczach waszych winien kary śmierci; oni w oczach prawdy winni zbrodni i krzywdy. I ja się doczekam kary, i oni. A to może właśnie i tak się było powinno stać; ja też myślę, że to właśnie w sam raz tak, jak jest.

A teraz pragnąłbym wam coś przepowiedzieć, wy, którzyście mnie skazali. Jestem przecież u tego kresu, przy którym ludzie najczęściej wieszczą zwykli kiedy mają umrzeć.

Przepowiadam wam więc, obywatele, którzyście mnie zabili, że przyjdzie na was kara zaraz po mojej śmierci, znacznie cięższa, na Zeusa, niż ta, którą mnie zabijacie. Bo wyście to dziś popełnili myśląc, że się pozbędziecie ciągłego rachunku sumienia w życiu; tymczasem wypadnie wam coś całkiem przeciwnego. Powiadam wam.

Więcej się znajdzie takich, którzy was oskarżać będą; ci, których ja teraz byłem natchnieniem, a wyście tego nie widzieli. Będą tym przykrzejsi, im są młodszy: toteż was będą znacznie więcej oburzali.

Jeżeli sądzicie, że zabijając ludzi powstrzymacie kogoś od tego, żeby was nie ganił i nie łajał, że nie życie jak się należy, to nie widzicie rzeczy jak należy. Bo pozbywać się tego w taki sposób, jak wy, to ani podobna, ani to pięknie; najłatwiej i najpiękniej nie gnębić drugich, ale samemu nad sobą pracować, żeby być możliwie jak najlepszym. Tyle słów wieszczby na pożegnanie z tymi, którzy mnie skazali. Z tymi zaś, którzy głosowali za mną, chętnie bym porozmawiał o tym, co się tu stało, podczas gdy władza jeszcze zajęta i nie odchodzę tam, dokąd poszedłby umrzeć mi potrzeba. Więc poczekajcie ze mną tę chwilę. Możemy sobie jeszcze trochę pogadać, póki wolno. Bo ja wam chcę, jak przyjacielom, wytłumaczyć tę dzisiejszą moją przygodę, co ona znaczy. Bo mnie się, sędziowie ? przecież was, jeżeli sędziami nazywam, to nie nadużywam wyrazu ? mnie się przydarzyła rzecz dziwna.

Ten mój zwyczajny, wieszczy głos (głos ducha) zawsze przedtem, i to bardzo często się u mnie odzywał, a sprzeciwiał mi się w drobnostkach nawet, ilekroć miałem coś zrobić nie jak należy. No, a teraz mi się przydarzyło, widzicie przecież sami, to tutaj, co niejedni uważa może, i naprawdę uważa za ostateczne nieszczęście. A tymczasem mnie, ani kiedyś rano z domu wychodząc, nie sprzeciwiał się ten znak boga, ani kiedyś tu na górę szedł do sądu, ani podczas mowy nigdzie, kiedyś cokolwiek miał powiedzieć. A przecież w innych mowach, to nieraz mi, bywało, przerwie w środku słowa. Tymczasem teraz nigdzie w tej całej historii ani w postępowaniu moim, ani w mowie nic mi oporu nie stawia. A cóż to, myślę, będzie za przyczyna? Ja wam powiem: zdaje się, że ta przygoda jest właśnie czymś dobrym dla mnie; niepodobna, żebyśmy słuszność mieli my, którzy przypuszczamy, że śmierć jest czymś złym. Mam na to wielkie świadectwo. Bo nie może być, żeby mi się nie sprzeciwiał mój zwyczajny znak, gdybym nie był miał zrobić czegoś dobrego.

A zastanówmy się i nad tym, jak wielka jest nadzieja, że to coś dobrego. Otóż jednym z dwóch jest śmierć. Bo albo tam niejako nic nie ma i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przeprowadzka duszy stąd na inne miejsce. Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś jak sen, kiedy ktoś śpiąc ? nawet widziadeł sennych nie ogląda żadnych, toż przedziwnym zyskiem byłaby śmierć. Bo zdaje mi się, że gdyby ktoś miał wybrać w myśli taką noc, w której tak twardo zasnął, że nawet mu się nic nie śniło, i inne noce, i dni własnego życia miał z nią zestawić i zastanowiwszy się powiedzieć, ile też dni i nocy przeżył lepiej i przyjemniej od tamtej, to myślę, że nie jakiś prywatny człowiek, ale nawet Wielki Król znalazłby, że na palcach policzyć by je można w porównaniu do tamtych innych dni i nocy.

Więc jeżeli śmierć jest czymś w tym rodzaju, to ja ją mam za czysty zysk. Toż wtedy cały czas nie wydaje się ani odrobinę dłuższy niż jedna noc.

Jeżeli zaś śmierć, to niby przesiedlenie się duszy stąd na inne miejsce i jeżeli to prawda, co mówią, że tam są wszyscy umarli, to jakież może być większe dobro ponad nią, sędziowie!

Przecież jeżeli ktoś do Hadesu przybędzie, pożegnawszy się na zawsze z tymi rzekomymi sędziami, i znajdzie tam sędziów prawdziwych, jak to i mówią, że tam sądy odprawia Minos i Radamantys, i Ajakos, i Triptolemos, i innych półbogów, którzy za życia swego byli sprawiedliwi ? to czyż to nie miła przeprowadzka? Albo tak spotkać Orfeusza i Muzajosa, i Hezjoda, i Homera, ileż by niejedni z was dał za to? Toż ja chcę częściej umierać, jeżeli to wszystko prawda.

Przecież i ja przedziwne miałbym tam rozmowy, ilekroć bym spotkał Palamedesa i Ajasa, syna Tela-mona, i jeśli ktoś inny ze starożytnych padł z niesprawiedliwego wyroku, to porównywać swoje losy i ich cierpienia byłoby, myślę, wcale przyjemnie. A największa przyjemność byłaby ich tam badać i dochodzić ustawicznie tak, jak tych tutaj, który też z nich jest naprawdę mądry, a który się tylko za mądrego uważa, a nie jest nim naprawdę. Ileż by człowiek dał za to, sędziowie, żeby tak wybadać takiego Odyseusza, który wielkie wojsko pod Troję c przyprowadził, albo Syzyfa, albo innych bez liku wymieni ktoś mężczyzn i kobiet, z którymi tam rozmawiać i obcować, i wypytywać ich nieopisanym byłoby szczęściem?

Przynajmniej za takie rzeczy tam na śmierć nie skazują. To pewne.

Więc oni tam są w ogóle szczęśliwsi od nas tutaj, a oprócz tego są jeszcze nieśmiertelni, jeżeli prawdą jest to, co ludzie mówią.

Więc i wy, sędziowie, powinniście z pogodą i nadzieją myśleć o śmierci, a tylko tę jedną prawdę mieć na oku, że do człowieka dobrego nie ma przystępu żadne zło ani za życia, ani po śmierci, a bogowie nie spuszczaają z oka jego sprawy.

I moja sprawa także nie poszła sama takim torem; dla mnie to rzecz jasna, że umrzeć już i pożegnać się z kłopotami życia lepiej dla mnie. Dlatego też mnie nigdzie znak mój nie kierował w inną stronę i ja się na tych, którzy mnie skazali, i na oskarżycieli moich nie bardzo gniewam. Jakkolwiek oni nie w/ tej myśli głosowali przeciwko mnie i skarżyli, tylko myśleli, że mi zaszkodzą. To im też należy zganić, i O jedno tylko ich proszę: synów moich, kiedy dorosną, karzcie, obywatele, dręcząc ich tak samo, jak ja was dręczyłem, jeśli zobaczycie, że o pieniądże czy o cokolwiek innego więcej dbają niż o dzielność i jeśli by mieli pozory jakiejś wartości, nie będąc niczym naprawdę, ponieważ nie wierzą im tak samo, jak ja was, że nie dbają o to, co trzeba, i myślą, że czymś są, chociaż nic nie są wari. Jeżeli to zrobicie, spotka mnie sprawiedliwość z waszej strony i mnie, i moich

synów.

Ale oto już i czas odejść; mnie na śmierć, wam do życia. Kto z nas idzie do tego, co lepsze, tego nie wie jasno nikt ? chyba tylko Bóg.

Sokrates w celi śmierci w więzieniu

Kriton

SOKRATES. Coś tak wcześniej przyszedł Kritonie? I A może to jeszcze nie rano?

KRITON. Ależ i bardzo.

SOKRATES. Która mniej więcej?

KRITON. Świt wczesny.

SOKRATES. Szczególnie, że cię raczył dozorca więzienia usłuchać.

KRITON. On mnie już zna, Sokratesie, bo ja tu często chodzę, a jeszcze i coś tam dostał ode mnie.

SOKRATES. A dopiero coś przyszedł, czy dawno?

KRITON. Dostyc dawno.

SOKRATES. No to czemużes mnie zaraz nie zbudził, tyłkoś tak cicho usiadł koło mnie?

KRITON. Nie, na Zeusa, Sokratesie. Toż ja bym i sam dla siebie nie chciał takiej bezsenności i jeszcze w takim smutku. Ja cię też od chwili już podziwiam; widzę, jak ty smacznie śpisz; i umyślnie cię mię budziłem: niech ci będzie jak najprzyjemniej. Ja już często i przedtem myślałem sobie, jakie ty masz szczęśliwe usposobienie w całym życiu, a najwięcej w tym nieszczęściu teraz; jak ty to łatwo i łagodnie znosisz.

SOKRATES. No przecież, Kritonie, głupio by było oburzać się, kiedy człowiek w tym wieku, że potrzeba już skończyć.

KRITON. I inni, Sokratesie, w tym wieku popadają w podobne nieszczęścia; ale ich wiek zgoła nie chroni od tego, żeby się na taki los nie burzyli.

SOKRATES. To prawda; ale czemuś ty tak rano przyszedł?

KRITON. Nowinę, Sokratesie, przyniosłem przykrą; nie dla ciebie, jak uważam, tylko dla mnie i dla twoich bliskich, i przykrą, i ciężką, a mnie ją chyba najciężej przenieść.

SOKRATES. Cóż to takiego? Pewnie okręt przyszedł z Delos, a po jego przybyciu ja mam umrzeć?

KRITON. Jeszcze nie przyszedł, ale zdaje mi się, że dzisiaj przyjdzie. Tak mówią ludzie; przyszli z Sunion i tam go zostawili. Widać z tych wiadomości, że przyjdzie dzisiaj, a ty będziesz musiał, Sokratesie, jutro życie zakończyć.

SOKRATES. A no, Kritonie, to szczęśliwej drogi. Jeżeli się tak bogom podoba, to niech tak będzie. Ale ja nie myślę, żeby on przyszedł dzisiaj.

KRITON. Dlaczego tak myślisz?

SOKRATES. Ja ci powiem. Bo mam umrzeć na drugi dzień po przyjsciu okrętu.

KRITON. Tak mówią ci tu, zarządcy.

SOKRATES. Więć myślę, że on nie jutro przyjdzie, ale pojutrze. A wnoszę tak z pewnego snu, który miałem przed chwilą tej nocy. Zdaje się, że jakoś w samą porę mnie nie zbudziłeś.

KRITON. A cóż to był za sen?

SOKRATES. Wydawało mi się, jak by jakaś kobieta do mnie przyszła piękna i postawna, a białe miała suknie; zawołała mnie i powiada: "Dnia trzeciego przybędziesz do Ftyi, gdzie plony obfite".

KRITON. Szczególny ten sen, Sokratesie.

SOKRATES. Ale jasny, jak mi się zdaje, Kritonie.

KRITON. I bardzo ? oczywiście. Ale przedziwny człowieku, Sokratesie. Jeszcze i teraz posłuchaj mnie i ratuj się. Bo mnie, jeżeli ty umrzesz, spotka nie jedno tylko nieszczęście, ale naprzód, stracę takiego przyjaciela, jakiego nigdy drugiego nie znajdę, a jeszcze będzie się niejednemu zdawało, kto mnie i ciebie dobrze nie zna, że mogąc cię uratować, gdybym był chciał odżalować pieniędzy, nie pomyślałem o tym. A jakaż może być bardziej haniebna opinia od tej: uchodzić za takiego, co pieniądze więcej ceni niż przyjaciół? Szerokie koła nie uwierzą, żeś ty sam nie chciał stąd wyjść, choć myśmy cię nakłaniali.

SOKRATES. Ale cóż wam tak, pocziwy Kritonie, zależy na opinii szerokich kół? Najprzyzwoitsi i najrozumniejsi ludzie, o których się więcej dbać powinno, pomyślą, że to się właśnie tak stało, jak się stanie. KRITON: A jednak widzisz chyba, Sokratesie, że trzeba dbać o opinię i u szerokich kół. Widzisz, co się dzieje; widać, że szerokie koła potrafią nie najmniejsze nieszczęścia powodować, ale największe po prostu, jeżeli kogo przed nimi oczernią.

SOKRATES. Gdyby to tak, Kritonie, mogły szerokie koła powodować największe zło, żeby tak mogły i największe dobro, dobrze by to było. Tymczasem one ani jednego, ani drugiego nie potrafią. Ani mądrym człowieka nie zrobią, ani głupim; ot, robią to, co im się trafi.

KRITON. Tak, tak; niech tam będzie. Ale to, Sokratesie, powiedz mi: prawda, tobie chodzi o mnie i o innych przyjaciół, żeby, jeślibyś stąd uszedł, donosiciele nam nie robili kłopotów za to, żeśmy cię stąd wykradli i żebyśmy nie musieli albo całym majątkiem nałożyć, albo grubymi pieniędzmi; albo i jeszcze się nam coś, oprócz tego, oberwie; więc jeżeli się boisz czegoś podobnego, to daj temu pokój. Przecież żeby ciebie uratować, naszą powinnością jest podjąć to niebezpieczeństwo i jeszcze większe niż to, jeżeliby potrzeba. Więć posłuchaj mnie i koniecznie tak zrób.

SOKRATES. Ja ii o tym myślę, Kritonie, i o wielu innych względach.

KRITON. Więć i o to się nie bój. Przecież to nawet niewielkie sumy, co tu niektórzy gotowi wziąć, uratować cię i wyprowadzić stąd. Przy tym, czy ty nie znasz tych donosicieli, jak ich łatwo podplacić, jak na nich potrzeba mało

pieniędzy. A tobie wystarczą, myślę, moje pieniądze; będzie dość. Potem, jeżeli się o mnie boisz i myślisz, że nie trzeba ruszać moich, toż ci tu znajomi gotowi pieniądze złożyć. Jeden nawet już przyniósł właśnie na ten cel, ile potrzeba; Simiasz z Teb. A gotów jest i Kebes, i innych wielu bardzo. Więc, jak mówię, nie bój się o to i nie opuszczaj ręk, zamiast się ratować, ani, jakżeś tam w sądzie mówił, tym się nie gryź, że gdybyś stąd wyszedł, to nie miałbyś co ze sobą począć. Bo i wszędzie indziej, gdzie tylko przyjdiesz, będą cię ludzie kochali. A gdybyś chciał pójść do Tesalii, to ja tam mam znajomych; oni cię będą bardzo szanowali i będziesz u nich bezpieczny i nikt ci nie będzie dokuczał w Tesalii.

A jeszcze, Sokratesie, mam to wrażenie, że nawet raic godziwego nie zamyślasz zrobić, oddając się na śmierć, kiedy się możesz uratować. I tak się śpieszysz do tego, do czego by się i wrogowie twoi mogli śpieszyć i pośpieszyli się też, żeby cię zgubić.

A oprócz tego, zdaje mi się, że i chłopców własnych rzucasz na pastwę losu; mógłbyś ich wychować, wyprowadzić na ludzi, a ty ich rzucasz i zabierasz się; niech sobie robią, co chcą, ciebie to nic nie obchodzi. I co z nimi będzie? Oczywiście? Jak to zwykle z sierotami, kiedy same zostaną na świecie. Bo albo się nie powinno robić dzieci, albo już: razem z nimi biedę gryźć i chować, i kształcić. A ty, mam wrażenie, wybierasz sobie tak co bądź. A to trzeba tak, jak by wybrał człowiek dzielny, człowiek odważny, to wybierać, kiedy ktoś tak mówi, że o dzielność dbał przez całe życie.

Ja, doprawdy, ja się i za ciebie, i za nas, za twoich przyjaciół, wstydzę; to wszystko, co się z tobą stało, będzie tak wyglądało, że się przez jakiś brak woli u nas takie rzeczy porobiły i to wniesienie skargi do sądu; przecież weszła, choć mogła była nie wpłynąć, i sam przebieg procesu, jak się odbył; i ten koniec teraz, jak na śmiech na to wszystko; przez jakieś tchórzostwo, przez niemrawe postępowanie z ręką się nam wszystko wymknęło, powiedzą, bośmy cię wcale nie wyratowali ani ty samego siebie; a można było przecież i dałoby się, gdybyśmy my byli choć coś trochę warci!

Więc to, Sokratesie, zważ, żeby oprócz nieszczęścia jeszcze i wstydu nie było i dla ciebie, i dla nas. Zastanów się przecież, a lepiej; już i nie pora się zastanawiać, tylko się zdecydować. Decyzja jedna tylko. Tej nocy przecież wszystko się to musi odbyć. Jeżeli jeszcze poczekamy, nic się nie da zrobić i już nic niepodobna. Więc na każdy sposób, Sokratesie, posłuchaj mnie i koniecznie, bezwarunkowo tak zrób, nie inaczej.

SOKRATES. Kochany Kritonie. Bardzo cenne twoje chęci, gdyby tylko w nich była pewna poprawność. A jeśli nie, to im są gorętsze, tym przykrzejsze. Więc trzeba się nam zastanowić, czy to zrobić, czy nie. Ja już taki jestem; nie tylko teraz, ale zawsze taki, nie umiem nikogo i niczego innego z moich słuchać, jak tylko argumentu, który mi się po rozwadze wyda najlepszy. A tych argumentów, które przedtem przytaczałem, nie umiem teraz wyrzucić za drzwi, kiedy mnie dzisiejszy los spotkał, ale coś mi się wydają zupełnie takie same i te same szanuję i czczę, co i przedtem. Jeżeli dzisiaj nie znajdziemy lepszych niż one, to bądź przekonany, że ja ci nie ustąpię pod żadnym warunkiem, nawet gdyby nas potęga szerokich kół jeszcze więcej niż teraz straszyla, niby małe dzieci, i na stracha nam nasyłała kajdany, skony, konfiskaty dóbr...

Więc jak by to na j przyzwoicie j można rozpatrzyć? Może naprzd weźmy ten argument, który ty mówisz; to o tych opiniach; czy się dobrze mówiło za każdym razem, czy nie, że na jedne opinie należy zważać, a na drugie nie. Czy też, zanim ja miałem umrzeć, to była prawda, a teraz pokazało się, że tak tylko, aby mówić, mówiło się inaczej, a naprawdę to było dzieciństwo i takie sobie gadanie. Ja chcę naprawdę, razem z tobą, Kritonie, rozpatrzyć, czy mi się ten argument przedstawi w nieco innym świetle na tle mojego obecnego stanu, czy w tym samym: i albo mu damy pokój, albo też będziemy go słuchali.

Otóż mam wrażenie, że zawsze tak jakoś mówili ludzie uważający, że jednak coś mówią, tak jak w tej chwili ja mówiłem, że z opinii, które ludzie żywią, trzeba jedne cenić wysoko, a drugich nie. Na bogów, Kritonie. Ty nie uważasz, że to dobrze powiedziane? Przecież ty, po ludzku rzeczy biorąc, nie masz umrzeć jutro; ciebie nie może zbijać z tropu to obecne nieszczęście. Pomyślże!

Nie wydaje ci się słusznym to zdanie, że nie wszystkie opinie ludzkie należy szanować, ale jedne tak, a drugie nie. I nie wszystkich ludzi, tylko jednych tak, a drugich nie. Co powiesz? To nie jest słuszne zdanie?

KRITON. Słuszne.

SOKRATES. Więc, które coś warte, te szanować, a które nic, tych nie? KRITON. Tak.

SOKRATES. A warte coś opinie ludzi myślących, a nic niewarte opinie jednostek bezmyślnych?

KRITON. No pewnie.

SOKRATES. A proszę cię; jakże się znowu takie rzeczy mówiło: człowiek, który ćwiczy ciało i zajmuje; się gimnastyką, czy zważa na pochwały i nagany każdego i na mniemania, czy też tylko na jednego jedyne, który jest właśnie lekarzem lub nauczycielem gimnastyki?

KRITON. Na jednego tylko.

SOKRATES. Więc bać się trzeba nagany, a cenić sobie pochwały tylko tego jednego, a nie szerokich kół?

KRITON. Tak, to jasne.

SOKRATES. Więc on' tak powinien postępować i ćwiczyć się, i jeść, i pić, jak się to wydaje jednemu, temu, co nad nim stoi i rozumie się na rzeczy raczej, niż jak się wszystkim innym wy da j e? KRITON. Tak jest.

SOKRATES. Dobrze. A gdyby nie słuchał tego jednego i nie szanował jego zdania, i nie cenił jego pochwał, a cenił zdania szerokich kół, choćby i nie znających się nic a nic na rzeczy, czy mu się nic złego przez to nie stanie?

KRITON. Jakże nic?

SOKRATES. A jakież to zło i czego się tyczy, i do czego się odnosi u tego, co nie słucha?

KRITON. Oczywiście, że dotyczy jego ciała; on przecież ciało marnuje.

SOKRATES. Dobrze mówisz, zatem i w innych sprawach, Kritonie, tak samo, żeby nie przechodzić wszystkiego po kolei, i tak samo tam, gdzie chodzi o sprawiedliwość i niesprawiedliwość, i hańbę, i piękno, i dobro, i zło, rzeczy, o których teraz radzimy? czyśmy w tych rzeczach powinni iść za opinią szerokich kół i bać się jej, czy też za opinią jednego, jeśli się ktoś na tych rzeczach rozumie, ii takiego należy szanować i bać się go więcej niż wszystkich innych razem, bo jeśli za mm nie pójdziemy, to popsujemy i splamimy coś, co się przez sprawiedliwość lepsze staje, a przez niesprawiedliwość ginie? Czy nie tak?

KRITON. Tak mi się zdaje, Sokratesie.

SOKRATES. No więc; otóż jeśli to, co się przez higienę lepszym staje, a przez chorobliwe wpływy psuje, zniszczymy, słuchając czegoś innego, a nie opinii tych, którzy się na rzeczy rozumieją, to czy nam warto żyć, kiedy nam się to coś popsuje, a to niby jest ciało? Czy nie?

KRITON. Tak.

SOKRATES. Więc czy warto nam żyć z ciałem zepsutym i podłym?

KRITON. Nie.

SOKRATES. A z tym nam warto żyć zepsutym, co niesprawiedliwość plami i czemu sprawiedliwość służy? Czyżbyśmy uważali, że mniej wart od ciała ten jakiś nasz pierwiastek, którego się tyczy niesprawiedliwość i sprawiedliwość.

KRITON. Nigdy.

SOKRATES. Więc on więcej wart?

KRITON. I znacznie.

SOKRATES. Więc, mój kochany, może nie tak bardzo się należy troszczyć o to, co o nas powiedzą szerokie koła, ale co powie ten, który się rozumie na sprawiedliwości i niesprawiedliwości; on jeden i prawda sama. Więc naprzód niesłuszna twoja teza, kiedy twierdzisz, żeśmy się powinni troszczyć o opinię szerokich kół tam, gdzie chodzi o to, co sprawiedliwe i piękne i dobre, i na odwrót. Ale znowu, powie może ktoś, B mogą nas te szerokie koła życia pozbawić.

KRITON. Oczywiście i to; z pewnością powie, Sokratesie.

SOKRATES. Słusznie mówisz. Ale wiesz co? Ten argument, któryśmy przeszli, mnie przynajmniej wydaje się jeszcze ciągle taki sam jak dawniej. Więc zobacz znowu ten, czy zostajemy przy tym, czy nie, że nie: żyć za każdą cenę potrzeba, ale dobrze żyć.

KRITON. A zostajemy.

SOKRATES. A że dobrze i pięknie, i sprawiedliwie, to jest jedno i to samo, zostajemy przy tym, czy nie?

KRITON. Zostajemy.

SOKRATES. No więc na założenia się zgadzamy; zobaczymy, czy wynika z nich, że ja powinien próbować ucieczki stąd, choć Ateny nie pozwalają, czy nie powinien. Jeśli się okaże, że ja powinien, to próbujemy, jeśli nie, dajmy pokój. A to, co ty mówisz, te uwagi o wydatkach, o opinii, o wychowaniu dzieci, to bodaj czy nie będą uwagi dobre dla tych, którzy od ręki skazują człowieka na śmierć, a potem by go z martwych wskrzesić gotowi, gdyby mogli; nie dla człowieka myślącego; nie? to dla tych szerokich kół. A my, skoro tak rozumowania tędy prowadzi, bezwarunkowo nie bierzemy czegoś innego pod uwagę, jak tylko to, cośmy w tej chwili mówili: czy słusznie postąpimy, dając pieniądze tym, którzy mnie mają stąd wyprowadzić, niby przez wdzięczność, i sami też? jeden z nas ułatwi ucieczkę, a drugi się pozwoli wyprowadzić, czy też naprawdę popełnimy zbrodnię robiąc to wszystko. I jeżeli się takie postępowanie okaże zbrodnią, to już bezwarunkowo nie będziemy brali w rachubę tego, czy umrzeć wypadnie, jeżeli zostaniemy na miejscu i cicho będziemy siedzieli, czy nas cokolwiek bądź spotka, byle tylko nie zbrodnia.

KRITON. Mnie się wydaje, że ty dobrze mówisz, Sokratesie. Więc patrzaj, co robić.

SOKRATES. Słuchaj, dobra duszo; rozważajmy razem i jeżeli gdzieś będziesz miał coś przeciw temu, co powiem, to mów, zaprzecz? ja cię posłucham. A jeżeli nie, to nie powtarzaj w swojej pocziwości wciąż tego samego, że ja powinienem stąd wyjść wbrew woli Aten. Bo mnie ogromnie zależy na tym, żebym to zrobił, kiedy cię przekonam, a nie wbrew tobie. Więc zobacz początek rozważań, czy ci wystarcza, i próbuj odpowiadać na pytania, jak możesz najlepiej.

KRITON. No, spróbuję.

SOKRATES. Żadnym sposobem nie powinno się, powiemy, popełniać zbrodni dobrowolnie, czy też w jednym sposobie można, a w innym nie? Czy też zbrodnia nigdy nie jest ani dobra, ani piękna, jakieśmy się na to nieraz dawniej zgadzać (jak się to i przed chwilą mówiło). Może się gdzieś w tych kilku dniach ostatnich ulotniły te zasady, któreśmy przedtem wspólnie uznawali; kto wie, Kritonie, my, ludzie w tym wieku, starcy, rozprawialiśmy tak poważnie, a nie wiedział sam jeden z drugim, żeśmy zupełnie jak małe dzieci; czy może raczej rzeczy mają się zupełnie tak samo, jakieśmy i my przedtem mówili, 'wszystko jedno, czy tak mówią szerokie koła, czy nie, i wszystko jedno, czy nam wypadnie coś jeszcze gorszego znieść niż to teraz, czy coś łżejszego, zawsze zbrodnia jest czymś złym i hańbą dla tego, który ją popełnia, bez względu na wszystko inne? Zgodzimy się czy nie?

KRITON. Zgodzimy się.

SOKRATES. Więc nigdy zbrodni popełniać nie wolno?

KRITON. Nie, oczywiście.

SOKRATES. Ani, jeśli na kimś zbrodnię popełniono, zbrodnią odpłacać, jak sądzą szerokie koła, skoro c w ogóle nigdy zbrodni popełniać nie wolno?

KRITON. Zdaje się, że nie.

SOKRATES. No cóż; a źle robić trzeba, Kritonie, czy nie?

KRITON. Nie, trzeba przecież, Sokratesie!

SOKRATES. Czyżby? A złem płacić, kiedy się zła doznało, jak mówią szerokie koła, to sprawiedliwie czy niesprawiedliwie?

KRITON. Nigdy.

SOKRATES. Więc może robić ludziom źle to nic innego jak zbrodnia?

KRITON. Prawdę mówisz.

SOKRATES. Więc ani zbrodnią odpłacać nie trzeba, ani źle robić nikomu, nawet gdybyś nie wiadomo czego od ludzi doświadczył, Kritonie, kiedy się na to zgadzasz, uważaj, żebyś się nie zgodził wbrew osobistemu przekonaniu. Ja wiem, że dziś mało kto tak myśli i mało kto będzie tego zdania. A jeżeli jeden tak myśli, a drugi nie, tacy dwaj nigdy się nie zgodzą na wspólne zasady działania; konieczne będzie jeden drugiemu gardził widząc, jak się tamten decyduje. Więc zastanów się i ty bardzo uważnie, czy zgoda między nami, czy moje przekonanie podzielasz i czy zaczniemy naszą naradę od tego, że nigdy nie godzi się ani zbrodni popełniać, ani zbrodnią

odpłacać, ani jeśli się zła doznało, złem za złe oddawać. A może odstępujesz i nie godzisz się na punkt wyjścia. Bo ja mam to przekonanie już od dawna i teraz jeszcze je wyznaję, a ty, jeśli może masz jakie inne zdanie, to powiedz, poucz mnie. Jeżeli zostajesz przy dawnym, to posłuchaj, co dalej.

KRITON. Zostaję i zgadzam się z tobą; więc mów.

SOKRATES. Mówię tedy dalej, a raczej pytam: czy jeśli się z kimś umówisz na rzecz słuszną, masz tego dotrzymać czy zrobić zawód?

KRITON. Dotrzymać.

SOKRATES. Jeżeli tak, to przypatrz się: jeżeli się stąd wyniesiemy, a nie przekonamy państwa, zrobimy komuś złe, i to komu najmniej należy, czy też nie? I czy dotrzymamy umowy, którąśmy zawarli na rzecz słuszną, czy nie?

KRITON. Nie umiem ci, Sokratesie, odpowiedzieć na to pytanie; nie rozumiem.

SOKRATES. Więc tak, popatrz, gdybyśmy tak mieli stąd uciekać, czy jak tam to zechcesz nazwać, a tu by prawa przyszły i państwo we własnej osobie, stanęłyby nam nad głową i zapytały: "Słuchaj, Sokratesie, co ty zamýślasz zrobić? Chyba nic innego, tylko tym czynem, który podejmujesz, myślisz nas, prawa, zgubić i całe państwo, o ile w twojej mocy? Czy sądzisz, że potrafi jeszcze istnieć i nie wyrzucić się do szczętu państwo, w którym wydane wyroki mocy żadnej nie mają, ale im ludzie prywatni władzę odejmują i ważność?" Co powiemy, Kritonie, na te i tym podobne słowa? Bo przecież niejedno by ktoś mógł powiedzieć, już nie mówię retor, w obronie tego prawa zagrożonego, które nakazuje, żeby wyroki wydane miały moc. A może powiemy im, że zbrodnię popełniło przecież na nas państwo i wyrok wydało niesprawiedliwy. To, czy co innego powiemy? KRITON. To, na Zeusa, Sokratesie.

SOKRATES. A cóż, jeśliby prawa powiedziały: „Sokratesie, a czy i na takie postępowanie stanęła zgoda między nami a tobą, czy też na to, że trzeba trwać przy wyrokach, które państwo wyda?” A gdybyśmy się dziwili, że one tak mówią, gotowe by powiedzieć, że: „Ty się nie dziw, Sokratesie, tylko odpowiadaj; to przecież twój zwyczaj pytania i odpowiedzi. A zatem co masz przeciwko nam i przeciw państwu, że nas chcesz teraz wniwecz obrócić? Czyż nie pierwaj myśmy cię zrodziły i nie przez nas pojął twój ojciec i spłodził cię? Więc powiedz tym z nas, tym prawom, które małżeństw dotyczą, masz do nich jakiś żal, że nie są dobre?” Nie mam żalu, powiedziałbym. „Więc może do tych, które dotyczą wyżywienia i wychowania dzieci? Przecież i tyś odebrał wychowanie. Więc niedobrze nakazywały te z nas, które na to są ustanowione, kiedy potęcały ojcu twemu, żeby cię w muzyce, w literaturze i gimnastyce kształcił?”

Dobrze? odpowiedziałbym. „Pięknie; a skoroś się urodził i wychował, i wykształcił, to czyż potrafiłbyś powiedzieć: po pierwsze, żeś nie był naszym synem i niewolnikiem? ty sam i twoi przodkowie?”

A jeżeli tak, to co myślisz, że równe prawa twoje i nasze? I cokolwiek my byśmy tobie próbowały zrobić, to myślisz, że ci się godzi nam robić na odwet to samo? Czy też wobec ojca nie miałeś równych praw, ani wobec pana, jeżeliś go miał, tak żeby im zaraz oddawać, czegokolwiek byś od nich doświadczył, i nie wolno ci było zaraz odpowiadać, kiedyś złe słowa usłyszał, ani bić na odwet, kiedy cię bito, ani innych wielu podobnych rzeczy robić. A wobec ojczyzny i wobec praw to ma ci być wolno, tak że kiedy my cię chcemy zgubić, bo to uważamy za słusne, to ty będziesz próbował na odwet, o ile w twojej mocy, gubić nas: prawa i ojczyznę? I ty będziesz, robiąc to, mówić, że postępujesz sprawiedliwie? Ty, który naprawdę dbasz o dzielność. Czy też taki z ciębie mędrzec, a nie dojrzałeś, że od matki i od ojca, i od innych przodków wszystkich cenniejsza jest ojczyzna i większej czci godna, i świętsza i we większym zachowaniu jest u bogów i u ludzi myślących, i czcić ją potrzeba, i ustępować jej, i czołem bić przed ojczyzną, kiedy się gniewa nawet, raczej niż przed ojcem, i albo ją przekonywać, albo robić, co ci każe, i znosić, jeżeli coś znosić poleci, a cicho siedzieć, choćby cię bito i więziono, i wiedziono na wojnę, na rany i na śmierć; masz to robić, bo tego wymaga sprawiedliwość, i nie wolno ci się usuwać ani ustępować z pola, ani rzucać szyków, ale i w wojnie, i w sądzie, i wszędzie indziej robić masz, co ci każe państwo i ojczyzna, albo ją przekonywać, co jest właściwie sprawiedliwe: ale gwałtu zadawać się nie godzi ani matce, ani ojcu, ani tym mniej ojczyźnie". Cóż my na to powiemy, Kritonie? Prawdę mówią prawa czy nie?

KRITON. Zdaje mi się, że tak.

SOKRATES. „Przypatrz się więc, Sokratesie? powiedziałyby z pewnością prawa? czy my to słusznie mówimy, że niesprawiedliwie chcesz w tym wypadku z nami postąpić? Myśmy cię zrodziły, wychowały, wykształciły, obsypały wszelkimi dobrami, jakimiśmy tylko mogły, i ciebie, i wszystkich innych obywateli, a jednak ogłaszamy wszem wobec i pozwalamy każdemu Ateńczykowi, który tylko zechce i uzyska prawa obywatelskie, przyjrzy się stosunkom w państwie i nam, prawom, a my mu się nie spodobamy, to wolno mu zabrać manatka i iść, dokąd zechce. Żadne z nas, żadne prawo mu nie stoi na przeszkodzie i nie zabrania; może sobie przecież każdy z was pójść do kolonii, jeżeli mu się my nie podobamy i państwo, a jeśliby się chciał gdzieś indziej przenieść i tam pójść, niech sobie idzie, gdzie chce, i zabierze ze sobą, co tylko ma. Ale jeśli który z was siedzi na miejscu i widzi, jak my tu sądzymy sprawy i jak my w ogóle państwem rządymy, taki już, uważamy, czynem zawarł z nami umowę, że będzie spełniał wszystkie nasze rozkazy; więc kto nie słucha, ten potrójną, powiadamy, zbrodnię popełnia, bo nam, rodzicom własnym, nie jest powolny, i wychowawcom i umówiwszy się z nami o posłuszeństwo ani nas nie słucha, ani nas nie przekonywa, jeżeli coś niedobrze robimy. A przecież my mu przedkładamy rzecz, a nie narzucamy nigdy rozkazów w sposób ordynarny; zawsze zostawiamy jedno z dwojga: albo nas przekonaj, albo rób; a on nie robi ani jednego, ani drugiego.”

"Otóż mówimy, Sokratesie, że te zarzuty będą cięższe i na tobie, jeżeli zrobisz to, co zamýślasz. I nie będziesz ty najmniej winien w Atenach, ale ty przede wszystkim". A gdybym ja powiedział: dlaczego właściwie? to z pewnością słusznie by się mnie ucpepiły i powiedziały, że pośród wszystkich Ateńczyków ja właśnie przede wszystkim taką z nimi zawarłem umowę. Powiedziałyby: "Sokratesie, my mamy wielkie świadectwa na to, że i myśmy ci się podobały, i państwo. Bo byś przecież nie był, więcej niż każdy inny Ateńczyk, w mieście przebywał, gdyby ci się nie było więcej niż innym podobało."

Przecież nawet na uroczystość nigdy z miasta nie chodził, chyba raz na Istmus, ani nigdzie indziej, chyba gdzieś na wojnę; nigdy żadnej podróży nie odbywał, jak inni ludzie, i nie brała cię chętka poznania innych państw i innych praw, tylko c myśmy ci wystarczały i nasze państwo. Tak bardzo byłeś za nami i godziłeś się być

pod naszymi rządami obywatelem; zresztą i dzieci tutaj miałeś, jako iż ci się to państwo podobało. Przecież jeszcze podczas procesu mogłeś być sobie zaproponować wygnanie, gdybyś był chciał; mogłeś to samo, co teraz myślisz zrobić wbrew woli państwa, uczynić wtedy za jego wolą. A tyś się wtedy stawiał, że się niby to nie będziesz oburzał, gdyby ci przyszło umrzeć, i wolałeś, jakęś mówić, raczej śmierć niż wygnanie. A teraz ani tamtych słów nie szanujesz, ani na nas, na prawa nie zważasz, chcesz nas wniwecz obrócić, postępujesz jak najlichszy niewolnik, uciekać chcesz wbrew umowom, wbrew kontraktom, którymiś się zobowiązał być obywatelem. Więc naprzód nam na to właśnie odpowiedz, czy to prawda, co mówimy, żeś ty się zgodził być obywatelem wedle nas, a zgodziłeś się czynem, nie słowem, czy też to nieprawda?" Co my powiemy na to, Kritonie? Cóż, chyba się zgodzimy!

KRITON. Koniecznie, Sokratesie.

SOKRATES. „Cóż więc? powiedziałyby? ty łamiesz umowy i zobowiązania zawarte z nami, a nie zawierałeś ich pod przymusem ani cię nikt w błąd nie wprowadzał, aniś się nie musiał decydować w krótkim czasie, tylko przez siedemdziesiąt lat, w których mogłeś się zabrać, jeżeliś ci się nie podobały i umowy ci się nie wydawały słuszne. A tyś ani Sparty nie wybrał, ani Krety, o których zawsze mówisz, że tam są dobre prawa, ani żadnego innego z miast helleńskich ani barbarzyńskich; jeszcze mniej się z miasta ruszałeś niż kulawi, ślepi i inne kaleki; tak szczególnie ci się państwo ateńskie podobało; i my, prawa tutejsze, oczywiście. Bo ko-muż by się podobało państwo bez praw? I ty teraz nie myślisz dotrzymać umowy? Przecież, jeśli nas posłuchasz, Sokratesie, i ty się nie będziesz ośmieszał tym opuszczeniem miasta.

"Więc popatrz tak; łamiąc to i uchybiając temu w czymkolwiek, co ty dobrego zrobisz i sobie samemu, i swoim najbliższym? Bo że się tui bliscy także narażają na wygnanie z państwa i utratę praw obywatelskich albo konfiskatę dóbr, to oczywista. A ty sam, jeśli pójdziesz do któregoś z najbliższych miast, do Teb czy do Megary, tu i tam są dobre prawa i porządek, to naprzód przyjdiesz tam jako wróg ich ustroju społecznego i kto tylko się tam troszczy o swoje państwo, będzie na ciebie patrzył spode łba jako na tego, co prawa wniwecz obraca, i utwierdzisz tylko opinię swoich sędziów; c będą ludzie myśleć, że oni słuszny wyrok wydali. Przecież kto prawa wywraca, musi mocno wyglądać na gorszydziela ludzi młodych i niewiele myślących. Więc może będziesz unikał państw praworządnych i ludzi co najporządniej szych? Ale tak robić, to czyż ci nie wstyd będzie żyć? Albo zaczniesz się zbliżać do nich i na j bezczelnie j nawiązywać rozmowy? jakie rozmowy, Sokratesie? Może takie, jak tu, że dzielność i sprawiedliwość to najwyższe wartości człowieka, i życie według praw, i same prawa?

"I nie uważasz, że wtedy w nieprzyzwoitym świetle stanie cała postać i postępowanie Sokratesa? Spodziewać się tego trzeba. Więc może zabierzesz się stamtąd, a pójdziesz do Tesalii, do tych znajomych Kritona. Tam największy nieporządek i rozpusta; tam by cię może chętnie słuchali, jakęś to śmiesznie uciekł z więzienia, w jakimś przebraniu, w kozuchu czy w czym tam, jak się zwykle ludzie przebierają do ucieczki, i odmieniłeś swój wygląd do niepoznania. A że ty, starzec, kiedy ci już wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mało co czasu do życia zostało, miałeś odwagę i chęć żyć tak z żebractwa, po hultajsku, prawa największe złamawszy, tego ci nikt nie powie?

"Może i nikt, jeżeli nikogo nie obrazisz. Ale jeśli nie, to usłyszysz. Sokratesie, niejedno poniżej swojej godności. Więc będziesz się nisko kłaniał całemu światu, będziesz żył jak niewolnik i co będziesz robił? Chyba wesoło żyć w Tesalii, jak byś tam na uczyty pojechał do tej Tesalii, a gdzież owe rozprawy, te o sprawiedliwości i o innej dzielności, gdzie?

"Ale ty chcesz pewnie żyć dla dzieci, żeby je wychować, wykształcić. Jak to? Do Tesalii ich zawieziesz i tam ich będziesz chował i kształcił na obcych we własnej ojczyźnie; niech ci jeszcze i to mają do zawdzięczenia. Czy też to nie; na miejscu niech się chowają, ale jak ty będziesz żył, to lepiej się wychowają i wykształcą, chociaż ciebie przy nich nie będzie. Przecież bliscy tui będą o nich dbali. Czy też może, jeśli do Tesalii pojedziesz, to będą dbali, a jeśli do Hadesu, to nie będą? Przecież jeśli są coś wari, ci co się za twoich najbliższych podają, to można na nich i tak liczyć.

"Więc tak, Sokratesie, posłuchaj nas; myśmy cię wychowały i nie ceń ponad nas dzieci ani życia, ani niczego innego nie przenoś nad sprawiedliwość, abyś i jak do Hadesu przyjdiesz, mógł to wszystko powiedzieć tamtejszym władcom na swoją obronę. Bo ani się tobie tutaj taki czyn nie wydaje lepszy, ani sprawiedliwszy, ani bardziej zbożny, ani nikomu z twoich bliskich, ani też tam, kiedy przyjdiesz, lepiej ci z nim będzie.

"Teraz odchodzisz pokrzywdzony, jeśli odejdiesz, ale krzywdą cię nie od nas, nie od praw spotyka, tylko od ludzi; a jeżeli wyjdiesz stąd, tak haniebnie krzywdą za krzywdę zapłaciwszy i złe za złe oddawszy, jeśli umowy swoje i zobowiązania wobec nas złamiesz i źle zrobisz tym, którym najmniej należało, bo sobie samemu i przyjaciółom, i ojczyźnie, i nam, to my się będziemy na ciebie gniewały za życia, a tam nasi bracia, tamte prawa w Hadesie, nie podejmą cię łaskawie; dowiedzą się, żeś ty nas próbował wniwecz obrócić, o ile było w twojej mocy.

Więc niechże cię Kriton czasem nie nakłoni, żebyś zrobił to, co on mówi raczej, niżli my. Przyjacielu drogi, Kritonie. Bądź przekonany, że mi te rzeczy ciągle w uszach dzwonią, tak jak Korybantom flety w uszach grają, i tak się we mnie mocno głos tych słów rozlega, że nie potrafię słuchać innych. Bądź przekonany, tak się mi przynajmniej teraz zdaje, że jeśli powiesz coś przeciw temu, będziesz mówił daremnie. Jednakże jeśli uważasz, że coś wskórasz, to mów.

KRITON. Nie, Sokratesie; nie mam co mówić.

SOKRATES. Więc daj pokój; zróbmy tak, skoro tak bóg prowadzi.

Opowieść o śmierci Sokratesa

Fedon

- Więc wy? powiada? Smuaszu i Kebesie, i wy reszta innym razem pójdziecie, kiedy tam któremu czas wypadnie; a mnie JUŻ teraz, powiedziałyby jakiś tragik, los. woła i bodaj że mi właśnie pora myśleć o kąpielu.

Wydaje się przecież rzeczą lepszą naprzód się wykapać, a potem wypić truciznę i nie robić zachołu kobietom, żeby trupa myły.

Gdy on to powiedział, wtedy Kriton mówi: No, niech tam, Sokratesie; ale może masz jakieś zlecenie dla nich tutaj albo dla mnie; może coś w sprawach twoich chłopców, albo w innej jakiej; może moglibyśmy zrobić ci jakąś przyjemność?

? To, co zawsze mówię ? powiada ? Kritonie, nic nowego. Że jak będziecie dbali o siebie samych, to i mnie, i moim bliskim, i sobie samym zawsze zrobicie przyjemność, cokolwiek byście robili. Chociażbyście teraz nie obiecywali. A jeżeli nie będziecie dbali o siebie samych i nie zechcecie żyć w ślad tego, co się tu dziś mówiło i dawniej nieraz ? to nie zrobicie i tak nic dla mnie, choćbyście teraz nie wiadomo co przyrzekali i jak najgoręcej. ? Więc my się będziemy starali ? powiada ? tak postępować. A pogrzebać cię mamy w jaki sposób?

? Jak się wam tylko podoba ? mówi ? jeżeli mnie tylko dostaniecie i ja wam nie ucieknę.

Równocześnie uśmiechnął się łagodnie a spojrzawszy na nas: Nie mogę ? powiada ? przekonać Kritona, że to ja jestem Sokrates, ten, co teraz z wami rozmawia i na swoim miejscu kładzie każde zdanie, ale mu się zdaje, że ja jestem ten, którego za chwilę zobaczy: trup, i pyta się mnie, jak mnie ma pochować. A kiedy ja tu długo i szeroko dowodzę, że skoro wypiję truciznę, to wcale nie zostanę z wami, tylko sobie pójdę precz, w jakieś krainy szczęśliwych, on to widać bierze inaczej: myśli, że mówię to, aby pocieszyć i was, i siebie samego. Więc zaręczcie Kritonowi za mnie; wprost przeciwnie, jak on za mnie przed sędziami ręczył. Bo on, że ja stanowczo tu zostanę, a wy zaręczcie, że stanowczo tu nie zostanę, jak umrę, tylko sobie pójdę stąd, aby Kritonowi lżej było i żeby nie rozpaczał, że straszne męki cierpię, kiedy zobaczy, jak moje ciało palą albo zakopują, i żeby podczas pogrzebu nie 'mówił, że oto Sokratesa na katafalku kładzie albo wynosić każe, alibo zakopywać. Wierz mi, Kritonie kochany, że nieładny zwrot to nie tylko błąd sam przez się, ale jeszcze jakimś złem dusze ludzkie zatruwa. Więc trzeba być dobrej myśli i mówić, że się moje ciało grzebie, a grzebać je tak, jak by ci to najwięcej odpowiadało i jak byś tylko uważał, że się godzi.

Po tych słowach wstał i poszedł do izby jakiejś, aby się ukapać. Kriton poszedł za nim, a nam kazał poczekać. Czekaliśmy więc, sami ze sobą rozmawiając o tym, co było powiedziane, i roztrząsając to na nowo; to znowu się o tym nieszczęściu mówiło, które nas spotkać miało; czuliśmy się po prostu tak, jakby nam ojca braknąć miało i jakbyśmy mieli sierotami zostać całe życie.

Więc kiedy się wykapał i przyniesiono do niego dzieci ? bo miał dwóch synów maleńkich a jednego dużego ? i jego kobiety z domu przyszły, rozmawiał z nimi w obecności Kritona i polecenia pewne im wydawał, a potem kobietom i dzieciom odejść kazał i sam przyszedł do nas. A było już niedaleko do zachodu słońca. Bo długi czas tam zabawiał z nimi. Przyszedł i usiadł świeżo wykąpany i niewiele coś potem rozmawiał, a wszedł pacholek Kolegium Jedenastu i stanąwszy koło niego powiada: Sokratesie, z twojej strony z pewnością mnie to nie spotka, co zawsze mam z innymi, że się gniewają na mnie i przeklinają, kiedy im polecam wypić truciznę, skoro władze każą. Ja cię zresztą poznałem przez ten czas; wiem, żeś człowiek najszlachetniejszy i najłagodniejszy, i najlepszy ze wszystkich, jacy tu kiedykolwiek przyszli. Więc i teraz, wiem z pewnością, że się na mnie nie gniewasz, tylko na tamtych ? bo ty wiesz, kto to winien ? więc teraz ? wiesz przecież, co ci przyszedłem powiedzieć ? daj ci boże i staraj się, jak możesz, najłatwiej znieść to, co być musi. ? I w tej chwili mu się łzy puściły, obrócił się i odszedł.

A Sokrates spojrzawszy na niego i: Daj boże wam ? powiada ? ja to już zrobię. A równocześnie do nas: Jaki to grzeczny człowiek ? powiada ? on tu cały czas do mnie .przychodził i rozmawiał nieraz i był najpocziwszy w świecie. I teraz ? jak on mnie szlachetnymi łzami żegna!

No, więc Kritonie, posłuchajmy go i niech kto przyniesie truciznę, jeżeli zmielona. A jeżeli nie, niech ten człowiek zmiele.

A Kriton: Ależ, Sokratesie ? powiada ? słońce, zdaje mi się, nad górami i nie zaszło jeszcze. A ja też wiem, że inni bardzo późno piją, kiedy rozkaz przyjdzie; i to naprzód jedzą dobrze i piją, a niejeden jeszcze obcuje z kim ma ochotę. Nie śpiesz się tak; jeszcze czas przecież.

A Sokrates: Oczywiście ? powiada ? mój Kritonie, robią tak ci, o których mówisz; im się zdaje, że coś na tym zyskują; ja, oczywiście, tego nie zrobię. Bo nie uważam, żebym coś zyskał, jeżeli trochę później wypiję; nic, tylko śmiech przed sobą samym, gdybym się zębami trzymał życia i oszczędził resztek, kiedy już i tak wszystko wyszło. No więc ? powiada ? posłuchaj i zrób tak, jak mówię.

Ułyszawszy to Kriton skinął na chłopaka, który stał niedaleko. I chłopak wyszedł, a zabawiwszy czas jakiś wrócił, prowadząc tego, który miał truciznę podać, a już ją niósł zamieszaną w kielichu.

Sokrates, zobaczywszy tego człowieka: No tak ? powiada ? mój drogi; ty się na tym rozumiesz; co potrzeba robić?

? Nic więcej ? powiada ? tylko wypić i chodzić potem trochę, aż ci członki ciężyc zaczną; potem się położyć, i tak ono samo już będzie działać.

I równocześnie podał kielich Sokratesowi.

A ten wziął go bardzo uprzejmie, mój Echekratesie; nie zadrgała mu ręka, nie zbrzydła mu cera ni twarz, ale jak on zwykle spod brwi ogromne oczy wrył w owego człowieka i: co myślisz, powiada, o tym napoju. Gdyby tak odlać kroplę na ofiarę komu? Wolno to, czy nie?

? My w sam raz tyle ? powiada ? mielemy, Sokratesie, ile uważamy, że trzeba wypić ? ani mniej, ani więcej.

? Rozumiem ? powiada. ? Ale modlić się do bogów chyba wolno i trzeba nawet, aby przeprowadzka stąd na tamten świat szczęśliwie wypadła. I ja też o to się modlę i oby się tak stało.

To powiedziawszy, zaraz duszką i bez trudności najmniejszej i bez skrzywienia wypił.

Z nas wielu aż do tej chwili umiało jako tako opanować łzy, ale kiedyśmy zobaczyli, jak pije i że już wypił, to już nie sposób, tylko mi się samemu długo tłumione łzy ciurkiem puściły tak, że mi się twarz zasłonił i sam nad sobą płakał. Bo nie nad nim przecież, ale na swój własny los, że takiego Człowieka tracił, przyjaciela.

A Kriton jeszcze prędzej niż ja, kiedy już nie mógł opanować też, wstał. Apollodoros już i przedtem cały czas płakał, a wtedy ryknął spazmem tak okropnym i taką skargą wybuchnął, że dreszcz poszedł po wszystkich obecnych, oprócz samego Sokratesa.

On tylko: Co wy robicie ? powiada. ? Jacyście wy dziwni! Ja przecież właśnie dlatego kobiety do domu wyprawilem, żeby takich rzeczy nie wyrabiały; slyszalem nawet, że umierać trzeba w pobożnej ciszy. Więc uspokójcie się i miejcie moc nad sobą.

My, uslyszawszy to, zawstydziliśmy się i zaczęli powstrzymywać łzy. On chodzil po sali, a potem powiedzial, że mu już członki ciężą i položyl się na wznak. Bo tak przykazal dozorca.

Zaraz się go dotknął ten, co mu był podal truciznę, i co jakiś czas patrzal mu na stopy i golenie, a potem mocno go uszczypnal w stopę i zapytal, czyby co czul. A on powiada, że nie. Potem znowu golenie. A idac tak coraz wyzej, pokazywal nam, lis jak stygnie i sztywnieje. I znowu go dotknal i powiedzial, że jak mu to dojdzie do serca, wtedy skończy.

Juz mu bylo pół ciata zastyglo, kiedy odslonil głowę, bo ją był zakryl i powiada ? a byly to jego ostatnie slowa: Kritonie, myśmy winni koguta Asklepiosowi. Oddajciez go, a nie zapomnijcie!

? Stanie się tak ? powiedzial Kriton. ? Ale może coś innego masz jeszcze powiedziec?

Na to pytanie nic juz nie odpowiedzial, tylko po krótkiej chwili drgnal i dozorca odkryl mu twarz. Oczy juz byly poslyzły w slup. Zobaczywszy to Kriton zamknal mu usta i oczy.

Tak nam, Echekratesie, skonal przyjaciel; czlowiek, o którym możemy powiedziec, że ze wszystkich, którychemy wtedy znali, najlepszy był i w ogóle najmądrzejszy i najsprawiedliwszy.

Mit o zbudowaniu przez boga swiata i czlowieka

Timaios

Sokrates: Doskonaly, swietny gotow być ten rewanz dla mnie, te mowy, którymi chcecie mi się wywdzieczyc za wczoraj. Więc twoja rzecz, Timaiu, mówić teraz, wezwawszy, jak się godzi, bogow na pomoc.

Timaios: Ach, Sokratesie, to przeciez robią wszyscy, którym nie brak choćby odrobiny rozwagi; na poczatku kazdej rzeczy - malej czy wielkiej - zawsze boga na pomoc wzywaja. A my, którzy zamierzamy mówić jakoś o wszechswiecie, jak powstal czy też jest niezrodzony, jeśli nie chybiamy całkowicie, musimy koniecznie bogow i boginie wezwac i pomodlic się, abyśmy wszystko mówili przede wszystkim po ich myśli, a zgodnie z własnymi zalozeniami. Jezeli o bogow chodzi, niech to będzie nasza modlitwa, a jezeli o nas, to modlmy się, abyście wy najlatwiej zrozumieli, a ja zebym na zadany temat jak najlepiej wyluszczył to, co myślę.

Otóz wedlug mego zdania nalezy przede wszystkim rozróznic te dwie rzeczy. Coś, co istnieje wiecznie a powstawania nie ma, i coś, co powstaje zawsze a nie istnieje nigdy. Jedno rozumem, który ujmuje ściśle, uchwycić można jako zawsze takie samo, drugie mniemaniem z pomocą spostrzezeń nieściślych daje się uchwycić jako coś, co powstaje i ginie, a w rzeczywistości nie istnieje nigdy. A znowu wszystko, co powstaje, powstaje z konieczności pod wpływem jakiejś przyczyny. Nic nie może powstawać bez przyczyny. Jezeli wykonawca czegokolwiek patrzy wciąż na to, co jest niezmiennie i jakimś takim się posluguje wzorem, kiedy jego postać, i zdolność wykonywa, wtedy koniecznie wszystko wychodzi skonczone i piękne. A jeśli patrzy na to, co zrodzone, i posluguje się wzorem zrodzonym - wtedy niepiękne. Otóz całe niebo czy też wszechswiat, czy jakkolwiek by się to inaczej potrafilo nazywac - tak to nazywajmy. Więc naprzód się nad tym musimy zastanowić - bo to jest przedmiotem rozważania: rozpatryc poczatke wszechrzeczy; czy swiat istniat zawsze i nie miał zadnego poczatku, czy też powstal kiedyś i miał jakiś poczatke. Otóz powstal. Bo jest widzialny i dotykalny i ciatlo ma a wszystkie tego rodzaju rzeczy są przedmiotami spostrzezeń a przedmioty spostrzezeń daja się ujmowac mniemaniem przy pomocy spostrzezeń zmyslowych i okazaly się tym, co powstaje i powstalo. A powiedzieliśmy, że to, co powstaje, musi powstawać pod wpływem, jakiejś przyczyny. Rzecz w tym, zebym znalezc twórcę i ojca tego wszechswiata, ale znalazłszy, mówić o mim do wszystkich - niepodobna.

W związku z nim zastanowić się znowu nad tym, wedlug jakiego wzoru wykonat swiat jego budowniczy, czy wedlug tego wzoru, który zawsze jest taki sam, czy też wedlug zrodzonego. Jezeli piękny jest ten swiat, a wykonawca jego dobry, to jasna rzecz, że patrzal na wzór wieczny. A jeśli nie, czego się nawet mówić nie godzi, to patrzal na wzór zrodzony. Każdemu rzecz jasna, że na wieczny. Bo swiat jest najpiękniejszy spośród zrodzonych a wykonawca jego najlepszy jest ze sprawców. W ten sposób zrodzony, wykonany jest na wzór tego, co się myślą i rozumem uchwycić daje i zawsze jest takie samo. Skoro tak, jest, to znowu nie może być inaczej, tylko swiat ten jest odwzorowaniem czegos.

Najważniejsza rzecz: zacząć zgodnie z naturą. Zatem trzeba zrobić to rozróznienie między odwzorowaniem i jego pierwowzorem. Bo myśli też są spokrewnione z tym, czegos dotyczą. Myśli, dotyczące tego, co trwa i jest mocne i jasno się rozumowi przedstawia, są też trwałe i nie do obalenia, o ile to tylko możliwe; o ile myśl może być niezbita i nie do ruszenia, tym myślom nie powinno tego zbywac. A myśli, dotyczące tego, co zostalo odtworzone wedlug tamtego wzoru i jest tylko obrazem - są też, podobnie jak ich przedmioty, tylko obrazami prawdopodobnymi.

Czym jest w stosunku do powstawania był rzeczywisty, tym w stosunku do wiary prawda. Jeśli więc, Sokratesie, wielu wiele rzeczy o bogach i o powstawaniu swiata mówilo a my nie potrafimy zdobyć się na myśli pod każdym względem zgodne z sobą i całkowicie jasne, nie dziw się, ale jezeli, nie gorzej od innych, damy obrazy prawdopodobne, niech nam to wystarczy, bo pamiętajmy, że i ja, który mówię, i wy, którzy oceniacie, mamy tylko naturę ludzką, więc, jezeli chodzi o te sprawy, to wypada się nam zadowolic opowieścią o pewnych

rysach prawdopodobieństwa i niczego więcej poza tym nie szukać.

Sokrates: Doskonale, Timaiosie. Ze wszech miar powinniśmy przyjąć to, co zalecasz. Ten twój wstęp przyjęliśmy przedziwnie - więc zaczynaj pieśń, która teraz przychodzi.

Timaios: Więc mówmy, z jakiego powodu organizator zorganizował wszystko, co powstaje, i ten wszechświat. Dobry był. A dobry nie ma w sobie żadnej zazdrości o nic. I on był od niej wolny, więc chciał, żeby się wszystko stawało jak najbardziej podobne do niego. Kto by się najbardziej skłaniał przyjąć taki początek powstawania i wszechświata, zgodnie z przeważającym zdaniem ludzi rozumnych, czyniłby założenie najłagodniejsze. Bóg chciał, żeby wszystko było dobre, a lichego, żeby nie było nic, ile możliwości, więc wziął wszechświat cały widzialny, który nie miał spokoju, tylko się poruszał byle jak i bez porządku, wyprowadził go z chaosu i doprowadził do ładu, uważając, że to ze wszech miar lepsze niż tamto. Nie było racji i nie ma, żeby ktoś najlepszy robił coś innego, jak tylko to, co najpiękniejsze. Obrachował więc sobie i znalazł, że spośród rzeczy z natury swej widzialnych żadne dzieło nierozumne nie będzie nigdy jako całość piękniejsze od dzieła rozumnego jako całości, a nie może mieć rozumu nic, co nie ma duszy. Zważywszy to sobie, złożył rozum w duszy a duszę w ciele i w ten sposób wszystko zmałstrował, aby wszechświat był jak najpiękniejszy w swej naturze.

Najlepszego dzieła dokonał. Więc tak trzeba powiedzieć i to będzie obraz prawdopodobny, że ten świat jest istotą żywą, ma duszę i rozum naprawdę - dzięki opatrności boga. Kiedy to tak jest, wypada nam powiedzieć to, co potem z kolei, a mianowicie, na podobieństwo której istoty żywej zorganizował go organizator. Nie przyznamy, żeby na podobieństwo którejś z tych, co mają naturę cząstki. Bo na podobieństwo czegoś niedoskonałego nie może powstawać nic pięknego. Przyjmijmy, że wszechświat jest najpodobniejszy do tej istoty żywej, której poszczególne istoty żywe i gatunki są cząstkami. Ta istota obejmuje i ma w sobie wszystkie istoty żywe pomyślane tak, jak ten świat zawiera nas i wszelkie inne zwierzęta natury widzialnej. Bóg chciał jak najbardziej upodobnić świat do najpiękniejszego z przedmiotów myśli i ze wszech miar najdoskonalszego, więc zrobił go jedną istotą żywą, widzialną, która zawiera w sobie wszystkie istoty żywe, spokrewnione z nią co do natury.

Otóż, czy słusznie przyjęliśmy jeden wszechświat, czy też słuszniej byłoby mówić o wielu światach i to nieskończonych? Jeden, jeżeli ma być wykonany według wzoru. Bo pierwowzór, obejmujący wszystkie zwierzęta pomyślane, nie może być w żaden sposób drugim z pary wraz z jakimś innym. Bo znowu musiałaby istnieć jeszcze jedna "żywa istota", która by obejmowała tamte obie i one byłyby jej cząstkami i słuszniej należałoby wtedy mówić, że odwzorowanie jest upodobnione do tej istoty obejmującej a nie do owych dwóch objętych. Więc, żeby ten jeden świat był podobny do najdoskonalszej istoty żywej, dlatego twórca światów nie zrobił światów dwóch, ani ich nieskończonej ilości, tylko powstał ten jeden świat, jednorodny i taki zostanie dalej.

Ten świat musi być materialny i widzialny, i dotykalny. A bez udziału ognia nic nigdy nie może być widzialne. Ani dotykalne nic być nie może bez tego, co twarde i stałe a to, co twarde i stałe nie obejdzie się bez ziemi. Dlatego na początku bóg zrobił ciało wszechświata z ognia i z ziemi i ono się z tego składa.

A dwa pierwiastki odosobnione nie mogą się pięknie trzymać razem bez czegoś trzeciego. Musi być między nimi jakiś łącznik wiążący. A najpiękniejszy łącznik taki, który jak najbardziej jedność stanowi wraz ze składnikami. Najpiękniej potrafi tego dokazać proporcja.

Kiedykolwiek są jakieś trzy liczby - czy to ciężary, czy siły jakiegokolwiek i środkowa z nich zostaje w takim stosunku do trzeciej, jak pierwsza do tej środkowej i na odwrót trzecia ma się tak do środkowej, jak ta środkowa do pierwszej, wtedy, jeśli środkowa staje się pierwszą i ostatnią a znowu ostatnia i pierwsza stają się obie środkowymi, wszystkie się muszą zrobić te same z konieczności, a kiedy się zrobią te same, wszystko będzie jednością.

Gdyby się ciało wszechświata miało stać powierzchnią bez żadnej grubości, wtedy by jedna pośrednia wystarczała, aby powiązać z sobą dwa pierwiastki i sama by się z nimi wiązała. Tym czasem wypadło mu stać się bryłą a bryły nigdy się nie połączą zgodnie jedną pośrednią, tylko dwiema. Tak więc i bóg pomiędzy ziemię i ogień położył wodę i powietrze i o ile to było możliwe, ustosunkował je wszystkie jednakowo. Czym jest ogień w stosunku do powietrza, tym powietrze w stosunku do wody i woda w stosunku do ziemi. W ten sposób związał bóg i zestawił wszechświat widzialny i dotykalny. Dlatego to z tych i to takich czterech pierwiastków utworzone zostało ciało wszechświata - zgodne wewnątrz dzięki podobieństwu stosunków. Stąd się w nim przyjaźń znalazła, zaczęła się zrobić jednorodne i nie rozłożyło go nic, jak tylko ten, który je związał.

A z tych czterech pierwiastków budowa wszechświata pochłonęła każdy w zupełności. Organizator skomponował go ze wszystkiego ognia, ze wszystkiej wody i wszystkiego powietrza i ziemi; żadnej cząstki ani żadnej siły żadnego z tych pierwiastków nie zostawił na zewnątrz, to mając na myśli, żeby całość była jak najbardziej istotą żywą, doskonałą, złożoną z części całkowitych a prócz tego, żeby to była jedność, żeby więc nie zostało materiału, z którego by się inny taki świat mógł zrobić. I to jeszcze, żeby nie podlegał starości i chorobom. Wziął pod uwagę to, że ciała złożone mają w swoim otoczeniu gorącości i zimna i wszelakie czynniki, które mają siły wielkie. Te przypadają nieraz nie w porę i powodują rozkład i choroby, sprowadzają starość i przynoszą zgubę. Dla tej przyczyny i ze względu na ten rachunek zbudował bóg świat jeden, całkowity, ze wszystkich części całkowitych, doskonały i nie starzejący się i nie mogący chorować.

A kształt dał mi odpowiedni i pokrewny. Dla tej istoty żywej, która miała w sobie zawierać wszystkie istoty żywe, odpowiadałby kształt, który by sobą obejmował wszystkie inne kształty. Zaczem wytoczył bóg świat na okrągło, w postaci kuli, on się w każdym kierunku ciągnie równie daleko od środka aż do krańców. To kształt najdoskonalszy ze wszystkich, najzupełniej wszędzie do siebie podobny. Uważał, że taki kształt jednostajny jest bez porównania piękniejszy od niejednostajnego.

Wyglądził go dokładnie naokoło po wierzchu. Z wielu powodów. Oczu mu nie było na nic potrzeba, bo nie zostawało na zewnątrz już nic do widzenia. I słuchu też nie, bo i do słyszenia nic nie zostało. I nie było powietrza naokoło, bo świat nie musiał oddychać. I nie było mu potrzeba żadnego narządu, którym by przyjmował w siebie pożywienie a poprzednio wysuszone wydzielal z powrotem. Bo nie odchodziło nic, ani do niego nic nie przychodziło skądkolwiek. Nie było skąd. Tak został urządzony misternie, że sam sobie na pożywienie dostarcza tego, co się w nim zepsuje. Wszystkiego doznaje sam od siebie i tak samo robi wszystko. Uważał bowiem jego organizator, że jeśli będzie samowystarczalny, będzie lepszy, niż gdyby potrzebował innych rzeczy. Więc nie uważał za właściwe wyposażać go nadaremnie w ręce, którymi nie potrzebował ani chwycić czegokolwiek, ani się przed czymś bronić. Ani posługi nóg nie było mu w ogóle potrzeba do chodzenia. Bo przydzielił mu bóg ruch właściwy takiemu ciału; spośród siedmiu możliwych ruchów najodpowiedniejszy dla umysłu i rozumu. Dlatego wprowadził go w ruch obrotowy jednostajny, po tym samym torze i w obrębie własnego dała. Świat kręci się w kółko, obraca się. A wszystkie inne ruchy mu odjął, przez co świat błędzić nie może. Do tego obrotu nóg nie potrzeba, więc utworzył go bez nóg i bez stóp.

Cały ten plan boga istniejącego zawsze, dotyczący boga, który miał dopiero powstać, tak zo stał obmyślony, że wytworzył ciało gładkie i równe ze wszystkich stron i równorazciągle we wszystkich kierunkach od środka, całkowite i doskonałe, z doskonałych ciał złożone. Duszę dał bóg do jego środka i po całym jego przestworzu ją rozpiął i jeszcze na zewnątrz to ciało nią okrył i zbudował wszechświat jako jeden, jedyny, samotny okrąg obracający się w koło. Tak znakomity, że sam ze sobą może obcować i nikogo i niczego innego nie potrzebuje; zna dobrze i lubi sam. siebie i to mu wystarcza. Dzięki temu wszystkiemu świat wyszedł z ręki boga bogiem szczęśliwym. A duszę, nie tak, jak my na ostatku próbujemy o niej mówić, bóg nie tak - nie zrobił jej młodszą. Bo nie byłby pozwolił, kiedy ją ze światem wiązał, żeby młodsze rządziło starszym. Tylko my jakoś bardzo dużo mamy do czynienia z tym, co przypadkowe i co może być tak i może być inaczej i tak też jakoś mówimy, a bóg utworzył duszę jako pierwszą i starszą od ciała i ze względu na pochodzenie jej i na dzielność jako panią, która władać miała nad tym, co jej poddane a utworzył ją z tych pierwiastków i w ten sposób.

Z istoty niepodzielnej i zawsze jednakiej i z podzielnej, która powstaje w ciałach, zmieszał trzeci rodzaj istoty, pośredniej pomiędzy tamtymi obiema; ona ma zarazem naturę tego, co zawsze jest tym samym i tego drugiego również. W ten sposób postawił ją pośrodku pomiędzy tym, co niepodzielne i tym, co się dzieli na ciała. Wziął tedy te trzy istoty i zmieszał je wszystkie w jedną postać. Ta druga natura nie chciała się dać mieszać z tym, co zawsze jest tym samym, więc spoił je gwałtem. Pomieszał to z istotą i z trzech zrobiwszy jedno, zaiouwu to wszystko podzielił na części odpowiednie - każda część była zmieszana z tego, co zawsze jest tym samym, z tego drugiego i z istoty. A zaczął rozdzielać w ten sposób. Najpierw odjął od całości jedną część. Po niej odjął dwa razy tyle. Trzecia część była o połówkę większa od drugiej a trzy razy większa od pierwszej, czwarta była dwa razy większa od drugiej, piąta była trzy razy większa od trzeciej, szósta ośmiokrotnie większa od pierwszej a siódma dwadzieścia siedem razy większa od pierwszej.

Potem, powypełniał dwukrotne i trzykrotne odstępy, odcinając jeszcze stamtąd części i kładąc je w środek pomiędzy te. Tak, że w każdym, odstępie są dwie średnie; jedna tą samą cząstką wychodzi poza same końce i one wychodzą poza nią a druga o tyle samo według liczby wychodzi poza, o ile sama jest przewyższana. W poprzednich odstępach potworzyły się z tych połączeń odstępy po półtora, po jeden i jedna trzecia i jeden i jedna ósma, więc wypełnił wszystkie odstępy po jednostce i jednej trzeciej odstępem po jednostce i jednej ósmej, zostawiając cząstkę każdego z nich a liczba cząstki takiego odstępu pozostawionego w stosunku do liczby odstępu, mającego, granice, jak dwieście pięćdziesiąt sześć do dwieście czterdzieści trzy. I tak wyczerpał całą mieszaninę, z której to powycinał. Cały ten układ rozciął wzdłuż przez środek i środek jednej taśmy spoił ze środkiem drugiej na kształt litery KAPPA zgiął je w koło, spoił końce każdej i spoił obie ze sobą po przeciwnej stronie ich skrzyżowania i nadał im ruch obrotowy jednostajny. Jedną obręcz umieścił na zewnątrz a drugą na wewnątrz. Nacechował ruch zewnętrzny naturą tożsamości a ruch wewnętrzny naturą tego drugiego. Ruch nacechowany tożsamością obwiódł po boku na prawo a ten drugi ruch po średnicy na lewo. Nadał siłę obiegowi nacechowanemu tożsamością i podobieństwem. Bo tylko jemu jednemu pozwolił, żeby był nierozszczepiony a ten ruch wewnętrzny rozszczepił na sześć części i utworzył siedem kół nierównych wedle każdego odstępu podwójnego i potrójnego. Jednych i drugich odstępów było po trzy. Kazał, żeby się koła obracały przeciwko sobie a co do szybkości, to trzy z nich mają szybkość podobną, a cztery różnią się nią pomiędzy sobą i z trzema tamtymi, ale poruszają się miarowo. Kiedy się cały skład duszy zrobił po myśli tego, który ją układał, on później wszystko, co jest natury cielesnej, włożył do jej środka i przystosował tak, żeby środek świata cielesnego wypadł w środku duszy. I ona się rozciąga od środka aż do krańców wszechświata na wszystkie strony i naokoło wszechświat okrywa z zewnątrz i sama w sobie się kręci. W ten sposób od boga wzięto początek jej życie nieustanne i rozumne po wieczne czasy. I z tamtego się zrobiło widzialne ciało wszechświata a ona jest niewidzialna, ale rozum ma i harmonię w sobie, dusza - spośród przedmiotów myśli i z przedmiotów wiecznych najlepszy twór Najlepszego. A że jest zmieszana z pierwiastka tożsamościowego i z tego drugiego i z istoty, z tych trzech składników i odpowiednio podzielona i powiązana i sama w sobie się obracająca, więc kiedy się natknie na coś, co ma naturę rozmienną na drobne i na coś niepodzielne tak samo, wtedy mówi, cała ruchem wewnętrznym przenikniona, co z czym jest identyczne i co od czego różne i do czego coś zostaje w stosunku najbliższym i w jaki sposób i kiedy zachodzi i w jakim stosunku zostaje każda rzecz do drugiej i czego od nich doznaje i w jakim zostaje stosunku do tych rzeczy, które są wieczne takie same.

A myśl staje się prawdziwa w obu wypadkach zarówno: jeżeli dotyczy tego drugiego i jeśli dotyczy tego, co identyczne z samym sobą; myśl biegnie w tym, co porusza samo siebie a biegnie bez dźwięku i bez hałasu. I kiedy myśl dotyczy czegoś, co spostrzegalne i to drugie koło równo biegnie i o swym ruchu donosi po całej duszy, wtedy powstają mniemania i wierzenia mocne i prawdziwe. A kiedy się myśl odnosi do przedmiotów myśli a dobry bieg koła tożsamościowego potrafi to wskazać, wtedy się z konieczności dokonywa praca umysłu i powstaje wiedza. Gdyby ktoś powiedział, że umysł i wiedza tkwią w jakimkolwiek innym przedmiocie a nie w

duszy, ten wszystko inne raczej powie, niżli prawdę.

Skoro bóg, ojciec wszechświata, zobaczył, że to odwzorowanie bogów wiecznych porusza się i żyje, ucieszył się, a uradowany umyślił je zrobić jeszcze bardziej podobnym do pierwowzoru. Więc tak, jak pierwowzór jest istotą żywą, wieczną, tak postanowił i ten wszechświat do tej doskonałości doprowadzić. Natura "istoty żywej" była wieczna. Nie było rzeczą możliwą, żeby tę naturę całkowicie przystosować do wszechświata, który został zrodzony. Więc umyślił zrobić pewien ruchomy obraz wieczności i porządkując wszechświat robi równocześnie wiekiisty obraz wieczności, która trwa w jedności, obraz idący miarowo, który my z nazywamy czasem. Urządza dni i noce i miesiące i lata, których nie było, zanim powstał wszechświat a teraz zaczęły powstawać równocześnie z syntezą wszechświata. To wszystko są części czasu a przeszłość i przyszłość to są zrodzone postaci czasu. I my sami nie wiemy, jak niesłusznie odnosimy je do istoty wiecznej i mówimy, że była, jest i będzie a jej naprawdę przysługuje tylko to, że jest. "Było i będzie" wypada mówić tylko o tym, co powstaje i przebiega w czasie, bo jedno i drugie to są zmiany. A to, co zawsze jest takie samo, nie ulega zmianom, nie może się stawać starsze ani młodsze w ciągu czasu, ani powstać nie mogło kiedyś, ani nie powstaje teraz, ani nie będzie później - w ogóle nie ulega żadnej z tych przypadłości, którymi powstawanie nacechowało przemijające zjawiska, podpadające pod zmysły - to wszystko są postaci czasu, który się miarowo obraca i tylko naśladuje wieczność. A jeszcze takie rzeczy, oprócz tego, mówimy, że to, co powstało, jest czymś powstałym, i to, co powstaje, jest czymś powstającym i to, co ma powstać, jest czymś przyszłym i to, co nie istnieje, jest czymś nieistniejącym. Żaden z tych zwrotów nie jest ścisły. Ale może być, że w tej chwili nie pora się o to spierać.

Zatem czas powstał razem ze światem, aby razem zrodzone razem też ustały, jeżeli kiedyś przyjdzie koniec świata i czasu. Powstał na wzór wieczności, aby był do niej możliwie jak najpodobniejszy. Pierwowzór trwa całą wieczność a czas aż do końca - cały czas, jako przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Zatem według myśli i zamiaru bożego w sprawie powstania czasu, aby powstał czas, powstało słońce i księżyc i pięć innych gwiazd, które się nazywają planetami, na rozgraniczenie i na straż liczb czasu. Bóg zrobił ich ciała i położył je na obręcze, którymi szedł obieg kolisty tego drugiego. Jest siedem tych ciał i dróg ich siedem. Księżyc biegnie po kole najbliższym naokoło ziemi, słońce po drugim, nad ziemią. Jutrzenka i tak zwana święta gwiazda Hermesa biegną po kole z taką samą szybkością jak słońce, ale dostały prędkość jemu przeciwną. Dlatego doganiają się nawzajem i bywają doganiane, tak samo słońce i gwiazda Hermesa i Jutrzenka. Co do innych gwiazd, to gdyby ktoś chciał mówić o wszystkich, gdzie je bóg ustawił i z jakich przyczyn, to choć to jest rozważanie uboczne, dałoby nam więcej do roboty niż cały przedmiot naszej rozprawy. Więc ten temat może nam się uda innym razem rozwinąć należycie przy wolnym czasie.

Otóż skoro każde z tych ciał, które miały wspólnie wypracowywać czas, nabrało ruchu sobie właściwego, stały się istotami żywymi; ich ciała powiązała dusza i one zrozumiały, co im nakazano, więc zaczęły biec po drodze tego drugiego a więc ukośnie, drogą, która przecina obieg tego, co zawsze jest tym samym, i która leży pod tym obiegiem. Jedna z planet biegnie po większym kole, druga po mniejszym, a które biegną po mniejszym kole, te biegną szybciej, a które po większym, te się posuwają wolniej. Ciała, które się dzięki ruchowi tego, co identyczne z sobą, poruszają najszybciej, wyglądają tak, jakby je doganiały gwiazdy poruszające się wolniej, chociaż one je doganiają same. Bo wir, który je wszystkie w kole obraca, sprawia, że się poruszają równocześnie w dwie przeciwne strony, zacem wydaje się, że ciało, które się najwolniej oddala od toru ruchu najszybszego, jest najbliższe. Żeby zaś istniała jakaś wyraźna miara dla ich powolności i szybkości w stosunku do siebie nawzajem i żeby te ciała biegnęły po ośmiu torach, zapalił bóg światło na drugim od ziemi torze obiegu, które my dziś nazywamy słońcem, aby najbardziej świeciło na cały wszechświat i żeby istoty, którym wypadło, nabrały liczby, ucząc się jej na obiegu tego, co identyczne i samo do siebie podobne. Stała się więc noc i stał się dzień w ten sposób i dlatego - ten obieg okrążenia jednego i najmądrzejszego. A miesiąc, kiedy księżyc obiegając swoje koło dogoni słońce, a rok, kiedy słońce swoją drogę obiegnie. A na obieg innych gwiazd ludzie, z bardzo małymi wyjątkami, nie zwracają uwagi, nie nadają im nazw, nie porównują ich obiegów ilościowo, tak, że powiedzieć można, nie wiedzą, że czas to są błędne wędrówki tych gwiazd nieprzeliczone i przedziwne różnorodne. Mimo to można pojąć, że skończona liczba czasu wypełnia rok doskonały wtedy, gdy szybkości wszystkich ośmiu obiegów, ustosunkowane do siebie, wspólnie się skończą i uzyskają głowę, pomierzone kołem tego, co jest z sobą identyczne a biegnie równo. W ten sposób i z tych powodów utworzyły się te gwiazdy, które po niebie chodzą a dostały zwroty, aby ten świat był jak najpodobniejszy do istoty żywej, która jest przedmiotem myśli a jest doskonała - świat, który naśladuje jej naturę wieczną.

I pod innymi względami aż do powstania czasu został świat wykonany na podobieństwo swego pierwowzoru. W tym tylko był niepodobny, że nie obejmował w swym wnętrzu wszystkich istot żywych, zrodzonych. I tę jego resztę doprowadził bóg do końca, odwzorowując go według natury pierwowzoru. Więc tak samo jak umysł ogląda wszystkie idee, jakie tylko tkwią w tym, czym jest istota żywa, tyle samo i takich samych bóg umyślił, że powinien zawierać i ten świat. A są cztery. Jedna to ród bogów niebieski, druga to istoty skrzydlate, które latają po powietrzu, trzecia to rodzaj mieszkający w wodzie, a czwarty chodzi po ziemi. Postać tego, co boskie, bóg wykonał przeważnie z ognia, aby to było najświetniejsze dla oka i najpiękniejszy dawało widok. Upodobniając je do wszechświata zrobił je pięknie okrągłe i wyposażył je w zrozumienie tego, co najlepsze; ono się z naturą boską wiąże; rozsyłał to po całym niebie naokoło, aby świat prawdziwy był tym, ozdobiony powszędą. Każdej takiej istocie boskiej nadał dwa ruchy: jeden w tożsamości, jednostajny, około tych samych punktów; te istoty mają myśl skierowaną ku temu, co identyczne z samym sobą. Drugi ruch, postępowy zostaje w zależności od obrotu tego, co identyczne i podobne.

A pięciu innych ruchów nie dał im wykonywać, aby się każda z nich stała jak najbardziej doskonała; przecież

z tej przyczyny powstały gwiazdy stałe, istoty żywe, boskie i wieczne; jednostajnym ruchem, obracają się w tym, co identyczne i trwają wiecznie. A te, które skręcają po drodze i tak błądzą, powstały w ten sposób, jak się poprzednio mówiło.

Ziemię zaś, karmicielkę naszą, osadzoną na osi, przeciągniętej przez cały wszechświat urządził tak, że ona strzeże i wykonywa noc i dzień, pierwsza i najstarsza z bogiń i bogów, którzy powstały we wnętrzu wszechświata. A opisywać tańce tych bogów i wzajemne ich spotkania i jak ich tory koliste tworzą pętlę wewnętrzną i jak one się posuwają a podczas zetknięć, którzy bogowie się spotykają i wychodzą jedni drugim naprzeciw i w towarzystwie których to robią i jak od czasu do czasu zaćmiewa się dla nas każdy i ukazuje się znowu, a na tych ludzi, którzy umieją te rzeczy obrachowywać, zsyłają obawy i oznaki tego, co się ma stać potem - mówić o tym, bez rozejrzenia się w modelu znowu tych rzeczy, byłby trud daremny. Dość już dla nas i tego, co i jak się powiedziało o naturze bogów widzialnych i zrodzonych i niech już temu koniec będzie.

A o innych duchach mówić i poznać ich pochodzenie, to przechodzi nasze siły, ale trzeba wierzyć tym, którzy dawniej o tym mówili a byli potomkami bogów, jak twierdzili, a musieli przecież dobrze znać swoich przodków. Niepodobna nie wierzyć synom bożym, chociaż mówią bez dowodów prawdopodobnych i pewnych; oni twierdzą, że ogłaszają swoje sprawy domowe, więc trzeba się poddać prawu i uwierzyć.

Zatem według nich mówmy i niech się tak przedstawia w rzeczywistości i w opowiadaniu pochodzenie tych bogów. Ziemi i Nieba dziećmi byli Okeanos i Tetyda. Ich dzieci to Forkys, Kronos i Rea, i inne potem. Dzieci Kronosa i Rei to Zeus, Hera i ci wszyscy, o których wiemy, że nazywają się ich braćmi i jeszcze inni ich potomkowie. Więc skoro powstały wszyscy bogowie, którzy po kołach wędrują jawnie, i ci, którzy ukazują się, o ile chcą, mówi do nich ten, który ten wszechświat zrodził w te słowa: "Bogowie bogów, których ja wykonawcą jestem i ojcem, bo dziełem moim jesteście; to, co ja zrodziłem, nie ulega rozkładowi, bo ja tak chcę. Wszechświat jest złożony, więc jest rozkładamy, ale chcieć rozkładu tego, co tak pięknie zharmonizowane i trzyma się dobrze, może tylko to, co złe. Dlatego też, skoroście się urodzili, nieśmiertelni nie jesteście, ani nierozkładalni w ogóle, ale nie ulegniecie rozkładowi, ani was śmierć nie spotka, bo was moja wola wiąże, a to jest Więź jeszcze większa i potężniejsza niż te spójnie, które was związały przy powstawaniu. A teraz macie zrozumieć to, co do was mówię i co nakazuję.

Dotychczas jeszcze pozostają trzy rodzaje, nie zrodzone dotąd. Jak długo one na świat nie przyjdą, wszechświat będzie niedokończony. Bo wszystkich rodzajów istot żywych nie będzie miał w sobie, a powinien, jeżeli ma być należycie wykończony. Gdybym ja zrodził je sam i one by ode mnie życie dostały, byłyby równe bogom. Aby więc były śmiertelne a ten wszechświat żeby był istotnie całkowity, weźcie się wy, zgodnie z naturą, do wykonywania istot żywych i naśladowcie moc moją, objawioną przy waszym powstaniu. I o ile wypada, żeby mieli w sobie coś równoimiennego z nieśmiertelnymi, pierwiastek boskim zwany, rządzący w tych pomiędzy nimi, którzy zawsze chcą iść za sprawiedliwością i za wami, jak rzucę takie nasiona, dam początek i będą to mieli ode mnie. A resztę śmiertelną dołóżcie wy do tego, co nieśmiertelne i porobicie istoty żywe. Z was niech się rodzą i rosną a ginąc niech znowu do was wracają".

To powiedział i znowu do tego pierwszego mózdzierza, w którym duszę wszechświata był zmieszał i utarł, złał resztki pozostałe po robocie poprzedniej i mieszał jakoś w ten sam sposób, ale składniki mieszaniny już nie były takie same i nie zachowywały się tak samo, tylko były drugo i trzeciorzędne. Zgotowawszy wszystko, rozdrobił to na tyle dusz, ile jest gwiazd i każdą duszę jednej gwiazdzie przydzielił a wsadziwszy ją jakby na wóz - pokazał jej naturę wszechświata i powiedział im prawa przeznaczone. Ze pierwsze narodziny miały być jedne dla wszystkich, aby nikt nie był przez niego pokrzywdzony. I trzeba, żeby dusze były rozsiane po gwiazdach - każda żeby poszła na odpowiednie dla niej narzędzie czasów - i żeby się każda stała istotą żywą, najbardziej zbożną.

A że natura ludzka jest dwojaka, żeby lepszy był ten rodzaj, który się później miał nazywać męzczyzną. A gdy z konieczności zaszczerpione zostaną w ciała i do ciał ich zaczniesz jedno przychodzić a drugie z nich będzie odchodziło, trzeba będzie, żeby jednakowo u wszystkich była wrodzona zdolność do spostrzegania pod wpływem doznań gwałtownych. Po drugie miłość zmieszana z rozkoszy i z cierpienia a oprócz tego strach i gniew, i wszystko, co za tym idzie i co jest jedno drugiemu z natury przeciwne. Jeżeli nad tymi rzeczami zapanować potrafią, będą mogli żyć w sprawiedliwości, a jeśli one zapanują nad nimi, w zbrodni. Kto czas odpowiedni przeżyje dobrze, ten znowu pójdzie mieszkać na gwiazdzie, do której prawnie przynależy i życie będzie miał szczęśliwe i takie, do którego nawykł. A kto na tym punkcie pobłądzi, ten przy drugich narodzinach przybierze naturę kobiety. A kto się i w tych warunkach jeszcze zła nie pozbędzie, ten zależnie od tego, jak grzeszył, na podobieństwo tego, jak się jego charakter rozwijał, jakąś taką zawsze przyjmie naturę zwierzęcą i przemieniając się tak, nie prędzej się męczyć przestanie, aż pójdzie w sobie samym za obiegiem tego, co identyczne i podobne, potrafi opanować rozumem tę wielką masę i to, co później do niego przyrosło z oginania, z wody i z powietrza i z ziemi a co hałaśliwe jest i nierozumne i człowiek wróci do swego stanu pierwotnego, który był najlepszy.

Bóg dał im te wszystkie rozporządzenia, aby sam nie był winien żadnego późniejszego zła i posiał jednych na ziemi, drugich na księżycu, innych rzucił na inne narzędzia czasu. Po tej stronie zostawił młodym bogom modelowanie ciał istot śmiertelnych i tej reszty, która jeszcze miała do duszy ludzkiej przyrosnąć. To wszystko, i wszystko, co za tym idzie, mieli wykonać i panować nad tym i według sił jak najpiękniej i jak najlepiej zarządzać śmiertelną istotą żywą, gdyby się tylko sama dla siebie nie stawała przyczyną nieszczęść.

Wszystko to rozporządziwszy, trwał w swoim zwyczajnym stanie. On trwał a dzieci jego zrozumiały porządek ojcowski i zaczęły go słuchać. Wzięły nieśmiertelny pierwiastek śmiertelnej istoty żywej i, naśladowując własnego wykonawcę, pożyły od wszechświata cząstek ognia, ziemi, wody i powietrza, cząstek, które miały być oddane z powrotem, i te zapożyczone składniki spajały w jedno nie przy pomocy spoiwa nierozkładalnego, którym same były powiązane, ale drobnymi, a więc niewidzialnymi ćwieczkami gęstymi je spajając wykonywały z tego wszystkie poszczególne ciała. I wstawały w środek obrotu duszy nieśmiertelnej, w ciało podlegające odplywowi i

zasilane przyptywem. Dusze, wpuszczone w wielki nurt ciała, ani zapanować nad nim nie umiały, ani mu nie ulegały całkowicie, ale gwałtowny prąd je ponosił i one ponosiły, tak, że się cała istota żywa poruszała bez porządku, w byle jakim kierunku, szła bez żadnego sensu, a miała wszystkich sześć rodzajów ruchu. Jeden ku przodowi i wstecz i znowu w prawo i w lewo, w dół i do góry i na wszystkie strony chodziły Mąka jąć się w sześciu kierunkach. Bo wielka fala napływała i odchodziła? ta, która pożywienie przynosiła? a jeszcze większy niepokój wywoływały podniety zewnętrzne, kiedy się ciało zetknęło z jakimś ogniem obcym zewnętrznym albo z twardością ziemi, albo ze śliskością wód, albo z pędem wiatrów, które powietrze niesło; wszystko to wywoływało ruchy, które za pośrednictwem ciała celowały i trafiały w duszę. Te jej wzruszenia zostały później nazwane spostrzeżeniami i dzisiaj tak się nazywają wszystkie. One już i wtedy, w pierwszej chwili najobfitszy i największy robiły niepokój, poruszając się wraz z nieustannie płynącym strumieniem pokarmu; gwałtownie wstrząsały obiegami duszy a obieg czynnika tożsamościowego zatrzymywały całkowicie; płynąc przeciwko niemu nie pozwalały mu rządzić i biec, a obiegiem tego drugiego potrzasały tak, że trzy odstępy podwójnego i potrójnego z obu stron a tak samo człony pośrednie i łączące po półtora, po jeden i jedna trzecia i jeden i jedna ósma, ponieważ całkowicie rozerwać się nie dawały, bez woli tego, który je powiązał, na wszystkie strony bywały wykręcane i łamane; jedno koło tak, drugie inaczej, jak tylko było można. Tak, że ledwie się trzymało jedno drugiego i szły niby to, ale szły bez sensu, to naprzód, to na ukos, to na odwrót. Zupełnie, jakby ktoś do góry nogami stanął głową na ziemi a nogi oparł górą o cokolwiek. Wtedy i u tego biedaka i jemu u patrzących prawa strona wydaje się lewą a lewa prawą, czy w tę stronę patrzeć, czy w przeciwną. To samo właśnie dzieje się i inne w tym rodzaju gwałtowne przypadłości zaburzają obroty, kiedy one natrafiają na coś tego samego rodzaju albo rodzaju różnego. Obroty wtedy głupiej i myślą się i nazywają rzeczy jednakie i rzeczy różne wprost przeciwnie i niezgodnie z prawdą. Żaden obrót wtedy pośród nich nie rządzi i żaden nie prowadzi. Kiedy jakieś spostrzeżenia z zewnątrz na duszę spadną i porwą jej całe wnętrze za sobą, wtedy zdaje się, że one wadają, choć naprawdę są one zależne. Przez wszystkie stany tego rodzaju dusza teraz i na początku traci rozum. Pierwszy raz wtedy, gdy się z ciałem śmiertelnym zwiąże. Później, kiedy napływa mniej gwałtowny strumień wzrostu i pożywienia, obroty znowu nabierają cichości, idą swoją drogą i ustalają się coraz bardziej z biegiem czasu. Wtedy wyrównują się obroty wszystkich poszczególnych kół według wzoru ich naturalnego obiegu i już trafnie nazywają, co jest tym samym a co czymś innym, i sprawiają to, że ich właściciel staje się rozumny. A jeżeli się do tego dołączy jakiś właściwy wikt, który wychowanie przynosi, wtedy się człowiek staje całkowicie i zdrowy ze wszech miar. Uniknął największej choroby. A kto się zaniedba, ten kulawo przechodzi ścieżkę życia; niedoskonały, z powrotem idzie do Hadesu. Nic nie zyskał po drodze. Ale o tym później będzie mowa. Na razie ten temat, który teraz przed nami, trzeba rozwinąć dokładniej. Przede wszystkim: o powstaniu poszczególnych części ciała i o duszy. Z jakich przyczyn i z jakich zamysłów opatrności boskiej to powstało. Trzymajmy się tego, co najbardziej prawdopodobne. W ten sposób idźmy naprzód i tak so bie rzeczy tłumaczmy.

Bogowie naśladowali okrągły kształt wszechświata, więc włożyli dwa boskie obiegi w ciało kuliste, które dziś głową nazywamy. To jest część ciała najbardziej boska i panuje nad wszystkim, co jest w nas. Je] bogowie oddali na służbę całą masę ciała, którą zebrali, licząc się z tym, żeby mogło wykonywać wszystkie ruchy, jakie istnieją. Aby więc nie było w kłopotcie tocząc się po ziemi, która ma swoje różne wyniosłości i zagłębienia i mogło ponad jednym z nich przechodzić a z drugich wychodzić na górę, dali bogowie głowie to ciało jako wózek i dali mu możliwość chodzenia. Stąd ciało dostało swoją długość i wyrosły mu cztery kończyny dające się zginać - takie mu bóg obmyślił środki lokomocji, którymi mogło się chwytać i zapierać i przechodzić przez wszystkie miejsca i wysoko nosić siedzibę pierwiastka najbardziej boskiego i najświętszego. Nogi zatem i ręce w ten sposób i dlatego urosły wszystkim. A ponieważ bogowie uważali, że przód jest godniejszy od tyłu i raczej się do rządzenia nadaje, więc w tę stronę przeważnie nasz chód skierowali. A trzeba było, żeby człowiek miał przód ciała różny i odgraniczony od jego strony tylnej. Dlatego naprzód w okolicy czaszki podstawili pod nią twarz i wstawili w nią narządy, służące wszelkiemu przewidywaniu duszy, i zrzadzili tak, żeby ten przód miał naturalny udział we władzy nad ciałem.

A z narządów pierwsze sporządzili oczy, które światło noszą i wpoli je w ciało z tej przyczyny. Umyślili zrobić ciało z ognia, który palić nie mógł, tylko dostarczać łagodnego światła, które cechuje każdy dzień. Zrobili tak, że czysty ogień wewnątrz nas, ogień bratni jasności dziennej przez oczy płynie łagodnie; on cały jest gęsty - najczęściej bogowie sprasowali wewnątrz oczu - tak że reszta cała, jako gęstsza, zostaje zamknięta, a tylko czysty ogień przecieka. Kiedy więc światło dzienne otacza strumień wzrokowy, wtedy wypływa światło podobne ku podobnemu, zbija się z tamtym w jedno i powstaje ciało, które sobie przyswajamy - ono leży wprost przed naszymi oczyma, gdziekolwiek wpadną na siebie dwa strumienie: jeden, który wypływa z naszych oczu, i drugi, pochodzący z zewnątrz. Całe światło naszych oczu jest jednorodne ze światłem zewnętrznym, bo jest do niego podobne, więc jakiegokolwiek światło kiedy napotka, albo jakieś inne do niego dojdzie, ono ich poruszenia podaje całemu ciału aż do duszy i wytwarza ten rodzaj spostrzeżeń, które my nazywamy widzeniem.

A kiedy ogień naszemu pokrewny odejdzie w noc, nasz ogień zostaje odcięty. Bo wychodzi, ale natrafia coś niepodobnego, więc odmienia się sam i gaśnie; zgoła nie jest tej samej natury, co powietrze otaczające, bo ono nie ma ognia w sobie. Zatem przestaje widzieć a jeszcze sen sprowadza. Dlatego, że bogowie obmyślili, jako ochronę dla wzroku, powieki. Kiedy się one przymkną, powstrzymują moc ognia wewnętrznego; ta moc się rozlewa, wyrównując i gładząc poruszenia wewnętrzne. Gdy zaś te się wyrównają i złagodzą, następuje spokój. Kiedy nastanie wielki spokój, spada na człowieka sen o krótkich marzeniach sennych. Jeżeli zaś zostaną jakieś ruchy większe, to zależnie od tego jakie i w jakich w miejscach pozostały, dostarczają takich i tak wielkich widziadeł, odtwarzających rzeczy wewnętrzne i zewnętrzne, które się po zbudzeniu przypominają.

A jeżeli chodzi o właściwą zwierciadłom zdolność do robienia widziadeł i wszystkim przedmiotom świecącym i gładkim, to dojrzenie tej sprawy nie przysparza nowej trudności. Bo ze współdziałania wzajemnego ognia wewnętrznego i zewnętrznego, które się za każdym razem jednoczą około gładkości i wielorakim ulegają

odbiciom, wszystkie tego rodzaju widziadła zjawiają się z konieczności. Ogień bijący od twarzy z ogniem wzrokowym zbija się w jedno w sąsiedztwie przedmiotów gładkich i świecących. Strona lewa wydaje się prawą, bo następuje zetknięcie się przeciwnych części ciała z przeciwnymi częściami widzenia, wbrew zwyczajnemu sposobowi ich zetknięcia. Prawa strona wydaje się prawą, a lewa lewą w przeciwnym wypadku, kiedy się wprost przeciwnie spotka światło padające ze światłem odbitym. To wtedy, gdy płaska powierzchnia lustra otrzyma wzniesienia z tej i z tamtej strony i odbije w lewą stronę widzenia stronę prawą a drugą na drugą stronę. Jeśli takie lustro obrócić według długości twarzy, ono wszystko pokazuje do góry nogami; to, co na dole, ono odrzuca ku górze, a co u góry, to odbija ku dołowi.

Wszystko to należy do współczynników, które bogu służą a on się nimi posługuje, kiedy wykańcza ideę tego, co według możliwości najlepsze.

Ludzie jednak po większej części uważają to nie za współczynniki, ale za przyczyny wszystkiego, które oziębiają i ogrzewają, powodują krzepnięcie i topienie się i tym podobne rzeczy robią. One jednak nie mogą mieć żadnej myśli i żadnego rozumu w odniesieniu do niczego. Trzeba powiedzieć, że ze wszystkich istot jedna tylko dusza może mieć rozum. Ale dusza jest niewidzialna a ogień i woda, i ziemia, i powietrze - to wszystko są ciała widzialne. Człowiek, który kocha rozum i wiedzę, powinien przede wszystkim śledzić przyczyny natury rozumnej a na drugim miejscu dopiero te, które powstają pod wpływem ciał poruszanych przez inne ciała i poruszających inne. I myśmy tak postąpić powinni. Zatem trzeba mówić o jednym i o drugim rodzaju przyczyn. Osobno o tych, które rozumem wykonują rzeczy piękne i dobre, i o tych, co, pozbawione rozumu, wywołują za każdym razem to lub tamto bez planu i bez porządku.

Powiedzieliśmy już dość o tych współczynnikach, które się złożyły na to, żeby oczy posiadały tę zdolność, jaka dziś jest ich udziałem. A teraz powiedzieć trzeba o ich czynności, z której pożytek jest największy i dlatego je nam bóg dał. Wzrok, według mego zdania, jest dla nas przyczyną największego pożytku. Bo z obecnych myśli o wszechświecie żadna nie byłaby nigdy wypowiedziana, gdybyśmy ani gwiazd, ani słońca, ani nieba nie widzieli. A tymczasem oglądanie dnia i nocy, miesiące i obiegi roczne wytwarzają liczbę i pojęcie czasu i od nich pochodzą badania nad naturą wszechświata. Stąd doszliśmy do filozofii a większego dobra ród śmiertelny nie dostał, ani nie dostanie nigdy w darze od bogów. To właśnie ja nazywam największą wartością naszych oczu. O innych, pomniejszych, po co się mamy rozwoździć? Po których by niefilozof płakał i lamentował daremnie, gdyby wzrok stracił. Ale to, powiadamy sobie, że właśnie dla tej przyczyny bóg umyślił obdarować nas wzrokiem, abyśmy oglądając na niebie obiegi umysłu mieli z nich pożytek dla obiegów rozsądku, który jest w nas, bo one są tamtym pokrewne - choć tamte są nie zmacone a nasze mętne i nieporządne. Abyśmy się tego uczyli i nabrawszy w siebie poprawności rachunków naturalnych, naśladowali obiegi boskie, które są w ogóle bezbłędne, i ustalali jakoś te obiegi błędne, które są w nas.

Głos i słuch znowu ten sam mają sens. Do tego samego celu i z tych samych powodów obdarowali nas nimi bogowie. Przecież do tego samego celu prowadzi słowo i w najwyższym stopniu do tego się przyczynia. A jakkolwiek z muzycznego głosu pożytek płynie dla słuchu, ten dany nam jest ze względu na harmonię. Harmonia ma ruchy pokrewne obiegom duszy w nas, więc dla człowieka, który rozumnie muzyki używa, wydaje się pożyteczna, nie dla przyjemności bezmyślnej, jak to dziś bywa, ale Muzyka dała ją nam na to, żeby im pomagała duszę znowu do porządku doprowadzić i zestrzącać ją, kiedy jej obieg przestanie być harmonijny. One też dały nam rytm do tego samego celu, jako pomoc przeciwko stanom duszy, którym miary brak i wdzięku u większości ludzi.

Dotychczasowe rozważania z małymi wyjątkami pokazują wytwory umysłu. A trzeba się równolegle do nich zająć wytworami konieczności. Powstanie tego świata było mieszane; świat powstał częściowo z konieczności a częściowo jako synteza umysłu. Umysł panował nad koniecznością, bo nakłaniał ją, żeby większość rzeczy doprowadzała do tego, co najlepsze. W ten sposób i według tego konieczność ulegała rozumnemu nakłanianiu i tak na początku powstawał ten wszechświat. Więc jeżeli ktoś ma mówić, jak on istotnie powstał, powinien domieszać i ten rodzaj przyczyny, która się błąka, dokądkolwiek by ponosiła. W ten sposób musimy więc zboczyć i wziąć pod uwagę znowu inny przystojny początek tych samych rzeczy i tak samo, jak o rzeczach tamtych wtedy, talk teraz o tych na nowo zaczynać od początku. Zobaczymy więc samą naturę ognia, wody i powietrza i ziemi przed powstaniem wszechświata i co się z nimi działo przedtem.

Obecnie jakoś nikt nie wyjaśnia ich powstania, ale ponieważ wiemy, co to jest ogień i te inne, więc nazywamy je żywiołami i uważamy je za pierwiastki wszechświata, ale sądzimy, że nawet średnio inteligentny człowiek nie powinien ich przyrównywać choćby nawet w przybliżeniu do postaci głosek. Więc teraz, według nas przynajmniej, niech się tak rzeczy mają. O początku czy też o początkach wszechświata, czy jak to się tam. przedstawia, teraz nie mówmy - nie dla czego innego, tylko dlatego, że to truno powiedzieć jasno, co się człowiekowi wydaje przy obecnej metodzie wykładu. Ani wy nie uważajcie, że ja powinienem o tym mówić, ani ja sam nie zdołałbym wmówić w siebie, że potrafiłbym porządnie sprostać takiemu przedsięwzięciu. Ja się będę trzymał tego, co powiedziałem, na początku - opowiadania prawdopodobne potrafią też dać wiele - będę więc, nie gorzej od innych, próbował opowiadać prawdopodobnych. Raczej, naprzód, od początku zacząć mówić o wszystkim i o każdej rzeczy z osona. Więc i teraz, na początku wywodów wezwijmy boga na pomoc, aby nas wyratował z bezdroży tego niebywałego wykładu i doprowadził do jakiegoś stanowiska podobnego do prawdy i dopiero zaczynamy mówić.

Zatem ten ponowny początek rozprawy o wszechświecie niech będzie bardziej podzielony niż poprzednio. Bo przedtem rozróżniliśmy dwie postacie, a teraz nam wypada odsonić coś trzeciego, w innym rodzaju. Tamte dwie rzeczy wystarczały w związku z tym, co się przedtem powiedziało: jedna - to był ten przyjęty pierwowzór, przedmiot myśli, wiecznie niezmienny, a druga - to naśladowanie pierwowzoru, które ma swą genezę i jest widzialne. Trzeciej rzeczy nie rozróżniliśmy wtedy, uważając, że dwie wystarczą, a teraz bieg myśli zdaje się

zmuszać do tego, żeby próbować ująć w jasne słowa pewną rzecz trudną i mętną. Więc co to właściwie jest, jakby to przyjąć? To jest właściwie coś takiego, co łonem swym obejmuje wszystko, co powstaje - coś jakby piastunka. To jest prawda, ale trzeba się jaśniej wypowiedzieć na ten temat.

To jest rzecz trudna; zwłaszcza że w związku z tym trzeba naprzód powiedzieć coś o ogniu i o tym, co się z ogniem łączy. Trudno jest mówić o każdym z nich z osobna i powiedzieć, co właściwie należy nazywać wodą raczej niż ogniem i które raczej którymkolwiek niż wszystkimi razem, albo jednym tylko - tak, żeby mówić pewnie i wiarygodnie - to nie jest łatwa rzecz. Więc jakby to właściwie i co by o nich można powiedzieć, kiedy nie wiemy dobrze, co i jak? Przede wszystkim to, co teraz nazywamy woda. Widzimy, że kiedy krzepnie - tak się nam wydaje - rodzi kamienie i ziemię. A to samo, kiedy się stopi i rozpadnie, staje się wiatrem i powietrzem a spalone powietrze to ogień. I na odwrót, ogień zgęszczony i zgasły przechodzi z powrotem w postać powietrza a znowu powietrze zgęszczone staje się chmurą i mgłą a z tych, kiedy się jeszcze więcej zbijają, leje się woda a z wody robi się ziemia i kamienie znowu. I tak w kółko podają sobie te rzeczy powstawanie, jak się wydaje, nawzajem. Więc ponieważ żadna z tych rzeczy nie wydaje się nigdy jedna i ta sama, więc któż by się nie wstydził sam przed sobą obstawiać uparcie przy tym, że którakolwiek z tych rzeczy jest tym a nie czymkolwiek innym. Nie ma sposobu i w ogóle najbezpieczniej jest mówić o nich w danym razie w ten sposób: To, co wciąż w naszych oczach staje się to tym, to owym, jako niby to ogień, tego nie nazywać "tym", tylko "czymś takim". I o wodzie nigdy nie mówić "to", tylko "coś takiego", ani o żadnej innej z tych rzeczy nie mówić tak, jakby one miały jakąś stałość a my to dajemy do zrozumienia, używając słówka "to" i "to tutaj". Te rzeczy wymykają się, bo nie trwają, spod słówka "to" i "to tutaj" i spod każdego zwrotu, który je ujmuje jako trwałe, jakby istniały.

Więc żadnego z takich zwrotów nie używać, a zwrot "coś takiego" jest właśnie odpowiednio chwiejny, więc go stosować i do każdej z tych czterech rzeczy i do wszystkich razem. Zatem i ogień to jest w ogóle "coś w tym rodzaju" i wszystko, cokolwiek ma powstawanie. A tylko to, w czym te rzeczy zawsze tkwią, zjawiają się w tym i znowu stamtąd giną, tylko to jedno nazywać "tym" i "tym tutaj" a poza tym, cokolwiek by to było, ciepłe czy białe, czy którekolwiek z przeciwieństw i wszystko, co stąd powstaje - z tego nic nie nazywać "tym". Bo gdyby ktoś wszelkie możliwe kształty wykonywał ze złota i nieustannie by jedne kształty w drugie przerabiał, to gdyby ktoś palcem wskazał którykolwiek z nich i zapytał przy tym, co to jest, wtedy jeśli o prawdę chodzi, najbezpieczniej byłoby powiedzieć, że to złoto, a o trójkącie, czy jaki by się tam inny kształt wytwarzał, nie mówić jako o czymś istniejącym, bo to się zmienia, zanim się skończy jego nazwę wymawiać, tylko się zadowolić, jeżeli coś zechce bezpiecznie wziąć na siebie nazwę "czegoś w tym rodzaju".

Ta sama sprawa i z tą naturą, która przyjmuje postać wszystkich ciał. O niej można powiedzieć że zawsze jest tym samym. Ona się nigdy swojej zdolności nie pozbysza. Przyjmuje zawsze wszystko a sama w żaden sposób i nigdy nie przyjmuje żadnego kształtu podobnego do tych, które w nią wchodzi. Ona jest masą plastyczną dla wszystkiego: zmienia się i przekształca pod wpływem tego, co w nią wchodzi. I wydaje się dzięki temu raz taka, raz inna. To, co w nią wchodzi i co z niej wychodzi, to są zawsze pewne odwzorowania bytów, odbite według nich w jakiś sposób niewypowiedziany i przedziwny, którym się zajmiemy później. Na razie musimy rozróżnić trzy rodzaje: to, co powstaje, to, w czym coś powstaje, i to, na obraz czego tworzy się to, co powstaje. I przyrównać wypada to, co przyjmuje, do matki, pierwowzór do ojca, a ten wytwór pomiędzy nimi do potomka. I zrozumieć, że to, w czym odwzorowanie powstaje, tylko wtedy będzie dobrze przygotowane na przyjęcie odwzorowania z całą różnorodnością jego cech szczególnych, jeśli będzie wolne od śladów wszelkich postaci, które ma skądś przyjąć. Bo gdyby było podobne do którejś z form nadchodzących, to, gdyby nadeszła forma przeciwna albo w ogóle inna, ono by ją odwzorowało źle, gdyż przeglądałaby jego własna natura. Dlatego to, co ma przyjąć w siebie wszelkie rodzaje, musi być wolne od wszelkiej postaci. Tak samo, kiedy chodzi o olejki wonne, wytwórcy myślą przede wszystkim o ich pierwszym podłożu i tak robią, żeby jak najbardziej bezwonna była ta ciecz, która ma przyjąć zapachy.

A ci, którzy w pewnych ciałach miękkich starają się odciskać kształty, nie pozwalają, żeby podłoże nosiło na sobie jakikolwiek wyraźny kształt i wygładzają je naprzód, aby było jak najrówniejsze. Tak samo też i to, co ma często i pięknie wszystkimi swymi częściami brać w siebie odwzorowania wszelkich rzeczy istniejących wiecznie, musi samo być wolne od wszelkich postaci. Dlatego matką i podłożem Wszystkiego, co powstaje i jest widzialne i w ogóle dostrzegalne, nie nazywajmy ani ziemi, ani powietrza, ani ognia, ani wody, ani tego, co powstaje z nich, ani tego, z czego one powstają, tylko pewną postać niewidzialną i bezkształtną, która może przyjąć wszystko i ma jakiś niepojęty kontakt z przedmiotami myśli.

Jeżeli powiemy, że to jest coś niesłychanie nieuchwytnego, nie pomylimy się. O ile na podstawie tego, co poprzednio powiedziane, można dochodzić jego natury, to najsluszniej można tak powiedzieć: ogniem wydaje się w każdym wypadku jego część zaogniona; część zwilżona wydaje się wodą, a ziemią i powietrzem, o ile ono weźmie w siebie ich odwzorowania. Trzeba te rzeczy bardziej rozgraniczyć myślowo, kiedy się nad nimi zastanawiamy. Czy jest jakiś ogień sam dla siebie i te wszystkie rzeczy, o których zawsze tak mówimy, czy każda z nich istnieje sama dla siebie, czy też to wszystko, co widzimy i te inne rzeczy, które za pośrednictwem ciała spostrzegamy, jedynie tylko taką prawdę posiadają a poza tym nie istnieją nigdzie w żaden sposób i my niepotrzebnie w każdym wypadku mówimy, że istnieje dla każdego pewna postać, pewien przedmiot myślowy a tymczasem to nie jest nic więcej, jak tylko wyraz ?

Nie sposób w tej chwili zostawić tego zagadnienia bez dyskusji i bez rozstrzygnięcia i po prostu powiedzieć, że tak jest, ani też do już i tak długich wywodów dodać jeszcze jeden długi wywód uboczny. Jeżeli jakieś wielkie określenie da się ująć w krótkich słowach, to by było tutaj najważniejsze. Więc ja w ten sposób oddaję tutaj swój głos. Jeżeli rozum i mniemanie prawdziwe to są dwa rodzaje, to ze wszech miar istnieją te rzeczy same dla siebie, postacie niedostępne dla naszych spostrzeżeń a dostępne tylko dla myśli. A jeżeli, jak się niektórym ludziom wydaje, mniemanie prawdziwe niczym się nie różni od rozumu, to wypadnie przyjąć, że wszystko, cokolwiek spostrzegamy za pośrednictwem ciała, jest najzupełniej pewne i mocne. A jednak trzeba powiedzieć, że to są dwie rzeczy różne, ponieważ powstają niezależnie od siebie i zachowują się różnie. Jedno się w nas

rozwija pod wpływem nauki, drugie pod wpływem sugestii. I jedno zawsze wymaga prawdziwej ścisłości a drugie żadnej. I jedno nie ulega wpływowi sugestii a drugie mu ulega. I jedno, powiedzieć można, posiada każdy człowiek, a rozum posiadają bogowie, a rodzaj ludziki jakoś w małym stopniu.

Kiedy się tak te rzeczy mają, to zgodzić się trzeba, że istnieje jeden rodzaj rzeczy, niezmienny, niezrodzony i nieginący, który ani w siebie nie przyjmuje niczego skądinąd, ani sam w nic innego nigdzie nie przechodzi, niewidzialny i w żaden inny sposób niedostrzegalny - oglądać go może tylko myśl rozumna. I drugi rodzaj rzeczy, nazywany tak samo i podobny do tamtego, spostrzegamy, zrodzony, zmienny ustawicznie, który powstaje w pewnym miejscu i znowu stamtąd przepada - uchwycić go potrafi mniemanie i spostrzeżenie. I trzeci rodzaj istnieje. Jest nim zawsze przestrzeń. Jej się zguba nie chwytą.

Wszystko, co powstaje, ma w niej jakieś miejsce. Można ją bez pomocy zmysłów uchwycić za pomocą rozumowania gorszego gatunku a wierzyć jej trudno. My na nią patrzymy i zaczyna się nam śnić i mówimy, że chyba z konieczności wszystko, cokolwiek istnieje, musi istnieć w jakimś miejscu i zajmować jakąś przestrzeń a czego nie ma na ziemi, ani gdzieś na niebie, to w ogóle jest niczym. Wszystkie takie rzeczy i inne tym podobne mówimy też o tej naturze prawdziwej, która nie ma nic wspólnego ze snami. Ponieważ nas tamta usypia, nie umiemy nawet po zbudzeniu się pociągnąć granicy i powiedzieć prawdy, że odwzorowanie, ponieważ nawet jego pierwowzór nie jest jego własnością i ono zawsze zostaje zwiewnym widziadłem czegoś innego, dlatego musi zawsze istnieć w czym innym i jakoś się tam trzyma istnienia, albo w ogóle nie jest niczym, a temu, co istotnie istnieje, pomaga ścisła prawdziwa myśl, że jak długo coś jest czymś innym a drugie też czymś innym, to żadne z nich w żadnym istnieć nie może i nie będzie stanowić zarazem jednej i tej samej rzeczy i dwóch rzeczy. Tak niech się przedstawia w ogólnym zarysie moja myśl wyrozumowana. Ja głosuję za tym, że istnieje byt, przestrzeń i powstawanie, trzy rzeczy trojaki - istniały już, zanim świat powstał.

Mit o boskim pasterzu świata, o naprzemiennych obrotach świata i o spowodowanych tym zmianach kierunku upływu czasu

Polityk

Młodszy Sokrates: Doskonałeś powiedział. Więc mów, ale nic nie opuszczaj.

Gość: No, to posłuchaj! Cały ten wszechświat raz sam Bóg prowadzi w biegu i sam go obraca, a raz go zostawia, kiedy jego obroty już osiągną miarę czasu jemu właściwego. Wtedy się wszechświat zaczyna sam kręcić w stronę przeciwną, bo on jest istotą żywą i dostał rozum od tego, który wprowadził weń harmonię na początku. A to cofanie się wstecz w biegu jest mu nieuchronnie wrodzone z tego powodu.

Młodszy Sokrates: Z jakiegoż powodu?

Gość: To, żeby zawsze być niezmiennym pod tym samym względem i zawsze być tym samym, to przysługuje tylko istotom najbardziej boskim. A natura ciała nie taki ma porządek. Istota, którą nazywamy niebem i wszechświatem, dostała od swego rodziciela wiele rysów szczęśliwych, ale dostała też i ciało w udziale. Stąd nie jest jej dane to, żeby w ogóle wolna była od przemiany, tyle tylko, że ile możliwości porusza się w tym samym miejscu jak najbardziej jednostajnie E i jednym i tym samym ruchem. Dlatego dostała w udziale to krążenie w stronę przeciwną jako najmniejszą odmianę ruchu własnego. A samo siebie obracać nie potrafi nic? to potrafi jedynie tylko to, co prowadzi wszystko, co się porusza. A jemu się nic godzi ruszać się raz w tę stronę, a raz w stronę przeciwną. Więc z tego wszystkiego nie trzeba mówić, ani że świat się zawsze sam obraca, ani też że Bóg zawsze go obraca i w dwóch przeciwnych kręci go kierunkach, ani też że go kręcą jacyś dwaj bogowie, sobie nawzajem przeciwni, tylko, tak jak się przed chwilą powiedziało, to jedno pozostaje, że raz go prowadzi przyczyna inna, boska, i on wtedy znowu nabiera życia i dostaje nieśmiertelność nabytą od swego wykonawcy, a raz, kiedy go Bóg opuści, on wtedy idzie sam przez się, jak długo jest zostawiony sam sobie. Tak, że z powrotem odbywa niezliczone obroty, bo jest czymś największym i najlepiej zrównoważonym i biegnie, oparty na osi najcieńszej.

Młodszy Sokrates: Widocznie. I to brzmi bardzo prawdopodobnie, to wszystko coś opisał.

Gość: Więc rozważmy sobie to i stan, który wynika z tego, co się w tej chwili powiedziało, a o którym myśmy mówili, że on jest przyczyną wszystkich dziwów. Bo to jest właśnie to.

Młodszy Sokrates: Co takiego?

Gość: To, że ruch obrotowy świata odbywa się raz w tym kierunku, co teraz, a raz w stronę przeciwną.

Młodszy Sokrates: Jakże to się dzieje?

Gość: Tę przemianę trzeba uważać za największą c ze wszystkich przemian, jakie się odbywają, i najbardziej zasadniczą we wszechświecie.

Młodszy Sokrates: No, zdaje się.

Gość: Zatem trzeba uważać, że wtedy się dzieją przemiany najważniejsze dla nas, którzy mieszkamy wewnątrz świata.

Młodszy Sokrates: I to oczywiście.

Gość: A przemiany wielkie i liczne, i różnorodne kiedy się zbiegną, czyż nie wiemy, że natura istot żywych znosi to ciężko?

Młodszy Sokrates: Jakżeby nie?

Gość: Więc z konieczności nadchodzi wtedy zagłada największa istot żywych innych, a z rodzaju ludzkiego zostają tylko resztki. Na tych ludzi spadają różne inne liczne i przedziwne, i nowe klęski, a najdonioślejsze jest to zjawisko, które wtedy wynika z odwrócenia się biegu wszechświata, kiedy się zaczyna obrót przeciwny temu,

który się teraz odbywa.

Młodszy Sokrates: Jakie zjawisko?

Gość: Jakikolwiek wiek miałyby każda istota żywa, ten się przede wszystkim zatrzymuje i co tylko jest śmiertelnego, to wszystko przestaje starzeć się w oczach, a przemienia się w kierunku przeciwnym, staje się młodsze i delikatniejsze. I starszych osób włosy czernieją, wygładzają się policzki brodaczków i każdy odzyskuje miniony urok młodości, a ciała młodzieńców wygładzają się i maleją z każdym dniem i z każdą nocą, i wracają do natury noworodka. Upodobniają się do nich duchowo i fizycznie. A zanikając potem coraz bardziej, znikają zupełnie. A jeżeli ktoś wtedy ginie śmiercią gwałtowną, z jego zwłokami dzieje się to samo, i to tak prędko, że one się psują i znikają w ciągu paru dni.

Młodszy Sokrates: A jakże to było wtedy, Gościu, z powstawaniem zwierząt? W jaki sposób one się rodziły jedne z drugich?

Gość: Jasna rzecz, Sokratesie, że w ówczesnej naturze nie było rodzenia się jednych istot z drugich, a tylko ten tak zwany ród dzieci ziemi wracał w owym czasie na ziemię, a o nim zachowali wspomnienie nasi przodkowie, ci pierwsi, którzy po skończeniu się poprzedniej epoki sąsiedowali z nią w czasie bezpośrednio, a porodili się na początku epoki obecnej. Oni się stali dla nas heroldami tych podań, w które dziś wielu nie wierzy. Niestłuszenie. Bo trzeba wziąć pod uwagę, co z tego wynikło. Jak starcy wracali do natury dziecka, tak znowu umarli, leżący w ziemi, znowu się tam organizowali i wracali do życia, bo pod wpływem przemiany powstawanie też biegło ruchem obrotowym wstecz i w ten sposób dzieci ziemi z konieczności rosły i tak dostały swoją nazwę, a i tak powstało podanie o nich. Niektórym z nich Bóg przeznaczył inny los.

Młodszy Sokrates: To całkowicie wynika z tego, co przedtem. Ale to życie pod rządami Kronosa, jak mówisz, czy to było w tamtej epoce, czy w teraźniejszej? Bo przemiany gwiazd i słońca, jasna rzecz, że musiały zachodzić w jednej i drugiej epoce.

Gość: Pięknie idziesz za tokiem myśli. A to, o coś D się zapytał, to że się ludziom wszystko rodziło samo z siebie, to bynajmniej nie jest cechą obecnej epoki, ale i to należało do poprzedniej. Bo wtedy naprzód nad całym obrotem panował Bóg i o cały obrót dbał, a jeżeli chodzi o poszczególne okolice, to tak samo bogowie panowali nad każdą, bo wszystkie części świata rozegrali pomiędzy siebie. I tak samo istoty żywe według rodzajów i trzód bogowie niby pasterze boscami między siebie byli rozdzielili. Każdy był niezależnym panem nad tymi zwierzętami, które sam pasał. Tak, że nie było ani żadnego zwierzęcia dzikiego, ani żadne zwierzę nie było pastwą drugiego, ani wojny między nimi nie było, ani w ogóle rozterki. Bez końca można by opowiadać o tym, co wynikało. takiego porządku rzeczy. A o tym, czemu życie ludzi było takie łatwe, opowiadają co następuje. Bóg ich pasał i czuwał nad nimi sam. Tak jak dzisiaj ludzie? to są istoty bardziej boskie od innych? pasają inne rodzaje, liche od nich. Pod laską pasterską Boga ani państw nie było, ani posiadania kobiet i dzieci. Bo z ziemi wracali do życia wszyscy i nie pamiętali nic z tego, co przedtem. Więc tego rodzaju rzeczy nie było wcale, a owoców mieli pod dostatkiem z drzew i z wielu innych roślin; one nie rosły z pracy rolników, tylko ziemia wydawała je sama z siebie. Bez ubrania i bez pościeli paśli się pod gołym niebem przeważnie, bo klimat mieli łagodny, a pośłania mieli miękkie, bo z ziemi szło trawy dość. Tak oto, Sokratesie, żyli ludzie pod rządami Kronosa. A życie dzisiejsze, jak mówią pod rządami Zeusa, spostrzegasz sam, bo jesteś przy tym. Więc osądzić, które z nich jest szczęśliwsze, czybyś potrafił i czy byś zechciał?

Młodszy Sokrates: W żaden sposób.

Gość: A chcesz, żebym ja ci to w pewien sposób rozstrzygnął?

Młodszy Sokrates: Tak jest.

Gość: Więc jeżeli wychowankowie Kronosa, skoro mieli tak dużo wolnego czasu i umieli się porozumiewać słowem nie tylko z ludźmi, ale i ze zwierzętami, korzystali z tych wszystkich darów dla postępu i filozofii i rozprawiali ze zwierzętami i z sobą nawzajem, i dowiadywali się od wszystkich twórców przyrody, czy który z nich, mając jakąś sobie tylko właściwą zdolność, nie dostrzegł czegoś osobliwego, czego by nikt inny nie dostrzegł, a przez co by rozumu przybywało? to łatwo rozstrzygnąć, że ówczesni ludzie stali bez porównania wyżej od dzisiejszych, jeżeli chodzi o szczęście. Ale jeżeli, napchawszy się do sytości pokarmem i napojem, opowiadali sobie nawzajem i zwierzętom takie bajki, jakie sobie ludzie i dziś o nich opowiadają, to i wtedy łatwo to rozstrzygnąć, według mojego zdania przynajmniej. Ale i tak, dajmy temu pokój, pokąd się jakiś dobry informator nie zjawi i nie powie, jak się przedstawiały pragnienia ówczesnych ludzi, jeżeli chodzi o wiedzę i o używanie daru słowa. Ale trzeba powiedzieć to, po cośmy zbudzili ze snu tę bajkę, abyśmy przeszli do tego, co dalej, i poszli naprzód.

Więc kiedy się dokonał czas tego wszystkiego i miała się odbyć przemiana i zużyty był cały ród ziemski, bo już wszelka dusza odbyła wszystkie swoje odrodzenia? ile każdej było przeznaczone, tyle nasion upadło do ziemi? wtedy sternik wszechświata jakby ster z ręki wypuścił i odszedł rozglądać się naokoło, a światem zaczęło w przeciwną stronę kręcić przeznaczenie i wrodzona żądza. Więc wszyscy bogowie dzielący z duchem najwyższym rządy tu i tam, widząc już, co się dzieje, wypuścili każdą swoją część świata spod swej opieki. Świat zaś zaczął się obracać wstecz i nastąpiły zderzenia, kiedy początek i koniec w przeciwnym kierunku ruszyły, zrobiło się wielkie wstrząśnienie wewnętrzne w świecie i stąd inna znowu zagłada wielorakich istot żywych. A potem, kiedy dość czasu upłynęło, ustały w nim te hałasy i niepokoje i przyszła cisza na miejsce wstrząsów, świat wrócił do porządku i do swego zwyczajnego biegu i sam zaczął mieć troskę i moc nad tym, co w nim i co do niego należy? pamiętając ile mógł o tym, czego się nauczył od swego wykonawcy i ojca. Z początku trzymał się tego dokładniej, a pod koniec coraz gorzej. A przyczyną tego to, że świat ma w swoim składzie cielesność i pierwiastek tkwiący w jego dawnej naturze. W nim było wiele nieporządku, zanim jeszcze wszedł w skład dzisiejszego świata. Bo od swego organizatora świat dostał wszystko dobre. A co się tylko w świecie dzieje przykrego i niesprawiedliwego, to wszystko pochodzi z poprzedniego stanu, stamtąd świat ma to sam i wraza to istotom żywym. Więc dopóki pod rządami sternika żywe istoty w sobie żywił, wpajał w nie mało wad, a wiele wrodzonego dobra. A kiedy sternik od niego odchodzi, to świat zrazu bardzo pięknie wszystko prowadzi, a z czasem, kiedy się w nim niepamięć zagnieżdża, coraz bardziej w nim do głosu przychodzi jego stara

dysharmonia, a na koniec rozpanoszą się tak, że tego, co dobre, mało, a mieszaniny różnego zła coraz więcej i zaczyna zagrażać niebezpieczeństwo, że świat się zepsuje ze szczętem i zginie to, co w nim. Dlatego też i wtedy już Bóg, który świat porządnie zbudował, widząc go w tych tarapatach i bojąc się, żeby się świat w tej zawierusze i bezładzie nie rozpadł i nie utonął w nieokreślonym morzu tego, co odmienne, zasiada znowu u swojego steru, odwraca to, co schorzało i co się rozpadło w poprzednim okresie, robi porządek i stawia na nogi wszystko, robi świat nieśmiertelnym i niepodległym starości.

To jest koniec całej baśni. A jeżeli chodzi o okazanie typu króla, to wystarczy nam nawiązać do poprzedniego ustępu. Bo kiedy świat wrócił znowu na dzisiejszą drogę powstawania, wtedy się wiek istot żywych na nowo zatrzymał i nowe istoty zaczęły przejawiać cechy przeciwne niż poprzednio. Bo te, które z powodu małych rozmiarów omal że nie zanikły zupełnie, zaczęły rosnąć, a ciała nowonarodzone z ziemi, a już siwe, umierały znowu i schodziły pod ziemię. I wszystkie inne rzeczy zaczęły się zmieniać, naśladując i stosując się do stanu wszechświata, a więc i ciąża, i narodziny, i żywienie się przystosowało się też z konieczności do zmiany ogólnej. Już teraz nie mogły istoty żywe rodzić się w ziemi z zespolenia się części różnych, ale tak samo, jak świat dostał polecenie, żeby sam panował nad swoim biegiem, tak samo i jego części dostały rozkaz od podobnej władzy, żeby ile możliwości rosły i rodziły się, i żyły same przez się.

A po co się zaczęło to całe opowiadanie, do tego teraz już dochodzimy. Bo o innych zwierzętach można by długo i szeroko opowiadać, jakie były przedtem i z jakich się przyczyn przemieniły, a o ludziach to będą rzeczy krótsze i stosowniejsze. Ludzie zostali pozbawieni opieki tego ducha, który nas posiadał, i pasł, a wiele zwierząt, mających natury niebezpieczne, zdziczało, więc ludzie byli słabi i niestrzeżeni, zwierzęta rozszarpały ich, a oni w pierwszych czasach byli bezradni i nie umieli się bronić i dawać sobie rady, kiedy im zabrakło pożywienia samorodnego, a zdobywać go sobie nie umieli, bo ich przedtem żadna bieda do tego nie zmuszała. Przez to wszystko w ciężkim byli położeniu. Stąd te dary bogów dla nas, o których mówią dawne podania, razem z potrzebną do nich nauką i wychowaniem: ogień od Prometeusza, rzemiosło od Hefajsta i od tej, która się wspólnie z nim rzemiosłem opiekuje, a nasiona znowu i rośliny od innych bóstw. Stąd poszło też wszystko to, co stanowi urządzenie życia ludzkiego, odkąd, jak powiedziałem przed chwilą, opuściła ludzi opieka boska i musieli sami jakoś życie pędzić i sami dbać o siebie, podobnie jak i cały świat. Jesteśmy do niego podobni i zawsze od niego zależni, więc żyjemy i rodzimy się raz tak, raz inaczej. Więc niech się na tym baśń skończy.

Mit o powstaniu ludzi z ziemi i o daniu im przez Zeusa wstydu i poczucia prawa

Protagoras

Był tedy niegdyś czas, kiedy bogowie byli, a rodów śmiertelnych nie było. Kiedy więc i na te nadszedł czas przeznaczony powstania, rzeźbią je bogowie we wnętrzu ziemi, z ziemi i z ognia mieszając, a mieszaniny ognia i ziemi dodając. A kiedy je mieli wywieść na światło, polecili Prometeuszowi i Epimeteuszowi wyporządzić je i przydać zdolności każdemu należyte. Prometeusza tedy prosi Epimeteusz: "Ja sam podzielę. A gdy podzielę, powiada, ty przyjdź i zobacz.

Tak go nakłonił i dzieli. A dzieląc, jednym dał siłę, nie dając im szybkości, a stworzenia słabsze szybkością wyposażył. Jedne uzbroił a drugim bezbronną dawszy naturę, inną im jakąś obmyślił zdolność gwoli ocalenia. Bo, które z nich w drobną postać przyodziął, tym lotne pióra dał do ucieczki albo im mieszkania podziemne wyznaczył. A które do znacznych rozmiarów powiększył, tym samym już je zabezpieczył. Wszystko inne tak samo, po równości każdemu, podzielił. A to obmyślił, mając się na baczności, żeby który ród nie wyginął. Skoro im więc ochronę przed wzajemnym zjadaniem się zapewnił, obmyślił im też osłonę przed porami roku, które Zeus daje. Przyodziął je gęstym włosom i grubymi skórą, które od mrozu ochronić potrafią, a potrafią i od upałów, a gdy się na spoczynek kłaść będą, aby każdemu wystarczyła już ta sama kołdra, swoja własna i samorodna. A u nóg jednym dał kopyta, innym szpony i skóry tęgie i bez krwi. Następnie postarał się dla każdego o inne pożywienie, więc jednym o ziele z ziemi, drugim owoce z drzew, innym korzonki. A są i takie, którym inne zwierzęta na żer przeznaczył. Tym małą dał liczbę potomstwa, a tym, które padają ich ofiarą, wielką; tak zapewnił zachowanie gatunków.

Ale, że nie bardzo mądry był Epimeteusz, więc nie zauważył, że już wszystkie zdolności porozdawał istotom nierozumnym. Pozostał mu jeszcze niewyposażony dotychczas ród ludzki. On nie wiedział, co z nim począć. W tym kłopotcie, przychodzi do niego Prometeusz zobaczyć, jak wypadł przydział i widzi, że inne zwierzęta wszystkie zaopatrzone troskliwie, tylko człowiek goły i bosy, i nie okryty niczym, i bezbronny. A oto już i był nadszedł przeznaczony dzień, w którym miał człowiek z ziemi wyjść na światło. Kłopotem tedy przyciśnięty Prometeusz, jakie by też zbawienie człowiekowi wyszukać, wykrada Hefajstosowi i Atenie mądrość, sztuk rodzicielską, wraz z ogniem? bo niepodobna było, żeby ją ktokolwiek mógł osiągnąć bez ognia albo mieć z niej jakikolwiek pożytek? i tak obdarował człowieka.

Zatem mądrość, potrzebną do życia, tym sposobem człowiek posiadał, ale mądrości politycznej nie miał. Ta była jeszcze u Zeusa. Prometeuszowi zaś na zamek, gdzie Zeus mieszkał, wchodzić nie było wolno. Tym bardziej że i strażę Zeusa były straszliwe. Więc do Ateny i Hefajstosa mieszkania wspólnego, w którym ulubione sztuki uprawiali, po cichu się zakrada, kradnie sztukę ogniową Hefajstosa oraz inne sztuki Ateny, i człowieka nimi

obdarza. Odtąd życie człowiekowi łatwo płynie; Prometeusza zaś potem przez Epimeteusza, jak mówią, kara za kradzież spotkała. Skoro człowiekowi jakaś część losu boskiego przypadła, naprzód więc dzięki pokrewieństwu z bogiem, on jeden spośród zwierząt zaczął w bogów wierzyć i zaczął im ołtarze stawiać i posągi. A potem, prędko, z pomocą sztuki, rozczłonkował głos swój i porobił słowa, i wynalazł mieszkania, i ubrania, i obuwie, i pościel, i pożywienie z ziemi. Tak tedy wyposażeni ludzie zrazu mieszkali z osobna, tu i tam rozrzućeni, a miast nie było wcale. I ginęli od dzikich zwierząt, bo ze wszech miar byli od nich słabsi, a umiejętność rozlicznych robót pomagała im wprawdzie i wystarczała do tego, żeby się wyżywić, ale żeby ze zwierzętami dzikimi wojować, nie wystarczała. Bo umiejętności politycznej jeszcze nie mieli, a częścią jej jest umiejętność wojenna. Starali się więc gromadzić i chronić od ztrat, zakładając państwa.

A zawsze gdy się skupili, krzywdził jeden drugiego, bo nie mieli jeszcze umiejętności politycznej, zaczęli się rozsypany na nowo i ginęli. Zeus tedy, bojąc się o ród ludzki, żeby nie wyginął ze szczętem, posyła Hermesa, aby ludziom przyprowadził Wstyd i Poczucie prawa; one miały stanowić ład i porządek państwowy, miały ludzi węzłami przyjaźni powiązać. Pyta więc Hermes Zeusa, w jaki by sposób chciał dać ludziom wstyd i poczucie prawa. Czy tak, jak są umiejętności rozdane, tak i te mam podzielić? A rozdane są tak: jeden, który umiejętność lekarską posiada, wystarczy na wielu nielekarzy, a podobnie inni fachowcy. Więc i wstyd i poczucie prawa tak samo mam rozmieścić po ludziach, czy też je rozdzielić pomiędzy wszystkich?

? Pomiędzy wszystkich ? powiada Zeus *? i niechaj to każdy ma w sobie.*

Bo nie powstałyby państwa, gdyby tylko nieliczni z nich tego dostąpili, podobnie jak innych sztuk. I prawo tam ustanów ode mnie, żeby takiego, który nie potrafi mieć w sobie wstydu i poczucia prawa, zabijano jak parszywą owcę w państwie.

Tak tedy, Sokratesie, i dlatego to i inni Ateńscy, kiedy mowa o sprawności architektonicznej albo innej jakiejś rzemieślniczej, uważają, że niewielu ma wtedy głos i gdyby wówczas głos zabierał ktoś stojący poza tymi nielicznymi, nie znoszą tego, jak powiadasz, a ja mówię, że słusznie robią. Kiedy zaś idą na narady, w których polityczna dzielność w grze, a ta się przecież w zupełności winna opierać na rozsądku, którym panujemy nad sobą, i na sprawiedliwości, słusznie wówczas każdego obywatela dopuszczają do głosu, boć wypada, żeby każdy te właśnie cnoty miał w sobie, albowy państw nie było. Oto, Sokratesie, jaka jest tego przyczyna.

Mit o powstaniu ludzi z ziemi

Meneksenos

Albo od czego można by dobrze zacząć pochwałę zacnych mężów, którzy za życia cieszyli swoich bliskich cnotą i wybrali dla siebie śmierć za cenę ocalenia żyjących? Wydaje mi się, że skoro z natury byli szlachetni, to należy ich (szlachetność) pochwalić. A byli szlachetni przez to, że się z ludzi szlachetnych urodzili. Pochwalmy zatem najpierw ich dobre urodzenie, następnie wykształcenie i wychowanie. Potem przedstawmy ich dokonania, jak pięknie i godnie się spisali.

Za ich dobrym pochodzeniem przemawia przede wszystkim fakt, że przodkowie ich nie byli z urodzenia obcymi ani też ci tutaj [leżący] nie określili się jako metojkowie ? potomkowie ludzi przybyłych z innego kraju, lecz byli autochtonami rzeczywiście mieszkającymi i żyjącymi w ojczyźnie, wychowanymi nie przez macochę ? jak obcy, lecz przez matkę-ziemię, którą zamieszkiwali, a teraz ? polegli ? leżą na matczynym łonie tej, która i zrodziła ich, i wykar-miła, i w końcu przyjęła. Najsłuszniej zatem będzie uczcić najpierw samą matkę. Tym samym bowiem czcimy zarazem ich dobre urodzenie. Ziemia zaś zasługuje nie tylko na naszą pochwałę, ale na pochwałę wszystkich ludzi, i to z różnych powodów, a przede wszystkim i ze wszech miar dlatego, że akurat jest miła bogom.

Świadectwem naszych słów jest spór i osąd bogów, roszcujących sobie do niej pretensje. Jakżeby przecież nie miała zasługiwać na pochwały wszystkich ludzi ziemia, którą pochwalili bogowie? Drugim słusznym powodem chwały tej krainy mógłby być fakt, że w czasie kiedy cała ziemia płodziła i wydawała na świat wszelkiego rodzaju zwierzęta, zarówno dzikie, jak i domowe, kraina nasza okazała się czysta i nie rodziła dzikich stworzeń, ale dokonała wśród zwierząt wyboru i wydała na świat człowieka, zwierzę, które przewyższa pozostałe inteligencją i jako jedyne uznaje bogów i sprawiedliwość.

Poważnym dowodem na rzecz tych słów jest fakt, że właśnie ta ziemia zrodziła naszych przodków i przodków tych, którzy tutaj spoczywają. Wszystko bowiem, co wydaje potomstwo, posiada dlań odpowiednie pożywienie. Dzięki temu okazuje się, czy kobieta naprawdę jest rodzicielką czy też nie, kiedy innej podsuwa własne dziecko, mianowicie wówczas gdy nie ma mleka dla niemowlęcia. Z pewnością wystarczający dowód na to, że jest rodzicielką ludzi, poddaje nasza matka-ziemia. Ona to w owym czasie jako pierwsza i jedyna dostarczyła ludziom pożywienia ? kłosów pszenicy i jęczmienia, które stanowią najodpowiedniejszy i najlepszy dla rodu ludzkiego pokarm, ponieważ rzeczywiście to ona zrodziła ową istotę. Tego typu dowody należy brać pod uwagę bardziej w stosunku do ziemi niż do kobiety, gdyż nie ziemia naśladuje kobietę ciężką i rodzeniem potomstwa, ale kobieta ziemię. A swoich owoców nie strzegła zazdrośnie, lecz udzieliła ich i innym. Następnie wypuściła dla potomstwa ze swej głębi oliwkę, balsam na cierpienia. Skoro już wychowała i doprowadziła do wieku dojrzałego (swych potomków), pozyskała dla nich bogów za przewodników i nauczycieli.

Mit o czterech synach ziemi

Państwo

? A czy byłoby to możliwe, żebyśmy tak wybrali jeden z tych fałszów wskazanych, o których się niedawno mówiło; gdyby tak wybrać jakiś lepszy i tym fałszem wpłynąć przede wszystkim na samych rządzących, a jeśli by nie szło, to na resztę państwa?

? Jakież to ? powiedział.

? To nic nowego ? mówię ? to jakaś bajka fenicka, dawniej bardziej rozpowszechniona, jak mówią poeci i wmawiają to w kogo można, ale u nas się to nie działo i nawet nie wiem, czy się dziać mogło. A żeby to w kogoś wmówić, trzeba by wielu słów.

? Zdaje się, że ty się wahasz, czy ją powiedzieć, czy nie.

? Jak powiem, to zobaczysz, że się słusznie wahał.

? Mów ? powiada ? nic się nie bój!]

? To mówię. Chociaż nie wiem, skąd wziąć odwagę i jakich użyć słów, kiedy spróbuję naprzód samych rządzących inspirować i żołnierzy, a potem i resztę państwa, że to, jakobyśmy ich utrzymywali i wychowywali, to im się tylko tak wydawało. Wszystko, co się z nimi i koło nich działo, to były niby tylko sny, a naprawdę oni byli wtedy pod ziemią i w jej wnętrzu formowani i żywieni, oni sami oraz - ich broń i inny sprzęt wyrobiony, i a kiedy już całkowicie byli wykonani, wtedy ich ziemia, jako matka, na świat wydała. Więc teraz, ponieważ to ich matka jest i karmicielka ? ta ziemia, w której mieszkają ? powinni o nią dbać i bronić jej, gdyby ją ktoś nachodził, a inni obywatela to są ich bracia, bo to też synowie ziemi, więc się ich dobrem interesować powinni.

? Nie bez powodu ? powiada ? tyś się wstydział mówić nieprawdę.

? To bardzo proste ? powiedziałem. ? A jednak posłuchaj i reszty tego mitu. Wy tu wszyscy w państwie jesteście braćmi, tak będziemy im dalej ten mit opowiadali, ale bóg, który was formował, wpuścił w okresie powstawania i wmięszął trochę złota w tych z was, którzy są zdolni do rządów. Dlatego oni są najcenniejsi. A w pomocników srebro. A żelazo i brąz w rolników i w tych, co inne uprawiają rzemiosła. Więc ponieważ wszyscy jesteście jednej krwi, dlatego najczęściej macie potomków podobnych do was samych, ale bywa, że się ze złotego może urodzić ktoś srebrny albo ze srebrnego złoty i tam dalej; wszelkie są możliwe wypadki w tę i w tamtą stronę. Zatem rządzącym przede wszystkim i najbardziej przykazuje bóg, żeby niczego tak dobrze nie pilnowali i przy niczym tak uważnie na straży nie stali, jak koło własnych potomków; patrząc, która z tych czterech domieszek świeci w duszy każdego, i jeźliby się im urodził potomek z domieszką brązu lub żelaza, to się nie powinni w żaden sposób unosić litością, ale ocenić tę naturę tak, jak ją cenić trzeba, i zepchnąć go na rzemieślnika albo na rolnika. A gdyby się znowu pośród nich urodził ktoś z domieszką złota albo srebra, oni to ocenią i podniosą jednego do straży, a drugich do hufców pomocniczych; bo wyrocznia powiedziała, że państwo upadnie wtedy, gdy go będzie strzegł strażnik żelazny albo strażnik z brązu. Żeby oni w ten mit uwierzyli, czy masz na to jakiś sposób?

? Nigdy ? powiada ? żeby uwierzyli oni sami. Ale gdyby chociaż ich synowie i wnuki, i inni ludzie, którzy kiedyś przyjdą.

? I to też byłoby dobrze ? dodałem ? więcej by się wtedy troszczyli o państwo i o siebie nawzajem, ja mniej więcej rozumiem, co ty masz na myśli.

Tak; to będzie tak lub inaczej, zależnie od tego, jaki tradycja tę bajkę poprowadzi. My tymczasem tych synów ziemi uzbroimy i wyprowadzimy na plac z dowódcami na czele. Jak się zejda, niech się rozejrzą po mieście, w którym by miejscu najlepiej obóz urządzić, skąd by i swoich najłatwiej poskramiać mogli, gdyby który nie chciał praw słuchać, i skąd by zewnętrznych nieprzyjaciół najlepiej mogli odpierać, jeźliby jakiś wróg nadciągał niby wilk na trzodę. A jak obóz rozbiją i złożą ofiarę, komu trzeba, niech sobie urządzi kwatery. Czy jak?

? No, tak ? powiada.

Mit o Atlantydzie

Timaios

Kritias: To posłuchaj, Sokratesie. Opowieść bardzo dziwna, ale ze wszech miar prawdziwa. Opowiadał ją kiedyś Solon, najmądrzejszy spośród siedmiu mędrców. Był członkiem naszej rodziny, był ukochanym Dropidesa, mojego pradziada, jak to i sam mówi na wielu miejscach swoich poematów. On to mówił Kritiasowi, mojemu dziadkowi, i ten, już starszek, opowiadał to nam, że wielkie i podziwu godne były dawne czyny tego państwa, ale czas zatarł ich ślady i ludzie powymierali. Jeden czyn był największy ze wszystkich. Teraz może by wypadło przypomnieć go i w ten sposób odwdziżyć się tobie a równocześnie słusznie i zgodnie z prawdą oddać chwałę bogini przy święcie, jakbyśmy hymn śpiewali.

Sokrates: Dobrze mówisz. Ale co to za czyn taki naszego państwa podał Kritias za Solonem; nie jako podanie, ale jako fakt rzeczywisty?

Kritias: Ja powiem, com słyszał. Opowieść dawna z ust niemłodego człowieka. Bo Kritias, kiedy to mówił, był już bliski dziewięćdziesiątki a ja miałem chyba najwyżej dziesięć lat.

Właśnie było święto Apaturiów, trzeci dzień, w którym się chłopców wpisuje do gminy. Chłopcy, jak co roku,

tak i wtedy brali udział w uroczystości. Ojcowie urządzili nam konkurs wokalny. Wygłaszano wiele poematów wielu różnych poetów, a ponieważ poezje Solona były w owym czasie nowe, więc wygłaszało je wielu spośród nas, chłopców. Otóż powiedział wtedy ktoś z naszej dzielnicy ? czy mu się tak wtedy wydawało, czy też chciał jakąś przyjemność zrobić Kritiasowi ? dość, że powiada, że Solon był w ogóle najmądrzejszym człowiekiem, a jeżeli chodzi o poezję, to polot miał największy ze wszystkich.

Staruszek, doskonale to pamiętam, bardzo się tym ucieszył, uśmiechnął i rozpromieniony powiada: "Gdyby on się, mój Arynandrze, nie był zajmował poezją tylko ubocznie, ale oddał się jej całą duszą, tak, jak inni, byłby wykończył opowieść, którą tutaj przywiózł z Egiptu i gdyby go rozruchy i inne nieszczęścia, które tu znalazł po przyjeździe, nie były zmusiły do zarzucenia poezji, to, według mego zdania, ani Hezjod, ani Homer, ani żaden inny poeta nie byłiby go nigdy sławą przewyższyli".

- A cóż to była za opowieść, Kritiaszu? - zapytał tamten.

- O największym i najznamienitszym, można powiedzieć najsluszniej, ze wszystkich czynów, jakich nasze państwo dokonało, ale że to czasy dawne i poginęli ci, którzy tego czynu dokonali, więc wieść o nim do nas nie dotarła.

- Powiedźże od początku - powiada tamten - co i jak mówił Solon i od kogo to usłyszał jako prawdę?

- Jest powiada - w Egipcie, w delcie, którą opływa rozszczępiony u góry strumień Nilu, powiat, zwany Saityckim. W tym powiecie największym miastem jest Sais, skąd też pochodził i król Amasis. U nich tam nad miastem króluje pewne bóstwo, które się po egipsku nazywa Neith a po grecku, jak oni mówią, Atena.

Oni twierdzą, że bardzo lubią Ateńczyków i że w jakiś sposób są z nami tu spokrewnieni. Solon mówił, że gdy tam przyjechał, bardzo go tam zaczęto szanować. Dość, że zaczął się rozpytywać o dawne czasy tych kapłanów, którzy najwięcej byli z tym obznajomieni, bo sam nic o tym po prostu nie wiedział i nie znalazł żadnego innego Hellena, który by o tym wiedział cokolwiek. I tak raz, pragnąc ich wyciągnąć na słówko o dawnych czasach, zaczął mówić o najdawniejszych dziejach naszych, o Foroneusie, którego pierwsze podania dotyczą, i o Niobie, a znowu o potopie opowiadał bajki, jak to przetrwali Deukalion i Pyrrha i wywodził pokolenia od nich pochodzące i starał się przypomnieć sobie, ile to lat trwały te rzeczy, o których mówił, i starał się obliczyć lata.

Na to jeden bardzo stary kapłan powiedział: - Oj, Solenie, Solenie! Wy, Hellenowie, zawsze jesteście dziećmi. Nie ma starca między Hellenami. On to usłyszał i powiada: - Jak to? Co to ty mówisz?

- Młode dusze macie wszyscy - powiada. - Nie macie w nich żadnego dawnego mniemania, opartego na starych podaniach, ani żadnej wiedzy odkrytej siwizną wieków. A przyczyna tego taka. Wiele razy i w różnym sposobie przychodziła zguba rodzaju ludzkiego i będzie przychodziła nieraz. Od ognia i od wody największa a z niezliczonych innych przyczyn inne, krócej trwające. U was też mówią, że Faeton, syn Heliosa, zaprzął raz konie do wozu ojca, a że nie umiał pędzić po tej samej drodze co ojciec, popalił wszystko na ziemi i sam zginął od pioruna. To się opowiada w postaci mitu a prawdą jest zbaćwanie ciał, biegnących około ziemi i po niebie i co jakiś długi czas zniszczenie tego, co na ziemi, od wielkiego ognia.

Wtedy ci, którzy mieszkają po górach i na wyżynach i w okolicach suchych, bardziej giną, niż ci, co mieszkają nad rzekami i nad morzem. Dla nas Nil jest w ogóle zbawieniem i wtedy też z tego nieszczęścia ratuje nas i zbawia. A kiedy znowu bogowie ziemię wodą oczyszczają i zalewają potopem, wtedy się ratują ci, co po górach krowy pasą i owce, a tych, co po waszych miastach mieszkają, rzeki splukują do morza. A w tym kraju tutaj ani wtedy, ani nigdy innym razem Woda z góry na niwy nie spływa, tylko wprost przeciwnie; od dołu wszystka podchodzi. Taka już jest. Dlatego też i z tych przyczyn zachowują się u nas w podaniach zdarzenia najdawniejsze.

A po prawdzie to tak jest, że we wszystkich Okolicach, gdzie mróz nadzwyczajny ani skwar przeszkody nie stanowi, tam zawsze gęściej lub rzadziej ród ludzki zamieszkuje. Otóż, cokolwiek się u was albo u nas, albo w innej okolicy, o której wiemy ze słyszenia, zdarzy pięknego albo doniosłego, albo z jakiegokolwiek innego względu osobliwego, to wszystko jest tutaj od dawna zapisane w świątyniach i przechowane. A to, co się u was i u innych ludów dzieje, zaledwie się utrwalić zdoła w napisach i w tym wszystkim, czego państwa potrzebują, kiedy oto znowu w swoim czasie, jakby choroba powrotna, przychodzą na nich strumienie wody z nieba i zostawiają spośród was tych, co pisma i służby u Muz nie znają. Tak, że na nowo od początku rodzicie się niejako, jakby młodzi. Nie wiecie nic ani o tym, o tu było, ani co u was było w czasach zamierzchłych. Te twoje rodowody, Solonie, i te historie, któreś opowiadał o tym, co u was, mało się różnią od bajek dla dzieci.

Wy naprzód pamiętacie tylko jeden potop, a przed tym było ich wiele. Oprócz tego nie wiecie, że w waszej ziemi mieszkał najpiękniejszy i najlepszy rodzaj ludzi, od którego pochodzisz i ty, i całe wasze dzisiejsze państwo. Bo zostało wtedy trochę tego nasienia, ale wy o tym nie wiecie. Dlatego, że ci, co pozostali, przez wiele pokoleń ginęli, głosu nie umiając zamykać w litery. Istniało swojego czasu, Solonie, przed największym potopem państwo, które dziś jest państwem ateńskim, wielka potęga militarna i w ogóle prawa miało znakomite. Miało dokonać czynów najpiękniejszych i wytworzyć ustroje najlepsze ze wszystkich, o jakich nas dziś pod słońcem wieści dochodzą.

Kiedy to usłyszał Solon, zdziwił się, powiada, i bardzo pragnął i prosił kapłanów, żeby mu wszystko dokładnie o dawnych obywatelach po kolei opowiedzieli. A kapłan powiedział:

- Nie ma co tego kryć, Solenie. Opowiem i ze względu na ciebie, i na wasze państwo a przede wszystkim na chwałę bogini, która państwo wasze i nasze dostała w udziale, wychowała je i wykształciła - naprzód to wasze, o tysiąc lat wcześniej, kiedy wasze nasienie wzięła od Ziemi i od Hefajsta, a nasze potem. Jeżeli chodzi o początek tutejszego ustroju, to w naszych księgach świętych jest pisana liczba ośmiu tysięcy lat. Więc ja ci pokrótce opowiem o prawach obywateli sprzed dziesięciu tysięcy lat i o najpiękniejszym dziele, jakiego dokonali. A jeżeli chodzi o dokładny przegląd ich całych dziejów po kolei, to innym razem przy wolnym czasie sobie to przejdziemy, wzięwszy same książki do ręki.

Więc rozpatrz sobie prawa w stosunku do obecnych naszych. Bo znajdziesz tu teraz wiele urzędzeń wzorowanych na waszych urządzeniach dawniejszych. Naprzód wyodrębnioną od innych kastę kapłanów a potem kastę robotników. Każdy rodzaj pracuje osobno i nie miesza się z drugim. A więc pasterze, myśliwcy i rolnicy. A kasta wojowników, widzisz chyba, jak tutaj jest odosobniona od wszystkich innych grup; i prawo im przykazuje nie troszczyć się o nic innego, jak tylko o to, co dotyczy wojny. A także sposób ich uzbrojenia, te tarcze i włócznie, które myśmy wprowadzili pierwsi ze wszystkich ludów położonych około Azji, bo nam, pierwszym to bogini pokazała, podobnie jak i wam w tamtych stronach. A jeżeli chodzi o naukę, to widzisz chyba, jak tutaj prawo otoczyło opieką badanie wszechświata jako całości aż po wróżbiarstwo i lecznictwo - to dla zdrowia - i spośród boskich nauk wybrało te, które ze sprawami ludzkimi mają związek i jakie tam inne za tym idą umiejętności, rozwinęło wszystkie. Cały ten podział porządną i układ stosunków naprzód bogini urządziła u was, kiedy zakładała wasze państwo. Wybrała okolicę, w którejście się urodzili, bo zobaczyła, że klimat tam jest umiarkowany, więc wytworzy ludzi najlepiej rozwiniętych umysłowo. A że bogini kocha się w wojnie i w mądrości, więc wybrała miejsce, które jej miało przynieść ludzi najodpowiedniejszych dla niej i tam wasze osady założyła. Tameście więc siedzieli, rządząc się takimi prawami. I jeszcze lepsze mając - w każdej dzielnosci przewyższaliście wszystkich ludzi; rzecz prosta, bo i krew boską macie i wychowanie. My tu mamy zapisanych i podziwiamy wiele wielkich czynów waszego państwa - a jeden z nich przewyższa wszystkie inne wielkością i dzielnością.

Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz, z Morza Atlantycznego. Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa. Wyspa była większa od Libii i od Azji razem wziętych. Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze. Bo to, co jest po wewnętrznej stronie tego wejścia, o którym mówimy, to się okazuje zatoką o jakimś ciasnym wejściu. A tamto morze jest prawdziwe i ta ziemia, która je ogranicza całkowicie, naprawdę i najsluszniej może się nazywać lądem stałym.

Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające nad całą wyspą i nad wieloma innymi wyspami i częściami lądu stałego. Oprócz tego, po tej stronie tutaj oni panowali nad Libią aż do granic Egiptu i nad Europą aż po Tyrrenię. Więc ta cała potęga zjednoczona próbowała raz jednym, uderzeniem ujarzmić wasz i nasz kraj i całą okolicę Morza Śródziemnego. Wtedy to, Solenie, objawiła się wszystkim ludziom potęga waszego państwa: jego dzielność i siła. Wasze państwo stanęło na czele wszystkich, zachowało równowagę ducha, rozwinęło sztuki wojenne i już to na czele Hellady, już też odosobnione, bo inni je opuścili z konieczności, w skrajne niebezpieczeństwo popadło, jednak pokonało najeźdźców i wzniosło pomnik zwycięstwa; nie pozwoliło ujarzmić tych, którzy jeszcze nie byli ujarzmieni i nam wszystkim, którzy zamieszkujemy po tej stronie Słupów Heraklesa, zachowało wolność, nie zazdroszcząc jej nikomu. Później przysły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna - wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła. Dlatego i teraz tamto morze jest dla okrętów niedostępne i niezbadane; bardzo gęsty muł stanowi rzeszkodę - dostarczyła go wyspa, zapadająca się na dno.

Co stary Kritias powiedział, powtarzając to za Solonem, to w krótkim streszczeniu usłyszałeś, Sokratesie.

Mit o Atlantydzie

Kiritias

Kritias: Kochany Hermokratesie, postawiono cię w drugim szeregu, masz przed sobą kogoś innego i jeszcze jesteś dobrej myśli! Co to znaczy, to się zaraz pokaże samo; będziesz widział. Ale kiedy tak D zachęcasz i dodajesz ducha, trzeba cię posłuchać i oprócz tych bogów, których wymieniałeś, wezwać innych też, a najbardziej Mnemozynę. Bo co najważniejsze w waszych mowach, to prawie wszystko zależy od tej bogini. Bo jeśli sobie należycie przypominamy i wypowiemy to, co swojego czasu opowiedzieli kapłani i Solon tutaj to przywiózł, to jestem prawie pewny, że zyskamy sobie u tej widowni uznanie, żeśmy swoje zadanie w sam raz spełnili. Więc to właśnie trzeba już zrobić i nie wahać się i nie zwlekać dłużej.

Więc przede wszystkim wspomnijmy, jak to głównie o to szło, że dziewięć tysięcy lat minęło, odkąd podanie przekazało wojnę między tymi, co mieszkali poza Słupami Heraklesa a tymi wszystkimi, co po naszej stronie. Ją trzeba teraz przejść od początku do końca. Więc podanie mówiło, że nad jednymi panowało to państwo i stoczyło tę całą wojnę, a nad drugimi królowie wyspy Atlantydy, o której mówiliśmy wtedy, że była większa od Libii i od Azji, a teraz się skutkiem trzęsień ziemi zapadła i zrobiło się z niej błoto nie do przebycia dla tych, którzy stąd wypływają na tamto morze? drogi już nie ma tamtędy. Więc liczne ludy barbarzyńskie i jakie wtedy były plemiona helleńskie, te wszystkie szczegółowo pokaże tok opowieści, która się będzie rozwijała, w miarę jak będziemy na poszczególne plemiona i ludy natrafiali. A ówczesny lud ateński i lud przeciwników, z którymi oni wojnę stoczyli, potrzeba na początku przejść; naprzód omówić potęgę jednych i drugich i ustroje państwowe. I z tych rzeczy wypada naprzód powiedzieć o tym, co tu.

Bogowie swojego czasu ziemię według jej okolic między siebie rozdzielili, ale to nie był spór pomiędzy nimi. Bo to nie miałyby sensu, żeby bogowie nie wiedzieli, co któremu przystoi, ani to, żeby wiedząc o tym, co raczej

komuś innemu z nich przypada, mieli próbować osiąść to przez kłótnię. Więc drogą sprawiedliwych losów każdy miłą sobie okolicę dostał w udziale i zamieszkał w niej. A zamieszkawszy, zaczęli nas żywić, jak pasterze żywią trzody, nas, którzyśmy ich własnością byli i potomstwem. Tyle tylko, że nie zadawali gwałtu ciałom naszym swymi ciałami, jak to pasterze bytoby pasą, bijąc je; człowiekiem przeciw kierować łatwiej niż jakąkolwiek inną istotą żywą, więc bogowie zasiadali na rufie i kierowali duszą według swojej myśli przy pomocy poddawania myśli, jakby dźwignię steru mieli w rękę. Tak prowadzili cały rodzaj śmiertelny i tak nim sterowali. Więc różni bogowie różne okolice dostali w udziale i uporządkowali je pięknie a Hefajstos i Atena, ponieważ naturę mieli wspólną, bo i rodzeństwem byli - tego samego mieli ojca - i jedno z umiłowania mądrości a drugie z zamiłowania do sztuk garnęło się do tego samego, więc tak oboje jeden i ten sam przydział sobie obrali - tę ziemię tutaj - jako dom i grunt, na którym się dzielność rodzi i mądrość, tubylcami zrobili ludzi dzielnych i zaszczepili w ich głowach porządek ustroju państwowego. Ocalały tylko ich imiona a czyny i dzieła, ponieważ pogineli ci, którzy je przejęli i czasy długie przeszły, uległy zapomnieniu. Bo zawsze to pokolenie, które ocalało, jakieś to przedtem mówili, zostawało gdzieś po górach i niepiśmienne znało tylko ze słyszenia imiona władców tej ziemi i do tego słyszało coś niecoś o ich dziełach. Więc oni te imiona chętnie nadawali swoim dzieciom, a dzielności i praw przodków nie znali; krążyły między nimi o tym tylko jakieś ciemne wieści. W niedostatku żyli przez wiele pokoleń - oni sami i dzieci ich tak samo - myśleć umieli tylko o tym, czego im nie dostawało, i o tym też tylko mówili, a o to, co było przedtem i co było dawno, nie dbali. Bo mitologia i badanie przeszłości razem z wolnym czasem do państw przeszły, kiedy widziały, że już niektórzy mają zaspokojone pierwsze potrzeby żyda. A przedtem nie. W ten sposób ocalały imiona starożytnych, ale dzieła ich nie. To mówię, opierając się na tym, co Solon mówił, że tamci kapłani często wymieniali imiona Kekropsa, Brechteusa, Erichtoniosa i Erysichtona i innych i te imiona też, które pamięć przekazała jako różnych przodków Tezeusza i opowiadali o wojnie z owych czasów i podawali imiona kobiet tak samo. Tak też i postać bogini i posąg, ponieważ wspólne były wtedy wojenne zajęcia kobiet i mężczyzn, więc wedle tego obyczaju uzbrojona bogini stała u nich wtedy w świątyniach. Dowód, że u wszystkich istot żywych, c które mają dwie płcie: męską i żeńską, każda płeć ma naturalną zdolność do wspólnego uprawiania zajęć, wymagających dzielności właściwej każdej płci.

Mieszkały wtedy w tej ziemi różne klasy obywateli, zajęte rzemiosłami i dobywaniem pożywienia z ziemi, a klasa wojskowych, złożona z ludzi boskich, od początku oddzielona, mieszkała osobno i miała wszystko, czego potrzebowała do wyżywienia się i wykształcenia. Własnego nikt z nich nic nie posiadał - wszyscy uważali za właściwe, oprócz dostatecznego wikt, niczego nie przyjmować od innych obywateli i oddawali się tym wszystkim zajęciom, o których się wczoraj mówiło w związku z ewentualnymi strażnikami.

A o ziemi naszej też podanie mówiło przekonująco i prawdziwie. Naprzód, że granice miała wtedy od Istmu a od reszty łądu stałego ciągnęła się aż do szczytów Kitaironu i Parnesu i granice jej schodziły w dół, mając po prawej stronie Oropię a po lewej od strony morza ograniczały Asopos. Ziemia nasza przewyższała wartością wszystkie inne. Dlatego też mogła ta ziemia wtedy wykarmić wielkie wojsko z okolicznych mieszkańców złożone, które roli nie uprawiało. A oto wielki dowód jej wartości. Ten szczątek, który dziś z niej pozostał, może z każdą inną ziemią iść w zawody, jeżeli idzie o wydajność i wartość plodów i o doskonałą paszę dla wszystkich istot żywych. A wtedy jej plody były nie tylko piękne, ale ziemia wydawała je w nieprzebranej obfitości. Jakże to wiarygodne i dlaczego można słusznie powiedzieć, że to jest szczątek tej ziemi, która była wtedy? Cała od reszty łądu daleko w morze wysunięta jest jakby przylądkiem. A basen morza naokoło niej jest zaraz przy samym brzegu głęboki. W ciągu dziesięciu tysięcy lat wiele było i wielkich potopów (bo tyle lat upłynęło od owego czasu do dziś), i ziemia w ciągu tych czasów i zmian z wysoczyzn spływająca ani naturalnych usypisk, jak to po innych okolicach, nie tworzy, o których warto by mówić, tylko wciąż wokoło płynie i znika w głębinach. I zostają tak, jak na małych wyspach, jeśli porównać z tym, co dawniej, to, co dziś, jakby same kości z ciała, które choroba zjadła; spłynęła naokoło ziemia, która była tłusta i miękka, a został tylko chudy szkielet ziemi. A wtedy była jeszcze nietknięta i góry miały wysokie okrycie z ziemi na sobie, i doliny, dziś kamieniste, pełne były ziemi tłustej i dużo lasów było w górach, po których jeszcze i dziś są widoczne ślady. Przecież niektóre góry dziś mają pokarm tylko dla pszczoł a nie bardzo dawno temu wycinano tam drzewa na wiazania dachowe do największych budowli i te dachy jeszcze stoją całe. A było też wiele innych drzew sadzonych, wysokich i ziemia dawała nieprzebraną paszę dla bydła. I zbierała sobie przez cały rok wodę Od Zeusa - woda nie spływała marnie jak dziś, z gołej skały do morza; ziemia przechowywała ją w sobie i miała jej dużo w zbiornikach z nieprzepuszczalnej gliny i tę pochłoniętą wodę z wysokości spuszczała w doliny i tworzyła wszędzie niezliczone strumienie źródeł i rzek; po nich i dziś jeszcze stoją nad źródłami, które niegdyś istniały, kapliczki - na znak, że dzisiaj prawdę mówimy o naszej dawnej ziemi.

Więc ziemia w ogóle taka była z natury a uprawiali ją oczywiście rolnicy prawdziwi i ci, którzy się rolnictwem zajmowali a kochali się w pięknie i natury mieli dobre; ziemię mieli najlepszą i wody pod dostatkiem, a nad ziemią pory roku w kombinacji najbardziej umiarkowanej.

A miasto w owym czasie tak było urządzone. Przede wszystkim Akropolis nie wyglądała tak jak teraz. Bo teraz przyszła jedna noc i tej nocy ulewa nadzwyczajna obmyła ją z ziemi i zostawiła nagą skałę, a równoczesne trzęsienia ziemi przysły i olbrzymia powódź, trzecia z kolei przed potopem z czasów Deukaliona. A przedtem w innych czasach Akropolis była wielka. Sięgała od Eridanu i schodziła do Ilissu, obejmowała Pnyks i Lykabetos miała jako granicę po przeciwnej stronie Pnyksu. Ziemią była pokryta w całości i z małymi wyjątkami płaska była na górze. Naokoło mieszkali aż pod same stoki Akropolii rzemieślnicy i rolnicy, którzy w sąsiedztwie uprawiali pola. A na górze sama tylko klasa wojskowych mieszkała naokoło świątyni Ateny i Hefajstosa, w obrębie jednego muru, który w dodatku biegł naokoło, jakby opasywał ogród jednego domu.

W północnej stronie góry zamieszkiwali domy wspólne i wspólne jadalnie na zimową porę mieli urządzone i

wszystkie możliwe budowle, jakich wymagało współzycie obywatelskie - dla nich i dla kapłanów - tylko złota i srebra tam nie było. Tego nie używali nigdy i nigdzie - trzymali się drogi pośredniej między przepychem a nędzą i przyzwoite sobie mieszkania pobudowali, w których żyli sami i potomkowie ich potoków, a zestarzewszy się, innym, takim samym, je oddawali. Po stronie południowej przebywali, kiedy na przykład w lecie opuszczali ogrody i zakłady gimnastyczne i wspólne jadalnie a żyli na wolnym powietrzu. Źródło było jedno, w tym miejscu, gdzie jest dzisiejsza Akropolis.

A kiedy ono wygasło pod wpływem trzęsień ziemi, zostały małe dzisiejsze trumyki okoliczne. Wszystkim ówczesnym to źródło dostarczało wody pod dostatkiem a woda była dobra zimą i latem. Więc takim sposobem mieszkali - swoich własnych obywateli strażnicy a innych Hellenów dobrowolnie obrani wodzowie - i przestrzegali tego, żeby liczba ich była, ile możności wciąż ta sama na zawsze, liczba mężczyzn i kobiet - zdolnych do broni Wtedy i na przyszłość około dwudziestu tysięcy mniej więcej.

Więc oni tacy byli sami i zawsze w jakiś taki sposób sprawiedliwie rządili własnym państwem i Helladą. W całej Europie i Azji byli sławni z piękności swoich ciał, z wszelakich zalet ducha i cieszyli się wtedy sławą największą ze wszystkich współczesnych. A jakie znowu stosunki panowały u ich przeciwników i jak się z nimi rzecz miała od początku, to, jeśli nas nie zawiedzie pamięć o tych rzeczach, o którychśmy jeszcze w chłopięcych latach słyszeli, wyłożymy teraz na stół przed wami; niech to będzie wspólną własnością przyjaciół.

A jeszcze tuż przed opowiadaniem trzeba coś wyjaśnić, abyście się nie dziwili, słysząc nieraz greckie imiona cudzoziemców. Jaka tego przyczyna, dowiecie się. Solon, ponieważ zamierzał zużytkować to podanie w swoim poemacie, wypytywał się o znaczenie imion i znalazł, że Egipcjanie, imiona tych pierwszych, których zapisali, przetłumaczyli na swój język a on sam, odgrzebując na nowo znaczenie każdego imienia, tłumaczył je na nasz język i tak odpisywał. To jego pismo było u mojego dziadka i jest jeszcze teraz u mnie. Wyuczyłem się go jako chłopiec. Więc jeżeli usłyszycie imiona takie jak i tutejsze, niech to was nie dziwi. Przyczynę tego znacie.

Otóż długiego podania jakiś taki był wtedy początek. Jak się poprzednio o przydziałach bogów mówiło, że podzielili między siebie całą ziemię i taki przydział był raz większy a nieraz i mniejszy i urządzili sobie świątynie i ofiary, tak też i Posejdon dostał w udziale wyspę Atlantyde i osadził tam potomków swoich i jednej kobiety śmiertelnej w jakiejś takiej okolicy wyspy. Od brzegu morza aż do środka całej wyspy była równina. Najpiękniejsza miała być ze wszystkich równin i zadowalającej była wartości. Blisko tej równiny ale znowu ku środkowi jakoś na pięćdziesiąt stadiów oddalona była góra, niewysoka, ze wszystkich stron. Tam mieszkał jeden z tych ludzi, którzy się tam na początku byli urodzili z Ziemi a nazywał się Euenor. Mieszkał tam z żoną Leukippą. Oni mieli jedyną córkę Kleito. Kiedy dziewczyna była już na wydaniu, umiera jej matka i ojciec. A ją sobie upodobał Posejdon, więc obcuje z nią i pagórek, na którym mieszkała, ogrodził pięknie i odciął od reszty łądu naokoło, bo porobił z morza i z ziemi na przemian szereg większych i mniejszych kół spółśrodkowych. Dwa z ziemi a z morza trzy jakby cyrklem obrócił ze środka wyspy - ze wszystkich stron jednakowo były oddalone - tak, że ludzie tam dostępu nie mieli. Bo okrętów i żeglugi jeszcze w tych czasach nie było. I sam tę wyspę na środku, jako bóg przecież, z łatwością pięknie urządził. Dwojakie wody źródłami spod ziemi na wierzch wyprowadził. Jedno źródło gorące a drugie zimne z krynicy spływało i pożywienie różnorodne i dostateczne z ziemi wywiódł. Z męskiego potomstwa pięć par bliźniaków spółdził i wychował, i całą wyspę Atlantyde na dziesięć części podzielił. Spośród najstarszych pierworodnemu matczyną siedzibę i cały dział okoliczny - a ten był największy i najlepszy - przydzielił i ustanowił go królem nad innymi. Innych też uczynił panami. Każdemu dał anowanie nad wieloma ludźmi i nad rozległą ziemią. I wszystkim ponadawał imiona.

Najstarszemu i królowi to, od którego cała wyspa i morze nazwę dostało - ono się nazywa Atlantyckie, dlatego, że pierwszy król, panujący wtedy, miał na imię Atlas, Bliźniak, który razem, z nim przyszedł na świat, dostał jako przydział przylądek wyspy od Stupów Heraklesa po dzisiejszą Ziemię Gadeirycką. Ona się tak nazywa według tamtej ziemi. On się po helleńsku nazywał Eumelos a w języku tubylców Gadeiros. Jego imię dało nazwę okolicy. Jednego z dwóch następnych bliźniaków nazwał Auferešem a drugiego Euajmonem. Z trzeciej pary pierwszy nazywał się Mneseas a następnego Autochton. Z czwartej pary pierwszy Elasippos a późniejszy Meator. Z piątej pierwszemu nadał imię Azaes a późniejszemu Diaprepes. Ci wszyscy sami oraz ich potomkowie przez szereg pokoleń tam mieszkali i panowali nad wieloma innymi wyspami na morzu a oprócz tego, jak się i przedtem mówiło, panowanie ich sięgało aż po Egipt i Tyrrenię i obejmowało ziemie po tej stronie Stupów Heraklesa.

Atlasa ród był zresztą liczny i sławny. Królem był zawsze najstarszy i najstarszemu z rodu przekazywał władzę. W ten sposób przez wiele pokoleń utrzymali władzę królewską. Bogactwo posiadali tak olbrzymie, jakiego ani przedtem nigdy w żadnym królestwie nie było, ani też kiedykolwiek później łatwo nie powstanie. Byli zaopatrzeni we wszystko, czego było potrzeba w mieście i w reszcie kraju. Wiele dóbr przychodziło do nich z zewnątrz, bo mieli władzę a najwięcej ich dostarczała wyspa sama dla zaspokojenia potrzeb życiowych. Najpróżd wszystkie w kopalniach wygrzebywane kruszce i rudy do wytopiania. I to, z czego dziś tylko nazwa pozostała a wtedy to było więcej, niż tylko nazwa: kruszec z ziemi wykopywany, rodzaj mosiądzu, znajdował się po wielu miejscach wyspy - poza złotem najdroższy z ówczesnych produktów. I czegokolwiek las do robót ciesielskich dostarcza, tego wszystkiego przynosiła wyspa bez liku i zwierząt żywiła dość ? udomowionych i dzikich. I gatunek stoni żył tam bardzo liczny. Było dość paszy dla wszystkich zwierząt i dla tych, co w bagnach i stawach, i w rzekach mieszkają, i które się po górach i po dolinach pasą - dla wszystkich było dość a więc i dla tego zwierzęcia, które ma wzrost największy i zjada największą. Oprócz tego, jakie tylko wonności dzisiaj ziemia rodzi gdziekolwiek, korzenie i zioła, i drzewa, i soki, które ciekną kroplami, i kwiaty, i owoce - wszystko to wyspa wydawała i żywiła dobrze. A prócz tego winogrona szlachetne i zboża, które nam za pożywienie służą, i te owoce, które spożywamy a nazywamy ich wszystkie gatunki strączkowymi i to drzewo, które napój i pokarm i olej

wydaje, i te, trudne do konserwowania owoce z drzew, które dla pobudzenia apetytu po kolacji podajemy i chorzy to bardzo lubią, wszystko to wtedy wydawała ta wyspa, będąca jeszcze pod słońcem, wyspa święta, piękna i przedziwna - w obfitości nieprzebranej. Więc oni to wszystko brali z ziemi i budowali świątynie i pałace królów, i porty, i arsenały i całą resztę swojej ziemi urządzili w ten sposób.

Te koliste kanały morskie, które otaczały dawną stolicę, naprzód połączyli mostami otwierając w ten sposób drogę na zewnątrz i do królewskiego zanku. A zamek królewski w tej siedzibie boga i przodków zrazu urządzili po prostu a później go jeden po drugim dziedził i to, co już było ozdobione i porządne, jeszcze porządkował i ozdobił i przewyższał świetnością poprzednika, aż w końcu wykończyli gmach zdumiewający oko wielkością i pięknnością robót. Przekopali kanał, poczynając od morza, szeroki na trzy plethry a na sto stóp głęboki i długi na pięćdziesiąt stadiów, sięgający do obręczy najbardziej zewnętrznej i w ten sposób otworzyli wjazd z morza do środka, jakby do portu. Rozkopali wejście tak szerokie, że mogły w nie wpływać największe okręty. Przekopali też w kierunku mostów te pierścienie ziemne, które przedzielały koliste kanały morskie. Tak szeroko, że jedna triera mogła przepływać z jednego kanału do drugiego i pokryli te przejścia górą tak, że dołem mogły przepływać okręty. Dlatego że brzegi pierścieni ziemnych miały dostateczną wysokość ponad poziom morza. Największy z tych pierścieni, przez który morze przepuszczono, był szeroki na trzy stadia, a następny pierścień ziemny był mu równy. Z dwóch następnych pierścieni wodny miał dwa stadia szerokości a suchy był mu znowu równy. Na jedno stadion był szeroki ten, który biegł naokoło samej wyspy. A wyspa, na której stał zamek królewski, miała pięć stadiów w średnicy. Więc tę wyspę naokoło i pierścienie, i most, szeroki na jedno plethron, z obu stron kamiennym murem otoczyli, wieże i bramy nad mostami wedle przejść ku morzu wiodących z każdej strony wzniesli a kamień ciosowy dali pod wyspą naokoło, pod tą środkową i pod pierścieniami na zewnątrz i na wewnątrz - jeden kamień biały, jeden czarny, a jeden czerwony. Kładąc ten kamień ciosowy wykonali równocześnie dwie przystanie dla okrętów wewnątrz, kryte żywą skałą. Z budowli jedne zrobili po prostu, a inne figlarnie ozdobili wzorami jak tkaniny, mieszając kamienie różnej barwy i wyzyskując ich naturalny urok. Cały obwód muru, obiegającego koło największe, okryli brązem, zamiast lakieru a wewnętrzną stronę pociągnęli stopioną cyną. Mur okalający sam zamek, okryli mosiądzem, który ma połyski ogniste.

A pałac królewski wewnątrz zamku był tak urządzony. W środku stała świątynia Kleito i Posejdona, ośrodek kultu tamtejszego - niedostępny, murem złocistym otoczony. To był ten przybytek, w którym oni swojego czasu spłodzili i zrodzili pokolenie dziesięciu synów królewskich. Tam co roku ze wszystkich dziesięciu przydziałów składano plony na ofiarę każdemu z nich. A świątynia samego Posejdona była długa na jedno stadion a szeroka na trzy plethry, wysokość miała na oko odpowiednią do tych rozmiarów, ale bóg miał wygląd nieco barbarzyński. Całą świątynię pomalowali po wierzchu srebrem z wyjątkiem naszczytników. Naszczytniki były złoczone. Wewnątrz widniał sufit z kości słoniowej cały, złotem, srebrem i mosiądzem urozmaicony. Zresztą wszystkie mury i słupy, i posadzki wyłożyli mosiądzem. I złote posągi postawili w środku, więc boga, który stał na wozie i powoził sześcioma końmi skrzydlatymi. Był taki duży, że głową pułapu dotykał a naokoło niego setka Nereid na delfinach. Oni wtedy wierzyli, że ich tyle jest. Było też w środku wiele innych posągów, które ludzie prywatni u stóp boga złożyli w ofierze. A naokoło świątyni na zewnątrz stały złote posągi wszystkich: i kobiet, i wszystkich potomków owych dziesięciu królów, i wiele innych wotów wielkich od królów i od ludzi prywatnych z samego miasta i z tych ziem, nad którymi władali. I ołtarz był wielkością i robotą odpowiedni do tego urzędu i pałac królewski tak samo, odpowiedni do wielkości państwa i odpowiedni do tych świetności, które ozdabiały świątynię.

I źródeł używali, jednego z zimną a drugiego z ciepłą wodą i one były bardzo obfite. Jedno i drugie miało wodę przyjemną i zdrową, więc przedziwnie się nadawały do użycia. Oni je otoczyli architekturą i posadzili naokoło drzewa wodom odpowiednie i porobili naokoło sadzawki, jedne pod gołym niebem a drugie zimowe, pod dachem dla ciepłych kąpeli. Osobno królewskie a osobno dla zwykłych ludzi. A jeszcze dla kobiet inne a inne dla koni i dla innych zwierząt pociągowych, dając każdemu urządzenie celowe i wygodne.

A spływającą wodę poprowadzili do gaju Posejdona, gdzie rosły różne drzewa piękne i wysokie przedziwnie, bo taka tam była dobra ziemia. I odprowadzali wodę kanałami po mostach do okręgów zewnętrznych. Było tam wiele świątyń różnych bogów i wiele ogrodów i zakładów gimnastycznych: jedne dla mężczyzn, drugie dla koni; osobno na jednym i drugim pierścieniu. Między innymi po środku większej wyspy wzniesli sobie hippodrom o szerokości jednego stadion a całą jego długość naokoło zostawiona była dla wyścigów konnych. Po jego obu stronach stały koszary licznej gwardii. Bardziej zaufanym oddziałom powierzona była straż na pierścieniu mniejszym, bliżej zamku. A oddziały najwięcej godne zaufania wewnątrz zamku naokoło pałacu królewskiego miały swoje mieszkania. Doki pełne były trójrzędowców i sprzętu, którego trójrzędowcom potrzeba. Wszystkie były zaopatrzone dostatecznie. Więc okolica siedziby królewskiej tak była urządzona. A kiedy się przeszło przez zewnętrzne porty, których było trzy, to począwszy od morza, biegł naokoło mur długi na pięćdziesiąt stadiów, odsunięty ze wszystkich stron od największego koła i od portu i zamykał w jeden kanał przekop i jego ujście od strony morza. Wszystko to było gęsto pokryte domami a wejście do portu i port największy roił się od okrętów - kupcy się zjeżdżali ze wszystkich stron, był krzyk i ścis i ruch wszelkiego rodzaju i hałas przez cały dzień i noc, tak tam było ludno.

Więc miasto i okolica starej siedziby mniej więcej tak, jak wtedy było opisane, tak się to teraz odtwarza w pamięci. A reszta kraju jakie miała warunki naturalne i jakim kształtem była urządzona, trzeba próbować odtworzyć to sobie w pamięci. Więc naprzód miała być ta cała okolica bardzo wysoka i odcięta od morza a naokoło miasta nic, tylko równina, miasto otaczająca a sama dookoła otoczona górami, które schodziły aż do morza, gładka i równa i bardzo długa. Ciągnęła się po drugiej stronie miasta na trzy tysiące stadiów a na środku od morza w górę na dwa tysiące. Cała okolica wyspy była zwrócona ku południu, a od północy osłonięta od wiatrów. Góry otaczające wielbi pieśń z tamtego czasu, że ilością, wielkością i pięknnością przewyższały

wszystko, co dziś. Były w nich liczne i bogate osady okolicznych mieszkańców, były rzeki i jeziora, i łąki, i obfitość paszy dla wszystkich zwierząt domowych i dzikich. I mnóstwo różnego rodzaju drzew w lasach - nieprzebrany zbiór materiału dla wszelkiego rodzaju robót. W ten sposób była ta dolina uposażona od natury a w ciągu długiego czasu wielu królów ją uprawiało. Ona była czworoboczna po większej części, prosta i długa. A czego nie dostawało, to wyprostowywał rów naokoło niej wykopany. Jego głębokość, szerokość i długość podają niewiarygodną. Trudno uwierzyć, żeby w porównaniu do innych robót tak wielkie dzieło było rękami ludzkimi wykonane, ale trzeba powiedzieć, cośmy przecież słyszeli. Głęboki był na jedno plethron a szeroki był wszędzie na jedno stadion a że go wykopano naokoło całej doliny, więc jego długość wypadła na dziesięć tysięcy stadiów. On zbierał wody spływające z gór, oprowadzał je naokoło doliny, dochodził z obu stron do miasta i tędy wypuszczał je do morza. Z góry schodziły do niego proste kanały o szerokości mniej więcej stu stóp, przecinały dolinę i uchodziły znowu do tego rowu od strony morza. Jeden kanał był od drugiego oddalony na sto stadiów. Tymi drogami sprowadzali drzewo do miasta i inne plony transportowali do niego statkami, wykopawszy kanały łączące, poprzeczne i ukośne ku miastu. Dwa razy do roku były u nich żniwa, bo w zimie korzystali z wód od Zeusa a latem wodę, którą ziemia przynosi, rozprowadzali kanałami.

Mężczyźni zdolni do broni, zamieszkujący dolinę, mieli nakaz, żeby każdy dział dostarczył jednego wodza wielkość takiego działu wynosiła nieraz dziesięć razy dziesięć stadiów a wszystkich działów było sześćdziesiąt tysięcy. A z gór i z reszty kraju zbierano ludzi ilość nieprzeliczoną a wszyscy z każdej miejscowości i z każdej wsi byli przydzieleni do tych działów i do tych wodzów. Każdy wódz miał przykazane dostarczyć na wojnę szóstą część wozu wojennego, aby było dziesięć tysięcy wozów i [do każdego] dwa konie i dwóch jeźdźców. Oprócz tego, zaprzęg dwukonny bez pudła a na nim żolnierza z małą tarczą, który zeskakiwał, i woźnicę powożącego parą koni, oprócz jeźdźca, dwóch ciężkozbrojnych i łuczników i procarzy po dwóch i po trzech lekkozbrojnych i rzucających kamienie i rzucających włócznie. I czterech marynarzy do załogi tysiąca i dwustu okrętów. Więc wojskowość królewskiego miasta taką miała organizację. A z dziesięciu miast każde miało ustrój wojskowości inny, o czym długo byłoby mówić. A organizacja władz i godności taka tam była od początku. Z tych dziesięciu królów każdy panował w swojej części i w swoim, miejscu nad ludźmi i nad większą częścią praw. Karał i skazywał na śmierć kogo chciał. Jednakże ich zależność wzajemna i stosunki między nimi były ustalone według nakazów Posejdona, jak im to prawo przekazało i pismo, które przodkowie wyryć kazali na słupie mosiężnym, który na środku wyspy stał w świątyni Posejdona. Oni się zbierali co pięć lat albo na przemian co sześć, oddając równą część liczbie parzystej i nieparzystej, a zebrawszy się, naradzali się nad sprawami wspólnymi, dochodzili, czy ktoś jakiegoś przestępstwa nie popełnił i odbywali sądy.

A kiedy mieli sądzić, takie sobie nawzajem wystawiali uwierzytelnienie. Koło świątyni Posejdona pasły się na wolności byki. Otóż ci królowie w liczbie dziesięciu, sami tylko będąc w świątyni, modlili się do boga, żeby im dał złapać ofiarę, która by mu była miła i wtedy rozpoczynali polowanie bez pomocy żelaza a tylko przy pomocy kijów i pętli ze sznura. A gdy którego byka złapali, prowadzili go do słupa i tam na jego wysokości zarzynali go na ofiarę według przepisów pisma. A na słupie, oprócz przepisów prawa, była wyryta przysięga, zawierająca wielkie klątwy na nieposłusznych. Więc kiedy, zgodnie ze swoimi przepisami składając ofiarę, poświęcali ogniovi wszystkie członki byka, mieszały wino w wielkiej Wazie i w imieniu każdego wrzucali do środka skrzep krwi a resztę nosili do ognia, oczyściwszy słup naokoło. Potem złotymi czarami czerpali z wazy wino i skrapiając nim ogień przysięgali, że będą sądzić według praw na słupie i wymierzać kary, jeżeliby się ktoś przedtem dopuścił jakiegoś przestępstwa a na przyszłość żadnego przepisu dobrowolnie nie przestąpią i ani sami rządzić, ani rządzącego słuchać nie będą, jak tylko w tym wypadku, jeżeli będzie wydawał zarządzenia zgodne z prawami ojca. Kiedy każdy z nich taką modlitwę odmówił, w imieniu własnym i swojego potomstwa, wypił wino i czarę złożył w świątyni boga, zajął się obiadem i rzeczami niezbędnymi, a zaczął zmrok zapadać i ogień ofiarny już był wystygł, wtedy się wszyscy ubierali w co najpiękniejsze niebieskie suknie, siadali na ziemi naokoło zgłiszcz ofiarnych, które słyszały ich przysięgi, gasili wszystkie ogień koło świątyni na noc i wtedy bywali sądeni i sądzili, jeżeli ktoś obwiniał kogoś z nich o jakieś przestępstwo. Po skończonym posiedzeniu, gdy nastawał świt, zapisywali wyroki na tabliczce złotej i składali ją razem z sukniemi na pamiętkę u stóp boga.

Tam było wiele różnych praw jednostkowych w związku z przywilejami poszczególnych królów a najdonioślejsze prawa zabraniały im kiedykolwiek podnosić broni przeciw drugiemu, a zobowiązywały wszystkich do pomocy wzajemnej, gdyby może ktoś w jakimś mieście próbował wytracić ich ród królewski. Więc u nich wspólnie, podobnie jak u ich przodków, odbywały się narady i zapadały uchwały o wojnie i o innych sprawach i tak zachowywał hegemonię ród atlantycki. Król nie był panem życia żadnego ze swoich braci, to zależało od woli większości na zebraniu dziesięciu.

Tę więc, tak wielką i taką potęgę w tych stronach wówczas położoną bóg na nasz kraj znowu uszykował i obrócił z jakiejś takiej, jak mówi podanie, przyczyny. Przez wiele pokoleń, pokąd im starczyło natury boga, słuchali praw i odnosili się życzliwie do bóstwa, którego krew w nich płynęła. Ich postawa duchowa nacechowana była prawdą i ze wszech miar wielkością. Łagodność i rozsądek objawiali w stosunku do nieszczęść, które się zawsze zdarzają i w stosunku do siebie nawzajem, więc patrzyli z góry na wszystko z wyjątkiem dzielności, wszystko, co było w danej chwili, uważali za drobiazg i lekko znosili, jakby ciężar, masę złota i innych dóbr; nie upajali się zbytkiem i bogactwo ich nie zaślepiało i nie prowadziło do utraty panowania nad sobą. Bardzo trzeźwo i bystro dostrzegali, że i to wszystko pod wpływem miłości wzajemnej przy dzielności wzrasta, a jeśli te rzeczy brać serio i cenić, wtedy one giną a z nimi razem ginie miłość i dzielność. Dzięki takiemu wyrachowaniu i dlatego, że w nich trwała natura boska, wzrastało u nich to wszystko, cośmy poprzednio przeszli. Ale kiedy w nich cząstka boża wygasła dlatego, że się często z wieloma pierwiastkami ludzkimi mieszała, i ludzka natura zaczęła brać górę, wtedy już nie umieli znosić tego, co u nich było, zrobili się nieprzyzwoici i kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę, kiedy zatracali to, co najpiękniejsze pośród największych dóbr. Tym, którzy nie potrafili dojrzeć życia naprawdę szczęśliwego, wydawało się właśnie wtedy, że są osobliwie piękni i szczęśliwi, kiedy ich

napełniała chciwość niesprawiedliwa i potęga.

Otóż bóg bogów, Zeus, królujący zgodnie z prawami, umiał dojrzeć taki stan rzeczy, zobaczył, że się marnuje ród, który był jak się należy, więc karę im wymierzyć postanowił, aby się opamiętali, nabrali rozumu i zaczęli panować nad sobą, więc zebrał wszystkich bogów do ich prześwietnej siedziby, która się wznosi nad środkiem całego świata, zaczem widzi wszystko, co ma udział w powstawaniu a zebrawszy powiedział.....

Mit o sędzie nad duszami po śmierci z opisem świata

Fedon

- Więc to - powiada - ludzie moi, godzi się wziąć pod uwagę, że jeśli dusza jest nieśmiertelna, to dbać należy nie tylko o ten czas, który nazywamy życiem, ale o cały czas i niebezpieczeństwo teraz zagraża i może się wydawać wielkie, jeżeli ktoś duszy zaniedba. Gdyby śmierć stanowiła zerwanie ze wszystkim w ogóle, byłoby to jak znalazł dla ludzi złych: pozbyć się ciała, a wraz z duszą zbyć się i swoich złości. Ale teraz, skoro dusza zdaje się być nieśmiertelna, to chyba nie masz dla niej innej ucieczki od zła ani innego zbawienia, chyba to jedno: stać się jak najlepszą i najrozumniejszą. Bo ona do Hadesu pójdzie, nic innego ze sobą nie biorąc oprócz kultury i tego, czym się żywiła; to jej, powiadają, najwięcej pomoże, albo zaszkodzi po śmierci zaraz na początku drogi w tamte strony.

A powiadają tak, że jak człowiek umrze, wówczas jego duch opiekuńczy, jak mu towarzyszył za życia, tak i teraz go bierze i prowadzi kędyś tam na owo miejsce, gdzie zgromadzonych czeka sąd, a potem droga do Hadesu pod wodzą owego przewodnika, który ma rozkaz dusze stąd tam przeprowadzać. Kiedy je tam spotka, co je spotkać miało, i odbędą tam czas przeznaczony, wtedy je tu z powrotem inny odprowadza przewodnik, przez długie i liczne okresy. A droga nie jest taka, jak mówi Telefos u Ajschylosa. On powiada, że jeden tylko prosty szlak do Hadesu prowadzi, a tymczasem droga w tamtą stronę ani mi się prosta nie wydaje, ani jedna tylko. Wtedy by na niej przewodników nie trzeba. Nikt by przecież nie zbłądził w żadnym kierunku, gdyby droga była jedna tylko. Tymczasem ona, zdaje się, ma rozgałęzienia liczne i różne szlaki okólne. Mówię tak wnosząc z tego, co tu na ziemi zbożne i z prawem zgodne. Więc dusza porządna i rozumna idzie za przewodnikiem i rozpoznaje to, co ją otacza. A która się żądzami ciała trzyma i opuścić go nie chce, tak jak w poprzedniej części powiedziałem, długi czas około ciała lata i około grobu, ciągnie wciąż w przeciwną stronę i cierpi, i dopiero ją z trudem wielkim i gwałtem przeznaczony jej geniusz zabiera i unosi. A gdy przybędzie tam, dokąd i inne, taka dusza nieoczyszczona, która coś zbroiła albo się krwią niewinną zawałała, albo inne takie popełniła zbrodnie, jakie są tym. pokrewne i są pokrewnych dusz robotą - przed taką każdy ucieka i każdy się od niej odwraca, i ani z nią wędrować, ani jej prowadzić nie chce; zaczem ona się błąkać musi i bieduje wciąż, bezradna; aż oznaczone czasy wyjdą, po których ją konieczność do odpowiedniego dla niej mieszkania zanosi. Za to dusza, która w czystości i umiarkowaniu przez życie przeszła, za towarzyszków podróży i przewodników bogów dostaje i zamieszkuje każde miejsce, które jej opowiada.

A są liczne i cudowne okolice na ziemi i ona wcale nie jest taka, ani tylko tak wielka, jak myślą ci, którzy ziemię opisywać zwykli. Tak mnie ktoś nauczył.

A Simiasz powiada: Jak to mówisz, Sokratesie? Bo o ziemi i ja wiele słyszałem, ale przecież nie to, w co ty wierzysz. Więc chętnie bym posłuchał.

- Ależ owszem, Simiaszu; na to przecież nie potrzeba sztuki Glaukosa, żeby opowiedzieć to, co jest. Ale jak to jest naprawdę, tego dojąć trudno - tu i sztuka Glaukosa nie starczy i ja bym może nawet tego nie potrafił, a gdybym w końcu i umiał, to opowiadać by trzeba długo, Simiaszu, i życia by mi na to nie starczyło. Ale ideę ziemi, jak ją sobie i przedstawiam, i jakie miejsca są na ziemi, to wam powiedzieć mogę bez żadnej trudności.

- Owszem - powiada Simiasz - wystarczy i to.

- Otóż nauczo mnie - mówi - że naprzód, jeśli się ziemia pośrodku nieba znajduje, okrągła, to wcale jej nie potrzeba ani powietrza, aby nie spadła, ani innej koniecznej tego rodzaju podpory. Do tego, żeby ją utrzymać w środku, wystarczy równomierna wszędzie natura nieba i własna równowaga ziemi. Bo zrównoważona rzecz, położona w jakimś równomiernym środowisku, nie ma powodu przechylać się w którąkolwiek stronę więcej lub mniej i dlatego w jednakim wciąż położeniu stale trwać będzie. Otóż naprzód - powiada - w tom uwierzył.

- I słusznie - rzekł Simiasz.

- A oprócz tego - powiada - to jest niezmiernie wielkie wszystko i my zamieszkujemy, od rzeki Fazis aż po słupy Heraklesa, tylko małą jakąś cząstkę; niby wokół bajury mrówki albo żaby, tak my naokoło morza mieszkamy; a inne liczne ludy gdzie indziej w wielu takich okolicach mieszkają. Bo wszędzie naokoło ziemi jest wiele różnorodnych kotlin różniących się wyglądem i wielkością, do których spływają wody i mgły, i wiatry. Ziemia zaś sama czysta jest i w czystym niebie leży, w którym są gwiazdy, a eterem je nazywa wielu, którzy zwykli mówić o tych rzeczach. Wszystko co tu, to są męty i osady z eteru, który ustawicznie spływa do zakłębłości ziemi. My w tych zakłębłościach mieszkamy, więc nie widzimy tego i zdaje się nam, że mieszkamy na wierzchu, na ziemi, zupełnie, jakby ktoś na środku dna morskiego siedział, a sądziłby, że na powierzchni morza mieszka i poprzez wodę by słońce i inne gwiazdy oglądał, a myślałby, że morze to już niebo; a dla ociążałości i niemocy swojej nigdy by się na powierzchnię morza nie dostawał i nie spoglądał wypłynąwszy i wynurzywszy się z toni na ten świat tutaj, o ile też on jest czystszy i piękniejszy od tamtego świata u nich, aniby od żadnego świadka naocznego, o tym nie słyszał. Otóż zupełnie to samo jest i z nami. Mieszkamy w pewnej zakłębłości ziemi, a zdaje się nam, że na jej powierzchni mieszkamy i powietrze nazywamy niebem, jak gdyby rzeczywiście po tym niebie gwiazdy chodziły. A to jest ta sama sprawa: przez słabość i ociążałość naszą nie jesteśmy w stanie

przedrzeć się do krańców powietrza. A dopiero gdyby ktoś jego granic doszedł albo by tam na skrzydłach wleciał, zobaczyłby, gdyby głowę z niego wynurzył, tak jak tutaj ryby, które z morza głowy wychylają, widzą to, co tu, tak samo ten ktoś zobaczyłby to, co tam, i jeżeliby natura człowieka zdolna była znieść to oglądanie, poznałby, że tam jest niebo prawdziwe i światło prawdziwe, i prawdziwa ziemia. Bo ta ziemia tutaj i kamienie, i całe to miejsce tu zepsute jest i przeżarte jak to, co w głębi morza sól przeżarła. Toż nawet nie rośnie w morzu nic godnego wzmianki ani doskonałego tam nic nie ma, żeby się tak wyrazić, tylko rozpadliny i otchłanie, piasek, muł i błota moc nieprzebrana, jeżeli gdzieś tam jeszcze jest i ziemia; rzeczy zgoła nic nie warte, jeżeli je z naszymi pięknosciami porównać. A jeszcze bez porównania bardziej różne wydałyby się tamte rzeczy w górze w porównaniu do naszych. A jeśli trzeba i przypowieść ładną powiedzieć, to warto posłuchać, Simiaszu, jak to tam jest na ziemi, pod niebem.

- Ależ owszem, Sokratesie - powiedział Simiasz - my tej przypowieści chętnie posłuchamy.

- Otóż mówią, przyjacielu - powiada - że naprzód tak się ta ziemia przedstawia, gdyby ją ktoś z góry oglądał, jak te piłki z dwunastu skór zeszywane: różnobarwna, a z takich barw ułożona, jakich i tutejsze farby są niby próbkami; te, których malarze używają. Tam się cała ziemia z takich farb składa, tylko z jeszcze świetniejszych i czystszych niż te. Więc jedna to purpura przedziwnej piękności, druga to odcień złotawy, a inna to niby biel od gipsu i od śniegu bielsza. I z innych farb jeszcze składa się tak samo i z jeszcze liczniejszych i piękniejszych niż te, które my oglądamy. Bo nawet same te kotliny ziemskie, jako że napełnione wodą i powietrzem, wyglądają jakoś tak jak i farba i świecą różnokolorowym blaskiem innych barw, tak że się cały widok wszystkimi kolorami mieni. A na takiej ziemi odpowiednie też rośliny rosną: drzewa i kwiaty, i owoce. I tak samo góry i kamienie mają odpowiednią do tego gładkość i przezroczystość, i barwy piękniejsze. Z nich są i te tutejsze kamyczki, to są ich części w nas ulubione: te krwawniki i jaspisy, i szmaragdy, i wszelkie inne tego rodzaju kamienie. A tam nie, tylko wszystko jest takie i jeszcze od nich piękniejsze. A przyczyna tego jest ta, że tamte kamienie są czyste i nie przeżarte, i nie popsute jak te nasze tutaj, przez, zgniliznę i słony morski brud z mętów, które tutaj spływają i nawet kamieniom i ziemi a oprócz tego zwierzętom, i roślinom, szpetność i choroby przynoszą.

Ziemia tam jest tym wszystkim ozdobiona, a oprócz tego złotem i srebrem i innymi takimi skarbami. One tam na wierzchu rosną i i mnóstwo ich jest na każdym kroku, tak że oglądać tę ziemię to widowisko dla szczęśliwych widzów.

I zwierząt tam wiele jest różnorodnych i ludzi. Jedni w głębi łądę mieszkają, a drudzy na brzegach powietrza, tak jak my naokoło morza, inni na wyspach, które powietrze opływa wzdłuż łądę - jednym słowem: czym dla nas woda jest i morze w stosunku do naszych potrzeb, tym dla nich jest i powietrze, a czym dla nas powietrze, tym dla nich eter.

A klimat jest u nich tak utemperowany, że nie chorują wcale i żyją o wiele dłuższy czas niż my tu; wzrokiem zaś, słuchem i rozumem różnią się od nas o tyle, o ile powietrze różni się od wody a eter od powietrza ze względu na czystość.

I mają tam świątynie i gaje bogom poświęcone, w których rzeczywiście bogowie mieszkają, i oni głosy bogów słyszą, i wieszczce znaki odbierają, i objawienia bogów mają, i obcują z bogami twarzą w twarz. I słońce, i księżyc, i gwiazdy oglądają takimi, jakie one są naprawdę, a za tym idą inne szczęśliwości. Otóż cała ziemia tak wygląda i to, co naokoło niej. A krain jest na niej mnóstwo, wedle tych jej zagłębień naokoło całej powierzchni; jedne głębsze i szersze niż ta zakłębłość, którą my zamieszkujemy, drugie głębsze, a mają wejście mniejsze niż miejsce naszego pobytu, a są i płytsze od naszego a szersze. Wszystkie te zapadliny otworami łączą się ze sobą pod ziemią w wielu różnych miejscach; są tam przejścia ciaśniejsze i szersze i są tam kanały, przez które wiele wody przepływa z jednego do drugich, niby do wielkich pucharów, i olbrzymich rozmiarów rzeki podziemne wiecznie płynące, i wody ciepłe i zimne, i mnóstwo ognia, i wielkie rzeki ogniste, i rzeki wilgotnego mułu: czystsze i brudniejszego błota, jak na przykład na Sycylii te przed strumieniem lawy płynące rzeki namułu i lawa sama. Tymimi materiałami napełnia się zapadlina każda zależnie od tego, co kiedy do niej okrężny prąd przyniesie.

I wszystko to się porusza w górę i w dół, jakby maszyna jakaś była w środku ziemi. A ta maszynaria takiej jest mniej więcej natury. Jedna z rozpadlin ziemi, właśnie największa, przewierca ziemię na wskroś od końca do końca. To jest ta, o której Homer powiedział: "Bardzo daleko; gdzie głębie swe otchłań otwiera bezdena."

I on, i wielu innych poetów nazwało ją Tartarem. Do tej to otchłani spływają wszystkie rzeki i wypływają z niej na powrót. A każda z nich staje się taka lub inna zależnie od tego, przez jaką krainę przepływa. A przyczyna tego, że wypływają stamtąd i wpadają tam wszystkie strumienie, jest ta, że te płynne masy nie mają dna i podstawy. Więc wiszą w przestrzeni i falują w górę i w dół, a powietrze i wicher, które je otacza, robią to samo. Bo idzie za nimi wiatr i wtedy, gdy na tamtą stronę ziemi ruszają, i gdy wracają na tę tutaj; jakby człowiek oddychał, tak wciąż wicher dmie z wnętrza ziemi i znów w jej głąb wpada strumień powietrza, i tam też powietrze wraz z wilgocią w przestrzeni zawieszona straszne jakieś i nieopisane burze wywołuje, wchodząc i wychodząc. Więc skoro wody ruszą stąd, żeby się przelać w krainy, o których się mówi, że są na dole, wtedy tamtym strumieniom po drugiej stronie przybywa wody poprzez rozpadliny ziemi i napełniają się tak, jakby kto naczyniem stąd czerpał, a tam przelewał. A kiedy znowu stamtąd woda ustąpi a ku nam ruszy, zaraz się tu u nas gromadzić zaczyna po jaskiniach, a wypełniwszy je wypływa kanałami i poprzez ziemię i dostając się w każdym wypadku do miejsc, do których sobie drogę toruje, tworzy morza, jeziora, rzeki i źródła.

Z nich zaś z powrotem pod ziemię przenika i bądź to długimi strumieniami dalekie strony opływa, bądź też krótszymi drogami z powrotem do Tartaru wpada, raz znacznie głębiej od miejsca, w którym wytrysnęła, raz nie o wiele niżej. Ale zawsze ujście jest niższe źródła. I niejednym strumieniem wypada wprost naprzeciw tego miejsca, w którym wpadł do wnętrza, a inny w tej samej okolicy. A są i takie, które całkowicie naokoło ziemi biegną,

okręcając się wokół ziemi jak węże raz albo kilka razy, płyną jak tylko można najniżej i znowu wpadają do wnętrza. A z jednej i z drugiej strony dopłynąć mogą tylko do środka, a dalej nie. Zbyt stroma robi się dalsza część drogi dla jednych i drugich strumieni, z obu stron.

Otóż jest tam bardzo wiele ogromnych i rozmaitych potoków. A pośród tych wielu strumieni są pewne cztery rzeki, z których największa i najbardziej na zewnątrz oblewająca ziemię jest to tak zwany Ocean. Naprzeciw niego zaś i w przeciwnym kierunku rzeka smutków, Acheron, przez różne pustkowią płynie pod ziemią i wpada do jeziora Acheruzja, tam, gdzie dusze mnóstwa umarłych przybywają i odbywszy tam czasy wyznaczone, dłuższe lub krótsze, znowu bywają wysyłane w ciała powstających istot żywych. Trzecia rzeka pomiędzy tamtymi dwiema wypływa i blisko źródła wpada w kraj ogromny, który ogniem wielkim płonie i tworzy jezioro większe niż nasze Morze Śródziemne, pełne wody kipiącej i błota. Stamtąd wypływa i wokół ziemi toczy swoje nurty mętne i błotniste w różnych stronach i dochodzi krańców jeziora Acheruzja, ale nie miesza się z jego wodą. Okręciwszy się wiele razy pod ziemią wpada w niższe okolice Tartaru. To jest ta rzeka płomieni, którą nazywają Pyrifiegeton. Nurty jej tu i ówdzie i na powierzchni ziemi strumieniami lawy buchają. Naprzeciw niej zaś czwarta rzeka wpada naprzód w kraj straszny i dziki, jak mówią? kraj cały ciemnoniebieski jak hartowana stal nazywają tę rzekę Styksem, podobnie jak i jezioro, do którego wpada. Wody Styksu strasznych sił nabierają i obwinąwszy ziemię dwakroć naokoło płyną w kierunku przeciwnym niż Pyrifiegeton i wpadają do jeziora Acheruzja z przeciwnej strony. Woda Styksu również nie miesza się z żadną inną, tylko tak naokoło obiegłszy, wpada do Tartaru naprzeciw ujścia Pyrifiegetonu. A imię tej rzeki skarg i łez, jak mówią poeci: Kokytos.

Otóż, kiedy tam tak jest, to skoro przybędą umarli na miejsce, do którego duch opiekuńczy: każdego odprowadza, naprzód sąd się nad nimi odbywa: którzy też życie pięknie i zbożnie spędzili, a którzy nie. I których życie wyda się ani zanadto złe, ani nazbyt dobre, ci idą nad Acheron, wsiadają do łodzi, które tu dla nich są, i przypluwają w nich do jeziora. Tu mieszkają i oczyszczają się, a odbywszy pokutę za popełnione winy wychodzą stamtąd, jeżeli który popełnił coś złego; i za dobre uczynki nagrody tam odbierają - każdy tak, jak zasłużył.

A których stan wyda się nieuleczalny dla mnogości grzechów, bo się często wielkiego świętokradztwa dopuszczali albo często zabijali niesprawiedliwie i wbrew prawom, albo inne takie zbrodnie popełniali, tych los im należy miota do Tartaru, skąd nie wychodzą nigdy.

A których grzechy wydadzą się wielkie, ale uleczalne, jak na przykład gwałt jakiś dokonany w gniewie na ojcu lub matce, którego potem żalowali i odmienili życie, albo się zabójcami stali w inny jakiś choć podobny sposób, ci muszą wprawdzie spaść do Tartaru i zostawać tam przez rok, ale ich po roku fala wyrzuca i mężobójców do Kokytosu niesie, a ojcobójców i matkobójców do Pyrifiegetonu. A kiedy płynąc z nurtem znajdą się w jeziorze Acheruzja, wtedy krzyczą głośno i wołają: jedni tych, których byli zabili, drudzy tych, którym wyrządzili krzywdę; wołają ich, zaklinają i proszą, żeby im pozwolili wyjść na brzeg jeziora i chcieli przyjąć do siebie; jeżeli zostaną wysłuchani, wychodzą na brzeg i przestają cierpieć, a jeśli nie, fala ich znowu do Tartaru niesie, a stamtąd na powrót do rzek wrzuca i to cierpienie nie kończy się prędzej, aż im się uda nakłonić i pozyskać tych, których pokrzywdzili. Taką im karę nałożyli sędziowie.

A których życie wyda się osobliwie zbożne, ci będą wyzwoleni z tych czeluści podziemnych i wyjdą stamtąd, jak z więzienia, w górę i pójdą mieszkać w czystych stronach, na szczytach ziemi. Do nich należą ci, którzy się miłowaniem mądrości dostatecznie od zmayı grzechu oczyścili; ci będą później żyli w ogóle bez ciała i pójdą do mieszkań jeszcze piękniejszych niż te, które i opisać nie łatwo i w tej chwili czas nie po temu. Więc już choćby dlatego, cośmy tu opowiedzieli, Simiaszu, trzeba robić wszystko, co można, żeby zdobyć w życiu dzielność i rozum. Bo nagroda piękna, a nadzieja wielka.

Spierać się o to, że właśnie tak, a nie inaczej jest, jak ja to opowiedziałem - nie wypada człowiekowi, który ma rozum w głowie. Ale że bądź to tak jest, bądź też jakoś tak podobnie ma się rzecz z naszymi duszami i z miejscem ich pobytu, skoro dusza okazuje się czymś nieśmiertelnym, to zdaje mi się wypada i warto ryzykować przypuszczenie, że tak jest. Ryzyko bardzo piękne i trzeba sobie samemu takie słowa wieszczę niby do snu śpiewać. Toteż i ja długo i już za długo tę przypowieść wlokę. Ale z tych względów powinien być spokojny o swoją duszę człowiek, który przez całe życie o innej przyjemności nie dbał, o te cielesne, i nie oglądał się za ozdobami życia, jako że były mu obce, i sądził, że one raczej zaszkodzą, niżli pomóc potrafią, a szukał tych, które nauka daje, i duszę swą ozdobił nie obcym jej blightrem, ale pięknem jej właściwym: panowaniem nad sobą i sprawiedliwością, i męstwem, i szlachetnością, i prawdą, i tak na podróż do Hadesu czeka i ruszy w drogę, kiedy go los zawoła.

Mit o sądzie nad duszami po śmierci i o wybieraniu przez nie dla siebie nowych losów

Państwo

Ja powiem, że sprawiedliwi pod starość rządzą w swoim państwie, jeżeli rządzić chcą, i żony biorą z domów, z których chcą, i dzieci żenią, z kim chcą. I wszystko, coś ty mówił o tamtych, ja mówię teraz o tych. A jeżeli chodzi o niesprawiedliwych, to wielu z nich, choćby za młodu unikali oka ludzkiego, jednak pod koniec biegu wpadają ludziom w ręce i robią się śmieszni; na starość spadają na nich obelgi, bo obcy i swoi mówią, że to nędzne figury, smagają ich bicze i to barbarzyństwo, o którym mówiłeś - a mówiłeś prawdę - że nieraz ich na pal wbijają i przypalają ogniem, wszystko to niesprawiedliwi znosić muszą; uważaj, żeś to ode mnie usłyszał. Tylko, jak mówię, przypatrz się, czy to zniesiesz.

- Owszem - powiada. - Sprawiedliwie mówisz.
- Więc jakie - ciągnąłem - człowieka sprawiedliwego za życia spotykają nagrody i zapłaty, i dary ze strony bogów i ludzi, oprócz tamtych dóbr, które sprawiedliwość sama przynosiła, to by było to.
- To bardzo piękne rzeczy - powiada - i niezawodne.
- Ale to wszystko jeszcze nic - dodałem - jeżeli chodzi o ilość i wielkość w porównaniu do tego, co czeka ich obu po śmierci. Trzeba o tym posłuchać, aby jeden i drugi z nich odebrał w skończonej postaci to, co mu się od naszej rozmowy usłyszeć należało.
- Mów - powiada - przecież mało czego słuchałbym z równą przyjemnością.
- Ale ja ci nie opowiem - odrzekłem - historii o Alkinoosie, tylko o dzielnym żołnierzu. Nazywał się Er, był synem Armeniosa, a rodem był z Pamfilii. Zginął kiedyś na wojnie, a gdy po dziesięciu dniach zbierano trupy, już zepsute, zabrano go w stanie świeżym, zaniesiono do domu i miano go dwunastego dnia pogrzebać. Ale wrócił do życia leżąc już na stosie. Wróciwszy, opowiedział, co widział po tamtej stronie. Więc mówił, że gdy duch z niego wyszedł, zaczął iść wraz z wieloma innymi, aż przyszedli do jakiegoś miejsca nadziemskiego, gdzie były w ziemi dwie przepaści, sąsiadujące z sobą, a w niebie, na górze, inne takie dwie rozpadliny naprzeciw. A między nimi siedzieli sędziowie. Ci rozdzielili duchy na dwie gromady i sprawiedliwym kazali pójść na prawo i na górę przez ten otwór w niebie, a każdemu przewiesili wyrok sądu z przodu. Niesprawiedliwym kazali iść na lewo i w dół. Ci mieli też - na plecach - świadectwo wszystkich swoich czynów. A kiedy on przyszedł przed sędziów, powiedzieli mu, że musi ludziom zanieść wiadomość o tym, co tam, i przykazali mu, żeby wszystkiego słuchał i oglądał wszystko, co się na tym miejscu działo.

Więc on widział, jak przez dwie rozpadliny, jedną w niebie a drugą w ziemi, odchodziły dusze po odbyciu sądu, a z dwóch innych przepaści wychodziły; z tej w ziemi okryte brudem i kurzem, a przez drugą schodziły z nieba dusze czyste. I te, które wciąż przybywały, wyglądały tak, jak by wracały z długiej wędrówki. Z radością odchodziły na łąkę, aby się na niej rozgościć jak na festynie; tam się witały z sobą te, które były znajome, i wypytywały się powracające z ziemi o to, co tam, a wracające z nieba pytały, jak tam u tych innych na ziemi. Więc opowiadały sobie nawzajem to i owo; jedne ze łzami i z jękiem wspominały, ile to i jak wielkich cierpień zaznały i widziały podczas wędrówki pod ziemią - wędrówka trwała tysiąc lat - a te znowu z nieba opisywały rozkosze i widoki niewypowiedzianej piękności. Długo by to wszystko opowiadać, Glaukonie; główna rzecz w tym, powiada, że za każdy grzech popełniony i za każdego pokrzywdzonego karę ponosili; za każdy punkt dziesięciokrotną - to znaczy: raz co sto lat, bo tak długo trwa życie człowieka - aby każdy dziesięciokrotną pokutą każdą zbrodnię odplacił. Więc jeżeli ktoś wielu śmierci był winien, bo miasto wydał nieprzyjacielowi albo obóz poddał w niewolę, albo się do innego jakiegoś nieszczęścia przyczynił, szło o to, żeby za każdą taką rzecz dziesięć razy większe męki poniósł, a znowu ci, którzy drugim jakieś dobrodziejstwa wyświadczyli i byli sprawiedliwi i bogobojni, żeby tak samo zasłużoną nagrodę odnieśli.

A o tych, którzy niedługo po urodzeniu umarli i żyli krótki czas, mówił inne rzeczy, ale nie warto o nich pamiętać. A za bezbożność i pobożność, i za stosunek do rodziców, i za samobójstwo o jeszcze większych opowiadał odpłatach. Bo mówił, że był przy tym, jak jeden drugiego pytał, gdzie jest Ardajjos, ten wielki. A ten Ardajjos był dyktatorem w jednym mieście w Pam-filii; kiedyś, jeszcze na tysiąc lat przed tym czasem. Ojca starszka zamordował i starszego brata i dopuścił się wielu innych czynów bezbożnych, jak mówiono.

Więc powiada, że zapytany odparł: „On nie nadchodzi i on tu, zdaje się, nie przyjdzie wcale. Bośmy i to oglądali pośród tych strasznych widowisk. Kiedyśmy już byli blisko wyjścia i mieliśmy co tylko wyjść na górę - a tyleśmy się już byli nacierpieli - nagle zobaczyliśmy jego i innych z, nim. Byli tam i jacyś ludzie prywatni też - z tych, co wielkie grzechy mieli za sobą. Ci, kiedy już zamýślali wyjść na górę, wtedy ich paszcza przepaści wypuścić nie chciała, tylko wydawała ryk, ile razy ktoś z tych nieuleczalnych zbrodniarzy, albo ktoś, kto jeszcze swej pokuty nie odbył, próbował wyjść na górę. Wtedy, powiada, ludzie dzicy, a od żaru na wskroś czerwoni, przypadli i rozumiejąc głos przepaści rozebrali jednych między siebie i zaczęli ich pędzić, Ardajjosowi zaś i innym związali ręce, nogi i głowę, przewrócili ich, zbili, powlekli na bok, z drogi, zaczęli ich cesać cierniami i dawać znaki przechodzącym, za co to, i pokazywali, że ich prowadzą na wrzucenie do Tartaru. Przeżyły tam dusze wiele różnych strachów, ale ten strach był największy, aby głosu przepaści nie usłyszeć przy wchodzeniu na górę. Najchętniej każdy wychodził, kiedy przepaść milczała. Więc kary i pokuty były jakieś takie, a były i dobre rzeczy - tamtym wprost przeciwnie.

Kiedy każdy z tych, co byli na łące, kończył swój siódmy dzień, musiał wstać i ósmego dnia ruszać w drogę, aby po czterech dniach przyjść tam, skąd widać z góry snop światła, przez całe niebo i ziemię rozpięty, niby słup, najbardziej do tęczy podobny, tylko jaśniejszy i czystszy. Do tego światła doszli po jednym dniu drogi i zobaczyli tam przez środek światła z nieba napięte końce więzów niebieskich. Bo ono stanowi obwiązanie nieba, podobnie jak liny opasujące okręty trój rzędowe; w ten sposób światło wiąże całą obracającą się kulę. A między końcami jest napięte wrzeciono Konieczności, które wszystkie kule obraca. Którego oś i hak jest ze stali, a krąg zmieszany ze stali i z innych materiałów. A budowa kręgu jest taka. Kształt ma taki sam jak u wrzecion tutejszych. Według tego, co mówił, trzeba sobie przedstawić, że on jest taki: jak gdyby w jednym wielkim kręgu wydrążonym i przewierconym na wskroś, tkwił inny, taki sam, mniejszy, dokładnie się z nim stykający; tak, jak to wiadra czasem pasują i jedno dokładnie wchodzi w drugie. W ten sposób też trzeci krąg i czwarty, i jeszcze inne cztery. Bo osiem jest wszystkich kręgów, tkwiących jedno w drugim. Na górze widać ich przekroje okrągłe, tworzące ciągłą powierzchnię grzbietową jednego dużego kręgu naokoło osi. A ta oś przebija na wskroś krąg ósmy. Więc krąg pierwszy z zewnątrz ma w przekroju najszerzy pierścień kołowy, druga z rzędu jest szerokość

szóstego, trzecia - czwartego, czwarta - ósmego, piąta - siódmego, szósta - piątego, siódma - trzeciego, a ósma - drugiego. I powierzchnia największego pierścienia jest upstrzona, powierzchnia siódmego najjaśniejsza, powierzchnia ósmego bierze swą barwę od światła kręgu siódmego, barwy drugiego i piątego są do siebie podobne, bardziej żółte od tamtych, trzeci krąg ma barwę najbielszą, czwarty czerwona, a drugi z rzędu co do białości jest pierścień szósty.

A kiedy się oś kręci, obraca się z nią całość tym samym ruchem, ale w tej obracającej się całości siedem kręgów wewnętrznych obraca się po cichu i powoli w kierunku przeciwnym obrotowi całości. Spośród nich najszybciej biegnie pierścień ósmy - potem wolniej, a ruchem równoczesnym, siódmy, szósty i piąty; trzecią z kolei szybkość obrotu - tak się im zdawało - posiada krąg czwarty, wirujący w stronę przeciwną. Czwartą prędkość ma trzeci, a piątą - drugi. A kręci się oś obrotu oparta na kolanach Konieczności. Tam u góry, na każdym kręgu chodzi Syrena obracająca się razem z nim i wydaje jeden głos, jeden ton. Wszystkie razem, a jest ich osiem, tworzą jeden harmonijny akord.

Jeszcze inne trzy postacie kobiece siedzą naokoło w równych odstępach, a każda ma swój tron: to Mojry, córki Konieczności, w białych sukniach, a przepaski mają na głowach. Lachesis, Kloto i Atropos. Śpiewają zgodnie z Syrenami. Lachesis o przeszłości śpiewa, Kloto o tym, co jest, Atropos o tym, co będzie. Kloto od czasu do czasu dotyka prawą ręką zewnętrznego kręgu wrzeczona i przyspiesza jego ruch obrotowy, tak samo znowu Atropos lewą ręką popycha kręgi wewnętrzne. A Lachesis jedną i drugą ręką dotyka chwilami to jednych, to drugich.

Więc oni, kiedy tam przyszli, musieli zaraz iść do Lachesis. Wtedy ich naprzód jakiś prorok w porządku ustawił, a potem wziął z kolan Lachesis losy i okazy życia ludzkiego, wstąpił na mównicę wysoką i powiedział: "Oto Konieczności córka, dziewica Lachesis, mówi: Dusze jednodniowe, oto początek nowej wędrówki okrężnej rodu śmiertelnego, wędrówki kończącej się śmiercią. Nie was wybierać będzie duch; wy sobie będziecie sami ducha obierali. Kto pierwszy los dostanie, ten niech pierwszy wybiera życie - później już nieuchronne. Dzielnosc nie jest u nikogo w niewoli. Kto ją ceni więcej lub mniej, ten jej dostanie więcej albo mniej. Winien ten, co wybiera. Bóg nie winien". To powiedziawszy, rzucił pomiędzy wszystkich losy i każdy podejmował ten, który mu padł u nóg. Tylko on jeden nie wybierał. Nie pozwolono mu. Kto los podniósł, ten widział, który numer dostał.

Potem znowu typowe okazy życia ludzkiego rozłożył przed nimi na ziemi, a było ich znacznie więcej niż obecnych. I były różnorodne. Były tam żywoty zwierząt wszystkich i wszystkie żywoty ludzkie. Były między nimi i dyktatury - jedne dożywotnie a drugie złamane i kończące się ubóstwem, wygnaniem i nędzą. A były tam i żywoty mężów sławnych; z powierzchowności, z piękności i z innej mocy, i z rywalizacji zwycięskiej, znamienitych rodem i cnotami przodków, a także ludzi niesławnych. Tak samo również i kobiet. Dusze nie były tam uszeregowane. Dlatego że z konieczności każda musiała się stawać inna, jeżeli inny typ życia wybrała. Zresztą były tam losy i pomieszane z sobą, i pomieszane z bogactwem i z ubóstwem, jedne z chorobami, drugie ze zdrowiem, a były i losy pośrednie.

Zdaje się, że tam właśnie, kochany Glaukonie, największe niebezpieczeństwo ludzi czeka, i dlatego najwięcej trzeba się starać, żeby każdy z nas, mniej dbając o inne nauki, szukał i tę studiował, jeżeli się jej skądś nauczyć potrafi, i potrafi znaleźć kogoś, kto go nauczy żywot dobry i żywot zły rozpoznawać i spośród żywotów możliwych zawsze i wszędzie żywot lepszy wybierać.

Więc trzeba szukać podobieństw we wszystkim tym, co się teraz mówiło, i zestawiać te rzeczy, i rozbierać stosunek życia do dzielnosci, i wiedzieć, co dobrego albo co złego wywołuje piękność pomieszana z ubóstwem albo z bogactwem, i na tle jakiego stanu duszy to się dzieje, i jak na siebie wpływają pochodzenie wysokie i życie prywatne i udział w rządzie, i siła, i brak siły, i wysokie wykształcenie, i brak wykształcenia, i wszystkie takie rzeczy, które z natury swej mają związek z duszą. A jeśli się do nich domieszcza jakieś cechy nabyte, to jak to wszystko wzajemnie wpływa na siebie. Tak, żeby opierając się w rachunku na tym wszystkim, móc wybrać, mając naturę duszy na oku, żywot gorszy albo żywot lepszy. Gorszym nazywając żywot, który duszę zaprowadzi do tego, że się stanie mniej sprawiedliwa, a lepszym ten, przez który będzie sprawiedliwsza. O wszystko inne mniejsza. Widzieliśmy i widzimy, że dla żywego i dla umarłego ten wybór jest najważniejszy.

Trzeba to przekonanie mieć w sobie twarde jak stal i tak do Hadesu iść, aby i tam człowieka nie zbiły z tropu bogactwa i tym podobne zła, żeby nie popaść w dyktatury i w inne tego rodzaju praktyki, i nie spowodować wielu i nieuleczalnych nieszczęść, a samemu jeszcze większych nie doznać, ale umieć zawsze wybierać między tymi ostatecznościami życie pośrednie i unikać przesady z jednej i z drugiej strony - już i w tym życiu, ile możliwości, i w każdym życiu następnym. W ten sposób człowiek najpełniejsze szczęście osiąga.

Więc tak i wtedy tam, jak mówił ten, co przyniósł wieści z tamtych stron, odezwał się prorok i w ten sposób: "Choćby kto i ostatni wszedł, to, jeżeli rozumnie wybrał i potrafi w życiu tak struny napinać, żeby harmonijnie brzmiały, czeka go życie przyjemne, a nie złe. Ten, kto pierwszy wybiera, niech nie będzie lekkomyślny, a kto ostatni, niech nie traci otuchy".

Po tych słowach, powiada, ten, który pierwszy losował, natychmiast podszedł i wybrał największą dyktaturę. Głupi był i żarłok wielki, więc nie rozpatrzył dobrze wszystkiego przy wyborze i nie zauważył, jakie tam przeznaczenie było w środku: miał własne dzieci pożerać. Inne nieszczęścia czekały go też. A kiedy się przy wolniejszej chwili nad tym zastanowił, zaczął się sam bić pięściami i głośno narzekać na swój wybór - nie zapamiętał i nie trzymał się tego, co z góry mówił prorok. I nie sobie samemu przypisywał swoje nieszczęścia, tylko obwiniał los i duchy, i wszystko inne raczej, zamiast samego siebie. A to był jeden z tych, którzy z nieba

wracali, i w poprzednim życiu żył w państwie dobrze urządzonym i charakter miał dobry, tylko nie był filozofem. Zęby tak powiedzieć, to przy takiej sposobności wpada bardzo wielu z tych, co z nieba wracają, bo nie mają ćwiczenia, nie nawykli do trudów i przykrości.

A ci liczni, którzy wracają z ziemi, przez to, że i sami dużo przeszli i napatrzyli się drugim, nie wybierają tak z pierwszego rozpędu. I dlatego też wiele dusz spotyka odmiana zła i dobra, a bywa, że i los tak pada. Bo jeżeli ktoś zawsze, ile razy na ten świat przychodzi, filozofią się zajmuje zdrowo, a los mu jakoś nie wypadnie ostatni, ten zgodnie z tym, co tam głoszą, nie tylko tu będzie szczęśliwy, ale i wędrowkę stąd tam i z powrotem będzie miał nie po ziemi i ciężką, tylko lekką i po niebie.

To widowisko, powiada, warto było zobaczyć, jak to każda dusza swoje życie wybierała. Można ó być widzieć i taką, co budziła litość, i widzieć śmieszna i podziwu godną. Bo po większej części dokonywały wyboru zgodnie z nawykiem z poprzedniego życia.

Powłada więc, że widział duszę niegdyś Orfeusza, jak wybierała żywot łabędzia przez, odrzę do ptci żeńskiej. Orfeusz poniósł śmierć z ręki kobiet, więc nie chciał przychodzić na świat przez ciało kobiety. I widział duszę Tamyrasa, jak wybiera żywot słowika. A widział też łabędzia, który dla odmiany postanowił wybrać życie człowieka, a inne muzykalne zwierzęta tak samo. Dwudzięta z rzędu dusza obrała życie lwa. A ta była Ajaksa, syna Telamona. Nie chciała się stawać człowiekiem; pamiętała ten sąd, który rozstrzygał o zbroi. A po niej dusza Agamemnona. Ona też z odrazy do rodzaju ludzkiego i przez przebyte cierpienia wołała się w orła przemienić. Gdzieś pośrodku losowała dusza Atalanty. Zobaczyła zaszczytne odznaki atlety i nie umiała przejść mimo - wzięła swój los. A potem widział duszę Epejoisa syna Panopeusa, jak weszła w naturę kobiety o zdolnościach do techniki. A dalej, pośród ostatnich, zobaczył duszę tego błazna Tersytyesa, jak wstępuje w ciało małpy.

Przypadkiem dusza Odyseusza losowała na samym końcu. Już szła do wyboru, ale, przypomniawszy sobie minione trudy przez żądzę sławy poniesione, dała pokój ambicjom i chodząc długo tędy i owędy szukała losu człowieka prywatnego, który by miał czas wolny. Z wielką trudnością go znalazła. Leżał gdzieś tam, porzucony, bo inni go nie chcieli. Zobaczywszy go, powiedziała, że i za pierwszym razem byłaby też ten los wybrała, więc teraz podjęła go z radością.

Dusze wielu zwierząt przechodziły w ludzi i przechodziły jedne zwierzęta w drugie. niesprawiedliwe dusze wstępowały w zwierzęta dzikie. a sprawiedliwe przemieniały się w zwierzęta łagodne - odbywały się wszelkie możliwe przemiany.

Więc skoro wszystkie dusze żywoty sobie wybrały, zaczęły po porządku, jak która losowała, podchodzić do Lachesis. Ona każdemu przydziała ducha, którego sobie każdy wybrał i posyłała go wraz z nim, aby-był stróżem ludzkiego życia i dopełniał tego, co sobie każda dusza obrała. Duch opiekuńczy naprzód prowadził duszę do Kloto - pod jej rękę obracającą ós wszechświata, aby zatwierdzić los obrany. A gdy jej dotknął, wiódł duszę tam, gdzie Atropos przędła, aby nic przeznaczenia uczynić nieodwracalną. Stamtąd, nie odwracając się sam, szedł pod tron Konieczności, minął go, a skoro i inni tamtędy przeszli, skierowali się wszyscy na Dolinę Zapomnień poprzez upał i żar okropny. Tam. nie było drzew ani czegokolwiek, co ziemia wydaje. A że już się miało ku wieczorowi, więc rozłożyli się obozem nad Rzeką Beztroski - wody tej rzeki żadne naczynie nie utrzyma. Pewną miarę tej wody każdy koniecznie wypić musiał. Których rozum od tego nie ustrzegł, pili ponad miarę. A kto ją pija wciąż, ten zapomina o wszystkim.

Kiedy się pokładli spać i nadeszła północ, odezwał się grzmot i przyszło trzęsienie ziemi. Wtedy w mgnieniu oka rozleciały się duchy na wszystkie strony w górę, ku narodzinom; rozprysły się jak gwiazdy. Jemu samemu nie pozwolono pić tej wody. A jakim sposobem i którędy znalazł się znowu w ciele, nie wiedział. Tylko że nagle oczy otworzył; było rano i zobaczył, że już leży na stosie.

W ten sposób, Glaukonie, ten mit ocalał i nie zginął. Może on i nas ocali, jeżeli go posłuchamy i poprzez Rzekę Zapomnień szczęśliwie przebrniemy, a nie splamimy duszy. Jeżeli posłuchamy mego zdania, będziemy uważali, że dusza jest nieśmiertelna i potrafi wszelkie zło przetrzymać i wszelkie dobro, więc będziemy się zawsze trzymali drogi wwyż i na wszelki sposób sprawiedliwość z rozumem w czyn wprowadzali, abyśmy byli mili i sobie samym, i bogom; i tutaj, trwając na miejscu, i wtedy, gdy nagrodę za to weźmiemy jak ci, co w zawodach zwycięstwo odnieśli i biorą nagrody stąd i stamtąd, więc, żeby nam i z nami, i tu, i w tysiącletniej wędrowce, którąśmy przeszli, zawsze było dobrze.

Mit o sędzie nad duszami po śmierci

Gorgiasz

Bo samego umierania nikt się nie boi, kto nie jest doszczętnie obrany z rozumu i z odwagi, ale się krzywdy drugich boi. Bo zanieść do Hadesu duszę pełną ludzkiej krzywdy, to nieszczęście najgorsze ze wszystkich. Ja ci na to, że tak jest, chętnie jedną rzecz opowiem, jak zechcesz.

Kalikles: No jeżeliś już tamto wszystko skończył, to kończ i to.

Sokrates: No, to posłuchaj; opowiadają? rzecz bardzo piękna; choć ty ją nazwiesz mitem, z pewnością ? ja: przypowieścią. Bo jako prawdę istotną opowiem ci to, co chcę powiedzieć.

Otóż, jak Homer powiada, podzielili się władzą Zeus i Posejdon, i Pluton, kiedy ją od ojca wzięli. A było takie prawo dla ludzi pod Kronosem i zawsze, i teraz jeszcze jest u bogów, że kto z ludzi sprawiedliwie przez życie przeszedł i zbożnie, po B śmierci na Wyspy Szczęśliwych odchodzi i mieszka w szczęściu zupełnym tam, gdzie

nie ma zła, a kto niesprawiedliwie i bezbożnie, ten do więzienia idzie, gdzie jest pokuta i sprawiedliwość karząca, a nazywają to miejsce Tartarem.

Za czasów Kronosa i niedawno jeszcze, kiedy już Zeus władzę miał w rękę, sędziami żywych byli ludzie żywi, a sądy odbywali w tym dniu, w którym każdy miał umrzeć. Zaczem źle wypadają wyroki.

Więc Pluton i dozorczy z Wysp Szczęśliwych poszli i powiedzieli Zeusowi, że przybywają do nich ludzie tego niegodni.

Więc powiedział Zeus: "No, już ? powiada ? ja temu koniec położę.

Teraz, pewnie, źle wypadają wyroki, bo w ubraniu ? powiada ? sędzi się tych, co mają iść pod sąd, bo się ich sędzi za życia. Więc wielu jest takich ? powiada ? którzy dusze mają podłe, a ubrani są w ciała piękne, i w pochodzenie, i bogactwa, i kiedy ma być sąd, idzie za nimi wielu świadków, aby poświadczyć, że żyli sprawiedliwie.

Sędziów ten widok płoszy, a przy tym oni sami w ubraniu sądy odbywają; dusza ich ma przed sobą zasłonę z oczu, uszu i z całego ciała; więc to im wszystko na przeszkodzie stoi: ubranie własne i ubranie podsądnych.

Więc naprzód trzeba temu koniec положить, żeby z góry znali termin śmierci. Bo teraz naprzód go znają.

Więc powiedziano Prometeuszowi, żeby z tym zrobił porządek. Odtąd trzeba stawać na sądzie bez tego wszystkiego. Nago muszą stawać na sądzie umarli. I sędzia musi być nagi ? umarli ? samą tylko duszą ogląda natychmiast po śmierci każdego, z dala od wszelkich krewnych; na ziemi zostają wszystkie tamte ozdoby, żeby sąd mógł być sprawiedliwy.

Ja to poznałem prędzej niż wy i mianowałem sędziami synów moich. Dwóch z Azji: Minosa i Radamantysa, a jednego z Europy: Ajakosa. Ci, kiedy pomrą, sędzić będą na łące tam, gdzie się drogi rozchodzą; jedna prowadzi do Wysp Szczęśliwych, a druga do Tartaru.

I tych z Azji Radamantys sędzić będzie, a tych z Europy Ajakos. A Minosowi oddam przewodnictwo; niech rozstrzyga, jeśli ci dwaj będą w rozterce, aby jak najsprawiedliwiej wypadły sądy, dokąd ludziom iść należy."

Oto jest, Kaliklesie, to, com słyszał i wierzę, że

to prawda. A z tych słów coś takiego, moim zdaniem, wynika. Śmierć to nie jest, uważam, nic innego, jak rozłączenie się dwóch rzeczy: duszy i ciała od siebie. A kiedy się rozłączą, to niemniej każde z nich zachowuje stan sobie właściwy, który miało za życia człowieka. Ciało ma dalej swą naturę i nosi widocznie wszystkie ślady kultury własnej i doznań. Więc, jeśli czyjeś ciało wielkie było

z natury, czy z wikt, czy z obu przyczyn za życia, tego i po śmierci trup jest wielki. A jeśli kto był gruby, gruby zostanie, jak umrze, i tam dalej tak samo. I jeśli nosił długie włosy, to długowłosego jego trup. A jeśli kto zaznał bicia i zabliźnione ślady miał na ciele, albo od batogów, albo z innych ran za życia, to i po śmierci na ciele zobaczyć można to samo. A jeśli połamane były czyje członki czy wywichnięte za życia, widać to na nim i po śmierci. Jednym słowem: jak sobie kto ciało urządził za życia, takie też pokaże po śmierci, albo pod każdym względem, albo pod wieloma i przez pewien czas.

Otóż to samo, myślę sobie, dzieje się z duszą, Kaliklesie. Widać wszystko na duszy, kiedy się obnaży z ciała; i to, co jej natura dała, i te ślady, jakie na niej zostawiło każde zajęcie człowieka.

Więc, kiedy przyjdą przed sędziego, ci z Azji przed Radamanta, Radamantys stawia ich przed sobą i ogląda duszę każdego, a że nie wie, czyja to jest, więc nieraz króla perskiego zatrzyma, czy innego jakiego bądź króla, czy możnowładcę i zobaczy, że na tej duszy nie ma miejsca zdrowego, ale biczami zsiekana i bliźn pełna od krzywych przysięg i niesprawiedliwości, którą mu się każdy czyn w duszę wraził, i wszystko na niej krzywe od kłamstwa i błagi, a nic prostego nie ma w sobie, bo się nie chowała w prawdzie. I widzi, że od swawoli i rozwiązłości, i buty, i rozpasania czynów, asymetrii i szpetności pełno w takiej duszy. A zobaczywszy to, na hańbę ją posyła prosto do więzienia; tam ma iść i znosić, co jej znieść przypadnie.

A wypada, żeby każdy, kto podlega karze, jeśli mu słusznie karę ktoś nakłada, albo się lepszym stawał i odnosił korzyść, albo był przykładem dla innych, aby inni widząc, jak cierpi, cokolwiek by cierpiał, bali się i stawali się lepszymi.

A korzyść odnoszą, kiedy cierpią karę z ręki bogów i ludzi ci, którzy uleczalne grzechy popełnili. Zawsze im przecież z bólów i mąk rośnie pożytek i tutaj, i tam, w Hadesie. Bo niepodobna inaczej pozbyć się niesprawiedliwości.

A którzy się już ostatnich zbrodni dopuścili i do tego doszli, że ich uleczyć nie można, z tych się przykłady robią. Ci sami nigdy żadnego pożytku nie mają, bo są nieuleczalni, ale mają pożytek inni: ci, którzy widzą, jak oni, za grzechy, męczarnie największe i na j straszniejsze znoszą przez całą wieczność; po prostu, takie przykłady wiszą tam w Hadesie, w więzieniu, dla niegodziwców ustawicznie nadchodzących na widowisko i przestrozę.

Powiadam ci, że jednym z nich będzie i Archelaos, jeżeli prawdę mówił Polos, i każdy inny, który by takim był tyranem.

Myślę, że wielka część tych przykładów, to dawni tyrani i królowie, i możnowładcy, i politycy. Tym przecież tyle wolno, że największe i najbezbożniejsze grzechy popełniają. A przyświadcza temu także Homer. Toż królowie i możnowładcy w jego pieśniach ponoszą wieczną karę w Hadesie: taki Tantal i Syzyf, i Titios. A o Tersytyesie, i jeśli jaki inny był podły człowiek prywatny, nikt nie śpiewał, jakoby był wielkimi karami dręczony, jako nieuleczalny.

Bo, myślę, nie miał swobody. Dlatego też i szczęśliwszy jest niż ci, którzy mieli swobodę. Bo też, Kaliklesie, spośród potężnych jednostek wychodzą ci, którzy się wielkimi zbrodniarzami stają. A jednak nikt nie przeszkadza, żeby się i między tymi dobre jednostki trafiały, i mocno należy podziwiać tych, którzy się jednak tam zdarzają. Bo trudna to rzecz, Kaliklesie, i wielkiej godna pochwały, jeśli się posiadało wielką moc czynienia złego, sprawiedliwie życie przepędzić. I mało też jest takich. A jednak bywają i tu, i gdzie indziej, a myślę, że i później będą ludzie piękni i dobrzy tą właśnie dzielnością, żeby sprawiedliwie zarządzać tym, co człowiekowi ktoś powierzy. Był jeden taki nawet bardzo sławny także u innych Hellenów: Arystydes, syn Lizymacha. Ale po większej części, duszo dobra, złymi ludźmi bywają możnowładcy.

Więc, jak powiedziałem, skoro ów Radamantys:

kogoś takiego przychwyci, innego nic o nim nie wie: ani kto to, ani z których to, tylko to jedno wie, że to jakiś zbrodniarz. Zobaczy to i odsyła -go do Tartaru, naznaczywszy, czy mu się uleczalny, czy nieuleczalny wydaje. I ten przychodzi tam i znosi, co potrzeba. A nieraz inną spostrzeże, taką, c co żyła zbożnie i w szczerzej chodziła prawdzie, duszę człowieka prywatnego czy innego tam, a przede wszystkim, powiadam ci, Kaliklesie, duszę filozofa, który się swoimi sprawami zajmował, a nie rozpraszał się w tysiącnych interesach za życia; wtedy się cieszy i na Wyspy Szczęśliwych ją odsyła. A to samo i Ajakos. Każdy z nich laskę ma w rękę, gdy sędzi; a tylko Minos, nadzorca, siedzi i złote berło trzyma, jak go, powiada, Odyseusz widział u Homera:

Berło złociste miał w dłoni, kiedy rozsądzał umarłe.

Ja, wiesz Kaliklesie, wierzę tym słowom i tego patrzę, żebym pokazał sędziemu duszę jak najzdrowszą. Więc nie dbam o zaszczyty, które tak ceni ludzki tłum, prawdy szukam i będę się starał istotnie, ile tylko potrafię, i żyć jak najlepiej i kiedy umrzeć przyjdzie, umrzeć.

A namawiam i wszystkich innych ludzi, jak tylko mogę, i ciebie przede wszystkim, tak, jak ty mnie, do życia takiego, jak moje, i do zawodu tego, który wart wszystkich zawodów tych tutaj, i besztam cię, że nie potrafisz się na samopomoc zdobyć, kiedy cię sprawiedliwość karząca dosięgnie i przyjdzie sąd, którym właśnie opisałem. I ty, przyszedłszy przed sędzię, przed syna Eginy, kiedy 527 cię przychwyci i odprowadzić każe, otworzysz usta i głowa ci się kręcić będzie; zgola nie mniej -niż mnie tutaj, tak samo tobie tam, i ciebie, może, kto bić zacznie, i może nawet w twarz, na wstyd i w różne sposoby ponieważ.

Ty może myślisz, że to mit? niby bajka starej piastunki i patrzysz na to z góry. I nie byłoby w tym nic osobliwego, żeby gardzić takimi rzeczami, gdybyśmy, szukając kędykolwiek, mogli znaleźć coś lepszego, prawdziwszego. A tymczasem widzisz, że choć was jest trzech i jesteście B najmądrzejsi między Hellenami, ty, Polos i Gor-giasz, nie umiecie dowieść, że należy inne jakieś życie prowadzić, a nie takie, które się i na tamym świecie przydać gotowo. Tyle tutaj przeciwnych twierdzeń upadło, a ostało się to jedno, że wystrzegać się należy krzywdzenia drugich więcej niżli krzywdy własnej i w każdym razie mężczyzna dbać powinien nie o to, żeby się wydawał dzielny, ale żeby był takim i w życiu prywatnym, i w publicznym.

Mit o trzech składnikach duszy

Państwo

- Plastyczny obraz duszy ludzkiej stwórzmy myślą, aby wiedział ten, co tamto mówił, co mówił właściwie.
- Jaki obraz niby? - powiada.
- Jakiś w tym rodzaju - ciągnąłem - jak to w mitach opowiadają, że bywały dawniej takie natury jak Chimera, i Scylla, i Cerber, a o jakichś innych też opowiadają, w których się wiele postaci zrosło w jedność.
- A opowiadają - dodał.
- Więc wymodeluj sobie jedną postać zwierzęcia; niech ono będzie wielobarwne i niech ma wiele głów, naokoło niech ma głowy zwierząt swojskich i dzikich i niech się może przemieniać i wypuszczać to wszystko z siebie jak roślina.
- Tęgiego rzeźbiarza - powiedział - trzeba do takiej roboty. Ale ponieważ myśl jest bardziej plastyczna niż wosk i podobne materiały, więc niech ci to będzie wymodelowane.
- I jeszcze jedną postać lwa i jedną człowieka. Ale największe - i to bez porównania - niech będzie to pierwsze, a później to drugie.
- To już są rzeczy łatwiejsze - powiada - i już są wymodelowane.
- A teraz te trzy rzeczy spróbuj spoić razem tak, żeby się jakoś ze sobą zrosły.
- Już są spojone - powiada.
- A teraz wymodeluj i obuduj naokoło nich postać jedną - człowieka; tak, żeby się to komuś, kto nie może widzieć tego, co w środku, a widzi tylko zewnętrzną powłokę, wydawało jedną istotą żywą: człowiekiem.
- Już jest wymodelowana powłoka naokoło - powiada.
- A teraz powiedzmy coś temu, który twierdził, że opłaci się człowiekowi być niesprawiedliwym, a postępowanie sprawiedliwe pożytku nie przynosi. Przecież on nic innego nie twierdził, jak to, że opłaci się, człowiekowi utuczyć to wielopostaciowe zwierzę, aby było mocne, i tego lwa wraz z jego otoczeniem, a człowieka, zamorzyć głodem i osłabić go, aby go jedno lub drugie z tamtych zwierząt wlokło, dokąd by chciało, i żeby się one z sobą nie zżywały i nie przyjaźniły, tylko niech się jedno z drugim gryzie i niech (się pożerają nawzajem we wzajemnej walce.
- Ze wszech miar - powiada - tak by mówił ktoś, kto by chwalił niesprawiedliwość.
- Nieprawdaż, a ten znowu, kto by twierdził, że trzeba postępować i mówić tak, żeby ten człowiek mieszkający we wnętrzu człowieka jak najwięcej sił nabrał i żeby się zajął hodowlą owego stworu wielogłowego, tak jak to robi rolnik, i jego głowy swojskie karmił i obłaskawiał, a dzikim nie pozwalał wyrastać, wzięwszy sobie do pomocy naturę lwa, i troszczył się o wszystko razem, i zaszczepiał między tamtymi przyjaźń wzajemną i siebie samego, i wychowywał je w ten sposób.
- Całkowicie przecież tak mówi człowiek, który chwali sprawiedliwość.
- Na wszelki sposób ten, który sprawiedliwość chwali, mówiłby prawdę, a chwalcą niesprawiedliwości byłby w błędzie. Bo jeśli brać pod uwagę przyjemność i opinię, i pożytek, zawsze chwalcą sprawiedliwości ma słuszność, a kto ją gani, ten ani nie mówi do rzeczy, ani nie wie, co właściwie gani.
- Nie wydaje mi się - powiada - w żaden sposób przecież.
- Więc przeciagniemy go na swoją stronę łagodnie, bo on nie bładzi umyślnie, i zapytajmy go tak: Pokój z tobą, ale powiedz, czy nie zgodzimy się jakoś, że to, co słusznie uchodzi za piękne i za brzydkie, z czegoś

takiego pochodzi. To, co piękne, poddaje zwierzęce pierwiastki natury człowieka pod władzę pierwiastka ludzkiego, a może raczej boskiego, a to, co brzydkie, oddaje składnik łagodny w niewolę składnika dzikiego. On się zgodzi na to, czy jak?

- Jeżeli tylko mnie posłucha, to tak - powiada.

Mit o naturze duszy i miłości

Fajdros

Początek zaś wywodów taki:

Wszelka dusza jest nieśmiertelna. Bo co się wiecznie rusza, nie umiera. Tylko to, co inne rzeczy porusza, a samo skądinąd ruch bierze, mając koniec ruchu, ma też i koniec życia. Jedynie tylko to, co samo siebie porusza, jako iż samo siebie nie opuści, nigdy się poruszać nie przestaje, ale jest dla wszystkich innych rzeczy, którym ruch nadaje, ruchu tego źródłem i początkiem. A początek nie ma D chwili narodzin. Z niego się rodzić musi wszystko, co się tylko rodzi, ale on sam z niczego. Przecież, gdyby się rodził z czegoś, nie byłby początkiem. A skoro jest nie zrodzony, musi też być i niezniszczalny. Bo gdyby początek zginął, to aniby już on sam z czegokolwiek, aniby nic z niego nie powstało, skoro wszystko się musi z niego rodzić. Tak więc początkiem ruchu jest to, co samo siebie porusza. A to ani ginąć, ani się rodzić nie może, boby się całe niebo i wszystko stworzenie zwaliło i stanęło, a nie miałoby skąd znowu ruchu nabrać i przyjść na świat. Skoro się tedy pokazuje, że nieśmiertelne jest to, co samo siebie porusza, wolno powiedzieć zupełnie śmiało, że to właśnie jest istota i pojęcie duszy. Bo każde ciało, które ruch bierze z zewnątrz jest bezduszne, martwe, a które z wnętrza, samo z siebie, to ma duszę, bo taka jest natura duszy. Jeżeli tak jest rzeczywiście, że niczym innym nie jest to, co porusza samo siebie, jak tylko duszą, to z konieczności dusza będzie nie zrodzoną i nieśmiertelną. Więc o nieśmiertelności jej dość.

A o istocie jej to trzeba powiedzieć: Jaka jest w ogóle i pod każdym względem, na to potrzeba boskich i długich wywodów ale do czego jest podobna, na to wystarczą ludzkie i krótsze. Tak więc mówmy. Niechaj tedy będzie podobna do w jedno zrosłej siły skrzydlatego zaprzęgu i woźnicy. U bogów i konie, i woźnice, wszystko to dzielne i z dobrego rodu, a u innych mieszanina. I tak, naprzód parą musi powozić nasz wódz, a potem konia ma jednego doskonałego, z pięknej i dobrej rasy, a drugiego z całkiem przeciwnej, rumaka zupełnie tamtemu przeciwnego. Ciężkie to i trudne, oczywiście, powożenie nami. Otóż, skąd poszła nazwa śmiertelników i nieśmiertelnych, spróbujmy powiedzieć.

Dusza w ogóle włada nad tym, co bezduszne, i po całym świecie wędruje, rodząc się tu w tej, a tam w innej postaci. A że doskonała jest i skrzydłata, c więc po niebie lata i całym światem włada, i gospodaruje w nim jak u siebie w domu. A jeśli pióra straci, spada, aż coś stałego napotka, uchwyci i zamieszka tam, ciało ziemskie na siebie wzięwszy, które teraz, niby samo z siebie, poruszają się zaczyna dzięki jej sile i nazwę otrzymuje wszelkiej istoty żywej. Taki kompleks duszy i ciała nazywa się śmiertelnikiem. Nieśmiertelnym zaś, bez żadnej logicznej podstawy, tylko dzięki naszej fantazji, wyobrażamy sobie boga, któregośmy ani nie widzieli, ani nie pojęli należycie, niby jakąś istotę żywą, a nieśmiertelną: istotę, która ma duszę i ma ciało, D a tylko one się zrosły ze sobą na wieki. No, takie wyobrażenia, doprawdy, jeśli taka wola boża, niech już takie zostaną; nie brońmy nikomu tak mówić. Ale dlaczego dusza skrzydła traci, dlaczego jej odpadają, weźmy to ? przyczyna jest taka mniej więcej:

Przyrodzoną mają skrzydła siłę, to, co ciężkie, podnosić w górę, w niebo gdzie bogów rodzina mieszka. Żadne ciało nie ma w sobie tyle boskiego pierwiastka, co skrzydła. A boski pierwiastek ? to piękno, dobro, rozum i wszystkie tym podobne rzeczy. Takim pokarmem się żywią i z niego rosną najszybciej pióra duszy, a od bezceństwa i zła marnieją i nikną. Wielki wódz wszechrzeczy, Zeus, przodem pędzi na wozie skrzydlatym, porządkuje wszystko i na wszystko baczny, i wszystkim zarządza. A za nim wojsko bogów i duchów dobrych i złych w jedenastu oddziałach. Bo tylko Hestia sama jedna w przybytku bogów pozostaje. A z innych bogów, w dwunastkę uporządkowanych, każdy dowodzi tym szykiem, na którego czele został postawiony.

Liczne i cudowne bywają we wszechświecie widowiska i pochody, kiedy szczęśliwy bogów ród wszechświat przebiega, a każdy z nich czyni, co do niego należy. A idzie za nimi każdy, kto tylko chce B i może, bo zawiść poza chórem bogów stoi. A kiedy idą na ucztę, na biesiadę, przechodzą pod samym szczytem niebieskiej kopuły. Rydwany bogów równiuteńko idą, łatwo nimi kierować; inne wozy gorzej. Bo koń, który ma w sobie zło, ciągnie w dół, ku ziemi ciągnie, jeśli go woźnica dobrze nie wychował. Tu się dusza najwięcej trudzi i wyęczać musi. Bo istoty zwane nieśmiertelnymi, kiedy dojdą do szczytu, stają na grzbiecie nieba i stojąco zjeżdżają po sklepieniu na drugą stronę, a te tylko patrzają na to, co poza niebem.

A miejsca tego, które jest ponad niebem, ani nie oddał nigdy żaden z poetów ziemskich w pieśni, ani go w pieśni godnie oddać zdoła. A ono takie (nie bójmy się prawdy, skoro już świat prawdy słowami malujemy):

Miejsce to zajmuje nie ubrana w barwy, ani w kształty, ani w słowa, istota istotnie istniejąca, którą sam jeden tylko rozum, duszy kierownik, oglądać może. Naokoło niej świat przedmiotów prawdziwej wiedzy. A że boski umysł rozumem się karmi i najczystsza wiedzą, a podobnie umysł każdej duszy, która chce przyjmować to, co jej odpowiada, przeto każda się radością napęla, kiedy byt od czasu do czasu zobaczy, widokiem prawdy się karmi i rozradowuje, aż ją obręcz drogi znowu na to samo miejsce przyniesie. A podczas tego obiegu ogląda

sprawiedliwość samą, ogląda władzę nad sobą, ogląda wiedzę nie tę, która się zwolna tworzyć musi, a jest różna E o różnych rzeczach, które my dziś bytami nazywamy, ale wiedzę rzeczywiście istniejącą, o tym, co jest istotnym bytem. I inne tak samo istotne byty ogląda, a tym się nakarmiwszy, z powrotem się w głąb wszechświata zanurza i do domu wraca. A kiedy wróci do domu, woźnica konie u żłobu stawia, ambrozję im rzuca a nektarem poi.

Oto jak żyją bogowie. A z innych dusz taka, co najlepiej za bogiem szła i była mu najpodobniejsza, ponad głowę woźnicy w miejsce poza niebem zagląda i drogę okrężną odbywa, ale jej konie przeszkadzają ciągle, tak że ledwie się może bytom rzeczywistym przyjrzeć. A inna raz się podnosi, raz zniża; konie jej patrzeć nie dają, więc jedno zobaczy, a drugiego nie dojrzy. A inne za nią, choć się wszystkie rwą do góry, nie mają sił dotrzymać kroku, toną w tłumie, który je okrężną drogą niesie, depcą się nawzajem i roztrącają, bo się jedna ciśnie przed drugą. Robi się ciżba, hałas, ścisk i pot okropny. Przez niedołęstwo woźniców niejedna tam zostaje kaleką; niejednej się skrzydła połamią. Wszystkie razem zmordowane strasznie, jako iż niegodne były bytu rzeczywistego oglądać, odchodzą, a odszedłszy pożywają pokarm prawdopodobieństwa. A czemu się tak rwą gwałtownie, żeby oglądać zagony prawdy, widzieć, gdzie one są? to dlatego, że tam, właśnie na tym łanie, rośnie pokarm, którego najlepsza część duszy potrzebuje; z niego nabierają siły skrzydła, które duszę unoszą do góry.

A oto prawo Konieczności: Jeśli która dusza, za bogiem w ślad idąc, zobaczy coś ze świata prawdy, nic się jej stać nie może aż do następnego obiegu i jeśli to zawsze potrafiła, nigdy żadnej szkody nie poniesie.

Ale jeśli nie zdoła dociągnąć do szczytu i nic nie zobaczy, a przypadkiem jakimś napije się niepamięci i złością się ciężką napełni, a ociężała pióra straci i na ziemię spadnie, nie wolno jej wtedy wejść w żaden organizm zwierzęcy przy tych pierwszych narodzinach; prawo nakazuje, żeby ta, co najwięcej zobaczy, weszła w zarodek człowieka, który będzie filozofem albo będzie oddany pięknu, muzom jakimś lub miłości, a druga w ciało króla, który praw słuca, wojownika lub władcy, trzecia w polityka, gospodarza, wielkiego przedsiębiorcy, czwarta wejdzie w zapalonego gimnastyka albo jakiegoś lekarza, piątej żywiołem będą wróżby i misteria, szóstej żywot przypadnie twórcom lub naśladowcy, siódmej rzemiosło lub rola, ósma to będzie sofista lub mówca ludowy, dziewiąta? tyran. A w tych wszystkich żywotach, kto się dobrze prowadzi, lepszy los dostaje w udziale, a kto źle, ten gorszy.

A na to samo miejsce, skąd przychodzi dusza każda, nie wróci żadna, nim dziesięć tysięcy lat minie. Bo nie odrosną jej pióra prędeż, chyba że się ktoś filozofii bez kruczków oddawał albo kochał młodych ludzi jak filozof. Takie dusze po trzecim okresie tysiącletnim, jeśli trzy razy z kolei taki żywot wybrały, dostają pióra na nowo i w trzytyśiącnym roku odlatują. A inne, kiedy pierwszy żywot ukończą, idą na sąd. A po sądzie jedne do więzień podziemnych idą karę odbywać, a inne, łżejsze po wyroku, odchodzą w jakieś miejsce wszechświata, gdzie pędzą żywot taki, na jaki w ludzkiej postaci zasłużyły. A po tysiącu lat przychodzą jedne i drugie ciągnąć losy i wybierać nowe życie. A wybiera każda takie, jakie chce. Tam i w zwierzęce ciało dusza człowieka przechodzi, a ze zwierzęcia, które kiedyś było człowiekiem, znowu w człowieka wstępuje. Ale ta, która nigdy prawdy nie oglądała, nigdy do tej nie przyjdzie postaci. Bo człowiek musi rozumieć pojęcia rodzajów, kiedy rozumowanie od wielu spostrzeżeń rozpoczyna, a potem je myślą w jedno zbiera. A to jest przypominanie sobie tego, co niegdyś oglądała nasza dusza, kiedy z bogiem wędrowała i nie patrzyła nawet na to, co my dziś rzeczywistością nazywamy, kiedy wychylała głowę w sferę bytu istotnego. Toteż słusznie jedynie tylko dusza filozofa ma skrzydła. Bo jej pamięć zawsze wedle sił do tego się zwraca, co nawet bogu boskości użycza. Człowiek, który w takich przypominaniach żyje jak należy i doskonałych zawsze święceń dostępuje, tylko on jeden istotnie doskonałym się staje. A że o ludzkich sprawach zapomina, a z tym, co boskie, obcuje, gani go wielu jako narwańca, ale że bóg w nim mieszka, o tym nie wiedzą ci, których jest wielu.

Wszystko to, cośmy dotąd mówili, tyczy się czwartego rodzaju szaleństwa, którym człowiek dotknięty, jeśli piękność ziemską zobaczy, przypomina sobie piękność prawdziwą i oto skrzydła mu odrastają; on je rozpinać usiłuje i chciałby wzlecieć, a nie może; tedy, jak ptak, w górę tylko patrzy, a że nie dba o to, co na dole, przeto go ludzie biorą za wariata.

Ze wszystkich szaleństw takie obłąkanie najlepsze i z najlepszych źródeł spływa na człowieka wprost albo się go człowiek skądś nabawia i kocha piękno, a ludzie mówią, że jest kochliwy. Bo, jakeśmy mówili, w naturze każdej duszy człowieka leży oglądanie bytów; inaczej by nie była weszła w nasze ciało. Ale przypomnieć sobie z tego, co tu, rzeczy z tamtego świata, nie każda dusza równie łatwo potrafi, bo niejedna za krótko widziała to, co tam, a inna, spadłszy tu, nie miała szczęścia i jakimś podobieństwem zwiedziona tknęła się grzechu i zapomina o tym świętym, co kiedyś oglądała. Mało która pamięta należycie. I taka, jeśli kiedy zobaczy coś podobnego do tego, co tam, zapamiętywa się i już nie panuje nad sobą i nie wie, co się z nią dzieje, bo nie rozpoznaje należycie swego stanu.

Toteż sprawiedliwość i władza nad sobą i inne wartości duchowe nie mają swych odbłasków w podobiznach ziemskich; przeto z trudem tylko, i to nieliczni ludzie patrząc, jak przez zapocone szkła, na ich wizerunki tutaj umieją dojrzeć rodzaj przedmiotów odbitych.

A piękno wtedy można było widzieć w pełnym blasku, kiedyśmy wraz z chórem istot szczęśliwych błogosławione widowisko oglądali; my tuż za Zeusem, a inni za innymi bogami; kiedyśmy święceń dostępowali, otwierających tajemne bramy szczęścia najwyższego, kiedyśmy w obchodzie owym udział brali nieskalani i nie znali jeszcze zła, jakie na nas później przyszło, i owe niepokalane, proste, niezmiennie i błogosławione tajemnice oglądali z bliska w blasku przeczystym, czyści sami i nie pogrzebani jeszcze w tym, co dziś ciałem nazywamy, a nosimy to na sobie jak ostrygi w skorupach zamknięte.

Niechże pozdrowiona będzie ta pamięć, przez którą, tęskniąc za tym, co wtedy, mówiliśmy teraz o tym trochę dłużej. A o piękności tośmy już mówili, że między tamtymi świeciła jako byt, a my tutaj przyszedłszy chwytamy ją najjaśniejszym ze zmysłów naszych: blask od niej bije świetny. A najbystrzejszym ze zmysłów naszych cielesnych jest wzrok. Rozumu nim widzieć nie można, bo straszne by stąd wynikały szaly miłosne, gdyby coś takiego, jak rozum, dawać mogło oczom swe wierne odbicie albo gdyby je dawał jakiś inny byt kochania godny. Sama tylko piękność ma ten przymiot. Los nam ją najjaśniej widzieć pozwolił i najgoręcej kochać. Toteż człowieka, który zbyt dawno odebrał one tajemne święcenia, albo człowieka zepsutego nie bardzo ciągnie stąd do tamtego świata, do piękności samej, kiedy ogląda jakiś ziemski przedmiot, nazwę piękności noszący.

On się do piękności nie modli oczyma, ale rozkoszy oddany okraciem się na nią pcha, jak czworonożne zwierzę, i brać ją chce; a butą uniesiony, nie boi się, i nie wstydzi szukać rozkoszy nawet przeciw naturze. Ale ten, który świeżo przeszedł święcenia, a wiele tam na tamym świecie widział, kiedy zobaczy twarz jakąś lub postać do bogów podobną, która piękność dobrze naśladuje, to naprzód dreszcz po nim chodzi, coś z owych lęków tam wtedy. A potem patrzy na nią, modląc się oczyma jak przed ołtarzem bóstwa i gdyby się nie bał, że go za kompletnego wariata wezmą, kładłby jak przed posągami, jak przed bogiem samym, ofiary u stóp kochanka. Zobaczył go, a oto po pierwszym dreszczu odmiana. Pot go oblewa i gorącość go ogarnia B niezwyczajna. Bo oto weszły weń przez oczy promienie piękna i rozgrzały w nim soki odżywcze dla piór. A gdy się soki ogrzeją, zaczyna tajać twarda powłoka, w której od dawna zarodki piór zamknięte tkwiły, a kielkować nie mogły. Kiedy teraz pokarm napływa, zaczynają pęcznić i od korzonków rosnać trzony piór po całej duszy, bo cała była niegdyś w piórach.

Więc kipi w niej teraz wszystko i wytryska, i tak xxii jak ten, któremu zęby wyrastają, jakieś ma swędzenia i ból w mięśniach, tak samo czuje się dusza człowieka, który zaczął pióra puszczać. Coś w niej kipi i coś się burzy, i boli, i łechce, kiedy pióra rosną. I tylko kiedy na piękność kochanka patrzy i bierze w siebie cząstki, które z niego promieniami idą, a nazywają się urokiem, natenczas się rozplywa i rozgrzewa, przestaje się męczyć i napełnia się radością.

Ale gdy się oddali, przeschnie, zysychają się, krzepną i zatykają ujścia, którymi pióra wychodzić miały, i zarodki piór pozamykane w swoich torebkach, a skropione urokiem, tłuc się zaczynają na podobieństwo tętnic i wciskać ostrzami w ujścia swoich komór tak, że dusza ze wszech stron tysiącem żądał dżgana wścieka się i cierpi. A kiedy sobie przypomni to, co piękne, raduje się. Miesza się w niej radość i wściekłość i stąd jej rozpacz; dziwnie głupi E stan wewnętrzny: człowiek nie wie, co się z nim dzieje, i jest wściekły. Chodzi jak wariat i ani w nocy spać, ani w dzień sobie miejsca znaleźć nie może. Tęskni i goni tam, gdzie się spodziewa zobaczyć tego, co ma piękność.

A gdy zobaczy i weźmie w siebie strumienie uroku, topnieją skrzepy, ustają na chwilę owe żądła i męki, a przychodzi słodka chwila rozkoszy najwyższej. Toteż odchodzić od niego nie chce za nic w świecie i kochanka ceni nade wszystko.

Zapomina o matce i braciach, i o znajomych najbliższych; nie dba o to, że się majątek zaniedbany rozlatuje, nie zważa na opinię i za nic ma wszelkie normy przyzwoitości, których poszanowaniem niegdyś tak się chlubił: gardzi wszystkim; chce tylko służyć ukochanemu, i tak blisko niego spać, jak tylko można. Bo nie tylko nabożeństwo jakieś ma do tego, który piękność posiada, ale w nim lekarza znaj duje na najcięższą słabość swoją.

Ten stan, chłopczyku piękny, stan ten, o którym mówię, ludzie Erosem nazywają, a jak go zwą bogowie, będziesz się może śmiał, kiedy ci powiem, boś młody. Zachowały się bowiem dwa wiersze, prawdopodobnie ze szkoły homerydów, z których jeden trochę jest wolny zarówno w treści, swej, jak i w formie. A mówią tak: Ludzie skrzydlatym Erosa zwą, a bogowie Zwą go latawcem, bo wiecznie piórka go świerzbią do lotu. Wolno w to wierzyć, a wolno i nie; ale w każdym razie, takie są kochania przyczyny i takie są uczucia kochanków.

Ktoś, kto na ziemię spadł z orszaku Zeusa, potrafi znieść i cięższe ataki Skrzydlatego. Inaczej ci, którzy byli sługami Aresa i za nim niegdyś chodzili. Tych kiedy Eros napadnie, a zdaje się im, że ich w czymś krzywdzi kochanek, gotowi mordować zaraz i poświęcić siebie wraz z kochankiem na ołtarzu bóstwa. A podobnie, jeśli kto należał do chóru innego boga, to tego znowu czci i naśladuje jak może, na D wzór jego obcuje z tymi, których kocha, i do innych się podobnie odnosi, jak długo nie jest zepsuty, a pierwszy dopiero żywot tutaj spędza. A miłość ziemską wybiera każdy inaczej, zależnie od charakteru, i jakby kochanek bogiem był dla niego, tak go każdy, niby posąg bóstwa, rzeźbi i przyozdabia, i czci, i na cześć jego święta obchodzi szalone.

Więc towarzysze Zeusa szukają zawsze w duszach swych kochanków czegoś, co by Zeusa przypominało. Patrzą więc, czy ktoś ma w swej naturze pierwiastki filozoficzne i władcze, a jeśli takiego znajdą i pokochają, robią wtedy wszystko, żeby kochanek tych cech nabrał w całej pełni. I jeśli się przedtem tą sztuką nie zajmowali, zabierają się do niej teraz, uczą się jej, skąd tylko mogą, i na własną rękę próbują dusze kochanków zgłębiać i rozwijać. A chcąc we własnym wnętrzu odkryć po śladach naturę bóstwa opiekuńczego, dochodzą z czasem do tego; bo z konieczności patrzą ustawicznie w twarz boga i stykają się z nim pamięcią; przeto w nich bóg wstępuje i oni biorą z niego charakter i naśladują jego sprawy, o ile człowiek w ogóle może wziąć w siebie i mieć coś z boga. A przypisują to wpływowi osób ukochanych; za czym je jeszcze więcej kochają. I chociaż sami z Zeusa czerpią, jak bachantki przelewają wszystko na dusze osób wybranych, a teraz im coraz to bliższych, i starają się o to, żeby możliwie najwierniej przypominały ich boga.

Ci, którzy za Herą szli, szukają natur królewskich, a jeśli którą znajdą, tak samo z nią postępują.

A którzy za Apollonem lub jakim innym bogiem, ci znowu w ślady swego boga wstępując szukają chłopca na swoją modłę, a jeśli im się uda go znaleźć, naśladują bóstwo sami i nakłaniają do tego kochanków; wdrażają ich w sprawy swego bóstwa i starają się ich w miarę sił do istoty bóstwa doprowadzić. Tam nie ma miejsca na zazdrość ani na ordynarne sceny; całe ich postępowanie zmierza tylko do tego, żeby jak największe i jak najbardziej c wszechstronne podobieństwo stworzyć między kochankiem a sobą i bogiem, którego czczą.

Więc piękne to usiłowania i święcenia wstępne u tych, którzy prawdziwie kochają; jeśli je skutek pożądany uwieńczy, wówczas te usiłowania przyjaciół, cierpiących na szal Erosa, szczęściem się stają dla osób ukochanych, o ile się wziąć dadzą. A bierze się ludzi wybranych w taki sposób:

Jakieśmy na początku tej opowieści na trzy części każdą duszę podzielili: dwie niby na kształt koni, a trzecia na kształt woźnicy, zostaliśmy i teraz przy tym porównaniu. Z koni, zaś powiedzieliśmy, jeden dobry jest, a drugi nie. Ale na czym polega dobroć jednego, a złość drugiego, tegośmy nie przechodzili; więc powiedzmy teraz. Otóż ten z nich, który lepsze ma stanowisko, kształty ma proste a proporcjonalne i zgrabne; wysoko nosi kark, nos ma łagodnie zgarbiony, białą maść, czarne oczy; ma ambicję, ale ma i władzę nad sobą, i wstyd w oczach. Lubi zasłużoną chwałę; batoga nie potrzebuje, dobre słowo mu wystarcza. A drugi krzywy, gruby i lada jako związany; twardy ma kark, krótką szyję, nos do góry zadarty, czarną sierść, ogień w krwi namiętnych oczach; buta i bezczelność, to jego żywioł. Nie słyszy całkiem, bo ma kudły w uszach; ledwie że bicza i ościenia posłucha.

Więc kiedy woźnica ujrzy jakąś zjawę miłosną i żar mu duszę ogarnia, kiedy mu tęsknota pierś rozpięra a żądła lechcą na wszystkie strony, jeden koń, który zawsze słucha woźnicy, wtedy także wstydem się kieruje i sam siebie zatrzymuje, żeby nie wskoczyć przednimi nogami na kochankę; za to drugi nie zważa na ukłucia ani razy, których mu woźnica nie szczędzi, i w dzikich podskokach pędzi wprost przed siebie. Męczy się z nim strasznie jego sąsiad w zaprzęgu; rady mu nie może dać i woźnica. On ich rwie wprost na kochankę, żeby tam odświeżyć wspomnienie wdzięków Afrodyty. A ci obaj oburzają się zrazu i ciągną w przeciwną stronę, bo ten ich zmusić chce do bezcelestwa straszego. W końcu, kiedy wszystko nic nie pomaga, idą za nim; on ich wlecze za sobą. Już ustąpili: już się godzą czynić, co im każe. Zbliżają się do kochanki i oto staje przed nimi jego postać jasna. Kiedy ją ujrzal woźnica, błyskawicą mu wtedy przed oczyma staje wspomnienie piękności; myśl jego ulatuje do jej istoty i ogląda ją znowu: ona tam stoi obok władzy nad sobą, tam na świętych stopniach. Myśl jego przejrzała i lęk ją oblatuje święty; więc pada na wznak i tym samym szarpie w tył cugle tak mocno, że oba konie stają dęba na zadach. Jeden z nich rad, bo nie ciągnął w stronę przeciwną, a tamten butny, bestia, nierad bardzo. Cofają się jednak oba; jeden ze wstydu i strachu kroplami potu skrapla całą duszę, a drugi, kiedy mu już uzda warg nie rani a upadek wstecz nie grozi, ledwie że tchu nabral, ciskać się zaczyna w pasji i obelgi miotać; od tchórzów wymyśla woźnicy i towarzyszowi w zaprzęgu, że to ze strachu i nie po męsku popsuli szyki i złamali umowę. I znowu ich chce gwałtem, wbrew ich chęci, naprzód wlec i ledwie im ustąpić raczy, kiedy się proszą, żeby im to na następny raz odłożył.

Kiedy termin umówiony przyjdzie, oni udają, że zapomnieli, ale on go przypomina i znowu gwałt im zadaje, rzy, wlecze za sobą i wymusić chce na nich zbliżenie do chłopaka w takiej samej myśli jak poprzednim razem. Kiedy już są blisko, spuszcza łeb, stawia ogon do góry, bierze wędzidło na kiel i rwie naprzód bez pamięci i wstydu. Woźnicy tym razem jeszcze gorzej, toteż się jeszcze gwałtowniej rzuca wstecz, jak u mety wyścigów, i tym gwałtowniej butnej bestii munsztuk z zębów wyrywa, język mu przebrzydły i paszczkę do krwi zdziera, a zad i stopy w ziemię wpiera; niech się bestia męczy.

Po kilku takich lekcjach pokornieje butna szelma i zaczyna słuchać przezornego woźnicy, a kiedy piękną postać zobaczy, wtenczas ginie ze strachu. Odtąd zaczyna dusza tego, który kocha, chodzić ze wstydem i czcią, i z obawą śladami ukochanej osoby.

Kiedy zaś człowiek, który nie udaje miłości, ale doznaje tego uczucia naprawdę, boskim kultem otacza wybrańca, ten żywi wprawdzie dla niego pewną naturalną sympatię, jednakże trzyma go zrazu z daleka, może i dlatego, że między kolegami kiedyś plotka krążyła o tym, który kocha, i mówiono, że się nie wypada wdawać w poufalsze stosunki na tle erotycznym. Z czasem jednak wiek i konieczność robi swoje i dochodzi do zbliżenia między nimi.

Bo nigdzie nie jest napisane, żeby się tylko źli ludzie musieli do siebie zbliżać, a ludzie dzielni nie mogli. Kiedy się zaś stosunki i rozmowy częstsze nawiążą, wybrany spostrzeżąc ku swemu wielkiemu zdumieniu coraz nowe objawy życzliwości ze strony zakochanego i zaczyna dochodzić do przekonania, że wszyscy inni przyjaciele i bliscy nic mu właściwie nie dają w porównaniu z tym człowiekiem, w którego bóg wstąpił.

A kiedy ten dłuższy czas tak postępuje i zbliża się do niego, i styka z nim w salach gimnastycznych i gdzie indziej także, wtedy bicz zaczyna źródło owych promieni, które Zeus, w Ganimesesie zakochany, urokiem nazwał, i strumień ich obfity płynie ku temu, który kocha, wnika weń i wypełnia go po brzegi, a co zostaje, przelewa się, i tak jak wiatr albo echo jakieś od gładkich, a twardych ciał odbite znowu tam wraca, skąd wyszło, tak i strumień piękności znowu do swego źródła przez oczy - zwyczajna to jego droga do duszy - wraca, a wróciwszy skrapla pory, którymi się pióra ciskać zwykły; pióra rosą i oto się dusza kochanki miłością napelnia. I on już kocha, ale jeszcze sam nie wie, kogo. I ani wie, co się z nim dzieje, ani by to powiedzieć potrafił. Ale jakby się od kogoś choroby oczu nabawił, nie wie, skąd mu to przyszło, i nie wie, że w przyjacielu swym, jakby w zwierciadle, siebie samego ogląda. Kiedy on jest przy nim, lżej mu, podobnie jak i tamtemu. A kiedy go nie ma, tęskni, podobnie jak i tamten za nim, bo jest w nim Eros Wzajemny. Ale on go nie nazywa miłością, tylko przyjaźnią, i myśli, że tak jest naprawdę. A pragnie podobnie jak tamten, chociaż nie tak silnie; pragnie go widzieć, czuć, ścisnąć, całować i leżeć razem blisko. I oczywiście, niezadługo zaczyna to wszystko robić.

Kiedy tak leżą koło siebie, wtedy nieposkromiony koń zakochanego ma niejedno do powiedzenia woźnicy. Za tyle trudów rad by sobie użył choć trochę. A koń wybrańca nic nie mówi, tylko żądza wre i nie wie sam, co ma robić, ścisną przyjaciela i całuje za to, że taki dla niego dobry strasznie; leżą blisko siebie, a jemu tak jest, że nie umiałby niczego ze swej strony odmówić tamtemu, gdyby on czegokolwiek chciał od niego. Ale towarzyszy w zaprzęgu i woźnica ciągną w stronę przeciwną. Mają wstyd i rozum.

Jeśli w nich tedy zwyciężą lepsze strony duszy, wiodące do porządnego życia i do filozofii, pędzą wtedy obaj żywot w szczęściu i w jedności, panują nad sobą-przyzwoici. Umieli w swojej duszy ujarzmić to, w czym się jej złó kryło, a wyzwolili to, w czym dzielność. Kiedy pomrą, skrzydła ich poniosą wysoko; palmę zwycięstwa wzięli w

jednym z trzech naprawdę olimpijskich zawodów, a większego dobra nad to ani rozsądek ludzki, ani szal boski dać człowiekowi nie zdoła.

Jeżeliby zaś podlejszy jaki żywot wiedli, nie mieli nic wspólnego z filozofią, a dbali o to, co pochwała wielu, łatwo się im trafić może, że gdzieś przy pijatyce czy innej wesołej sposobności owe nieposkromione rumaki dusze ich zastaną bez straży, zaciągną ich na jedno miejsce i ci wezmą wtedy i zrobią to, co wielu chwali jako szczęście. Później się to będzie powtarzało, choć nie często, bo się ich cała dusza na to nie zgadza.

W przyjaźni żyją z sobą i tacy dwaj, chociaż już nie tak, jak tamci, zarówno wtedy, kiedy ich miłość łączy, jak i potem, kiedy ich miłość przeminie. Uważają obaj, że sobie winni wzajem szacunek i zaufanie największe, którego się nigdy łamać nie godzi, a rozpoczynać wojnę. W chwili śmierci skrzydeł nie dostaną, ale wyjdą z ciał na poły w piórach; i tak dość wielka dla nich nagroda za szal miłości. Bo w ciemność i czeluści podziemne nie godziłoby się iść tym, którzy już stąpali po ścieżkach podniebnych. Więc gdzieś po jasnych drogach chodzą w szczęściu, a gdy godzina przyjdzie, równocześnie skrzydeł dostają - za to, że kiedyś kochali. Takie dary, takie skarby boskie przyniesie ci, chłopcze, przyjaźń tego, który kocha. A pieśczoła i poufałość z tym, co nie kocha, rozsądkiem śmiertelnym podłana, skąpą ręką znikome ziemskie dobra ci wydzieli, a czymś tak podłym i niskim, choć to u tłumu zaleta, duszę ci zaprawi, że się dziewięć 2 tysięcy lat będzie musiała około ziemi kręcić i pod ziemią jeszcze do rozumu nie przyjdzie.

Opowieść o trupach koło domu kata i o sprzecznych dążeniach ludzkiej duszy

Państwo

? Więc nie bez sensu ? dodałem ? będziemy uważali, że to są dwa pierwiastki i to różne od siebie; jeden, którym dusza rozumuje, nazwiemy jej intelektem, a drugi, którym ona kocha i łaknie, i pragnie, i innymi się żądzami unosi, ten czynnik nierozumny ? pożądlivością; ta się z pewnymi zaspokojeniami i z rozkoszami brata.

? No nie ? powiada ? to oczywiste, że możemy być tego zdania.

? Zatem te dwie postacie ? ciągnąłem dalej ? tkwiące w duszy, niechby u nas były określone. A tło pewnych wzruszeń i to, czym się gniewamy, czy to coś trzeciego, czy też może coś tej samej natury, co któreś z tych dwóch?

? Może być ? powiada ? że to będzie to drugie ? pożądlivość.

? Jednakże ? odpowiedziałem ? ja raz słyszałem coś i ja w to wierzę. Ze mianowicie Leontios, syn Aglajona, szedł raz z Pireusu na górę pod zewnętrzną stroną muru północnego i zobaczył trupy leżące koło domu kata. Więc równocześnie i zobaczyć je chciał, i brzydził się, i odwracał, i tak długo walczył z sobą i zastaniał się, aż go żądza przemogła i wytrzeszczywszy oczy przybiegł do tych trupów i powiada: "No, macie teraz, wy moje oczy przeklęte, napaście się tym pięknym widokiem".

? Ja to też słyszałem ? powiada.

? To opowiadanie świadczy jednak ? dodałem ? że gniew czasem walczy z żądzami; widać, że jedno jest czymś innym i drugie.

? Świadczy ? powiada.

Mit o Erosie

Uczta

- Tak jest, Eryksimachu ? powiedział Arystofanes ? ja rzeczywiście chcę inaczej mówić, niżes mówił ty i Pauzaniasz. Bo mnie się zdaje, że ludzie zupełnie nie pojmują potęgi Erosa. Przecież, gdyby ją rozumieli, największe by jemu byli pobudowali świątynie i ołtarze, i ofiary by mu składali największe, nie tak jak dziś ? nic się dziś podobnego nie dzieje, mimo że się to przede wszystkim dźać powinno. Bo to jest największy przyjaciel ludzkości i spomiędzy wszystkich bogów, to patron jest i lekarz specjalista od takiej choroby, którą tylko uleczyć potrzeba, a byłoby to największe szczęście dla rodzaju ludzkiego. Ja wam tedy spróbuje objawić potęgę Jego ? wy zaś innych nauczycielami będziecie! Ale naprzód musicie się zapoznać z naturą człowieka i zaznajomić nieco z dziwnymi jej kolejami. Albowiem dawniej natura nasza nie była taka, jak teraz, lecz inna. Bo naprzód trzy były płcie u ludzi, a nie, jak teraz, dwie: męska i żeńska. Była jeszcze i trzecia E prócz tego: pewien zlepek z jednej i drugiej, po którym dziś tylko nazwa jeszcze pozostała, a on sam znikł z widowni. Obojnakowa płeć istniała wtedy, a imię jej i postać złożone były z obu pierwiastków:

męskiego i żeńskiego. Dziś jej nie ma, tylko jeszcze w przezwiskach się to imię wala. Otóż cała postać człowieka każdego była krągła, piersi i plecy miała naokoło, miała też cztery ręce i nogi w tej samej ilości, i dwie twarze na okrągłej, walcowatej szyi, twarze zgoła do siebie podobne. Obie patrzyły is w strony przeciwne z 'powierzchni jednej głowy. Czworono było uszu, dwie okolice wstydlive i tam dalej, jak sobie to każdy łatwo podług tego sam wyobrazić potrafi. Chodziło to albo po prostu, tak jak dzisiaj, do woli w jedną albo w drugą stronę, albo, jeśli się taki bardzo śpieszył, robił tak jak ten, co koziołki przewraca i znowu na równe nogi staje; a że miał wtedy człowiek aż cztery pary odnóży, to się też odbijał dobrze i katalał bardzo szybko. A dlatego istniały trzy rodzaje ludzi, i to takie trzy, że męski pochodził od słońca, żeński od ziemi, a zlepek z nich obu od księżycy, bo i księżyc

ma w sobie coś z ziemi i coś ze słońca. A krągłe były te figury i kręciły się w kółko skutkiem pewnego podobieństwa do swoich rodziców. Strasznie to były silne istoty i okropnie wolnomyślne, tak że się zaczęły zabierać do bogów i do nich się odnosi to, co Homer mówi o Efialtiesie i Otosie, to, że już zaczęły robić schody do nieba, żeby potem bogów napastować.

Otóż Zeus i inni bogowie zaczęli się naradzać, co by im uczynić wypadało, i nie wiedzieli. Bo jakoś niesposób im było zabijać czy cały ród ludzki piorunami wystrzelać jak Gigantów? przepadłyby wtedy ofiary i objawy czci ludzkiej? a trudno było pozwolić bluźniercom dalej broić. Dopiero Zeus po namyśle niejaki, a ciężko mu to przychodziło, powiada: "Zdaje mi się, że mam sposób na to: ludzie zostaną przy życiu, a przestaną broić, skoro tylko będą słabsi. Ja ich teraz, powiada, poprzecinam, każdego na dwie połowy; zaraz się ich tym osłabi, a równocześnie będziemy z nich mieli większy pożytek, bo ich będzie więcej na ilość. Niech chodzą prosto, na dwóch nogach. A gdybyśmy uważali, że jeszcze broją i nie siedzą tam cicho, to ja ich znowu na połówki pokraję; niech skaczą na jednej nodze".

Rzekł i porozcinał ludzi na dwoje, tak jak owoce na kompot. A co którego rozetnie, zaraz Apollinowi; każe obrócić mu twarz i pół szyi w stronę rozcięcia, aby człowiek, zawsze mając to miejsce przed oczyma, był grzeczniej szy niż przedtem, a resztę też kazał wygoić. Więc Apollo twarzę im poobracał i po-ściągał ze wszystkich stron skórę na to, co się dziś brzuchem nazywa, tak jak się sakiewkę ściąga, a jeden otwór zostawił i zawiązał go na środku brzucha. Ten węzeł dziś nazywają pępkiem. Zresztą 19] wygładził liczne zmarszczki i wymodelował piersi jakimś takim przyrządem, którego szewcy używają, kiedy który gładzi skórę na kopycie. Kilka tylko fałdów zostawił naokoło brzucha i przy pępku, na pamiątkę dawnego stanu rzeczy. Po takim rozcięciu naturalnych całości tęsknić zaczęło każde za swoją drugą połową, zaczęły się rękoma obejmować poczęły i tak, chcąc się zrosnąć na powrót w uściskach, ginęły z głodu i z zaniedbania wszelkiego, bo nic nie B chciało żadne robić bez drugiego. A jeśli kiedy która z połówek umarła, a druga została sama na świecie, zaraz sobie innej poszukać musiały i spleść się z nią w uścisku, wszystko jedno, czy się trafiła połówka dawnej niewiasty, którą dziś nazywamy kobietą, czy też odcinek dawnego mężczyzny. I tak jedno po drugim ginęło.

Zaczem się Zeus nad nimi ulitował i nowy sposób wymyśliwszy, na przód im wstydlive okolice poprzemienił. Bo dotychczas i to nawet mieli na-zewnątrz i płodzili nie ku sobie, jak dzisiaj, ale do ziemi strzykali, jak piewiki polne, Poprzemienił im tedy na przód i tak zrobił, że dzisiaj płodzi jedno w drugim, to co męskie, w pierwiastku niewieścim; a to na to, żeby w uściskach nowe życie stwarzali, jeśli mężczyzna trafi na kobietę, a jeśli mąż na męża natrafi, aby przynajmniej żądzę gasili uściskiem, a wypocząwszy wracali do roboty i dbali o inne sprawy żywota. Więc już od tak dawnych czasów tkwi Eros w naszej naturze i do dawnej chce nas sprowadzać postaci; chce z dwojga ludzi dawną jedność stwarzać i tak leczyć naturę człowieka.

Więc każdy z nas jest jak kupon od biletu całego, bo każdy powstał, niby ryba płaszczka, wraz z kimś drugim z jakiejś dawnej, jednej istoty. Toteż zawsze każdy z nas swego kuponu szuka. Kogo od całego obojnaka odcięto, ten dzisiaj lubi kobiety, i wielu cudzołożników pochodzi z tego rodu; a podobnie i kobiety, które za mężczyznami przepadają, a w łóżu nie tylko męża przyjmują. Kobiety odcięte od dawnej żeńskiej istoty nie bardzo dbają o mężczyzn, a więcej się interesują kobietami, i stąd się wywodzą trybarki. Ale ci, których od męskiego odcięto pnia, gonią za męskim rodzajem i już jako mali chłopcy lubią te kupony męskie mężczyźni ścisnąć na posłaniu; to są najwybitniejsze jednostki pomiędzy chłopcami i młodymi ludźmi, to są najbardziej męskie natury. Niektórzy mówią o nich, że to bezwstydnicy, ale to przecież nieprawda. Bo to nie występuje u nich na tle bezczelności, tylko raczej na tle śmiałości, odwagi i pewnego męskiego zacięcia? kochają przecież to, co do nich samych podobne. Silnie za tym i fakty przemawiają. Przecież tacy młodzi panowie, jak tylko który podrośnie, zaraz się poświęca karierze politycznej, a kiedy który jest już dojrzałym mężczyzną, poświęca się wówczas pederastii, niewiele dbając o żonę i o robienie dzieci. B W celibacie żyje każdy, a jeden drugiemu wystarcza. Otóż tak w ogólności pederastia i czuła przyjaźń z mężczyznami powstaje w nas na tle przywiązania do tego, co jest nam samym pokrewne.

A jeśli kiedy taki czy jakikolwiek inny człowiek przypadkiem znajdzie swą drugą połowę, wtedy nagle dziwny na nich czar jakiś pada, dziwnie jedno drugiemu? zaczyna być miłe, bliskie, kochane, tak c że nawet na krótki czas nie chcą się rozdzielać od siebie. I niektórzy życie całe pędzą tak przy sobie, a nie umieliby nawet powiedzieć, czego jedno chce od drugiego. Bo chyba nikt nie przypuści, żeby to tylko rozkosze wspólne sprawiały, że im tak dziwnie dobrze być, za wszystko w świecie, razem. Nie. Ich obojga dusze, widocznie, czegoś innego pragną, czego nie umieją w słowa ubrać, i dusza swe pragnienia przeczuwa tylko i odgaduje. I nie wiedzieliby, co odpowiedzieć mają, gdyby tak nad ich łóżem Hefajstos z narzędziami stanął i zapytał: „Czego wy chcecie od siebie, ludzie?” Nie wiedzieliby, czego. Więc gdyby znowu pytał: "Prawda, że chcecie tak się złączyć w jedno, możliwie najściślej, żebyście się ani w dzień, ani w nocy nie rozłączali? Jeżeli E tego chcecie, ja was spoję i zlutuję w jedno, tak że dwojgiem będąc, jedną się staniecie istotą. I aż do skonu razem będziecie żyli, niby jeden człowiek, a potem, po wspólnej śmierci, będziecie w Hadesie nie dwojgiem istot, lecz znowu jednym cieniem. Więc patrzcie, czy tego pragniecie i czy będziecie zadowoleni, jeżeli wam się to pragnienie spełni." Gdyby to usłyszeli, z pewnością żadne by się nie wzbraniało ani by nie mówiło, że czego innego chce, ale by się każdemu po prostu zdawało, że słyszy to, do czego oboje już od dawna dążyli, do stopienia się w jedno w uściskach i ciał zespoleniu. A stąd to wszystko pochodzi, że dawna natura nasza była właśnie taka, że były z nas kiedyś skończone całości. Miłość jest na imię temu popędowi i dążeniu do uzupełnienia siebie, do całości. Jak mówię, liś przedtem były z nas jedności. A teraz nas bóg za karę porozdzielał, tak jak Spartanie Arkadów. Zaczem obawa zachodzi, że jeśli nie będziemy względem bogów grzeczni, drugi raz nas gotowi poprzecinąć i będziemy chodzili jak te płaskorzeźby profilowe na pomnikach przez środek nosa przerżnięte, niby te kostki dawane jako zakłady przyjaźni. Ale też dlatego każdy powinien drugiego do pobożności zachęcać; wtedy może się nam uda tego losu uniknąć, a swoją parę odnaleźć w imię Erosa i pod jego wodzą. Niech mu się nikt nie sprzeciwia? a sprzeciwia mu się każdy, kto sobie bogów naraża. Musimy być w przyjaźni, w dobrych stosunkach z bogiem, jeśli ma każdy z nas szczęśliwie znaleźć ulubieńca naprawdę od pary, co się dziś przecież nie każdemu udaje. Tylko niech sobie ze mnie Eryksimachos nie kpi, mówiąc, że ja to piję do Pauzanasza i Agatona. Bardzo być może, że oni właśnie do tych szczęśliwych należą, może być, że to i męskie natury, obydwa. Ja tylko tak ogólnie mówię i o

mężczyznach, i o kobietach także, mówię, że w tym by było zawarte szczęście człowieka, w doskonałej miłości, gdyby tylko każde z nas swego właściwego ulubieńca potrafiło znaleźć i powróciło do dawnego stanu. A jeśli to szczyt szczęścia, to na dziś dobrze się choć zbliżyć do niego i znaleźć jakiego ulubieńca do rzeczy. Gdybyśmy chcieli wielką pieśnią uczcić boga, dawcę tego szczęścia, Erosowi powinniśmy hymny śpiewać; my już dziś tyle jemu zawdzięczamy; on nas dzisiaj do tego ideału zbliża, on nam gorąco wierzy i każe, że jeśli tylko nie będziemy obrażali bogów, on nas przywróci do dawnego stanu, uleczy nas i obdaruje szczęściem.

Mit o naturze Erosa, dwóch sposobach osiągnięcia nieśmiertelności i o poznawaniu piękna

Uczta

Ale ja ci już dam pokój, a zacznę to, co mam powiedzieć o Erosie. Słyszałem to kiedyś od pewnej osoby z Mantinei, niejakej Diotymy. Ona się na doskonale rozumiała, a na wielu innych także, i kiedy Ateńczycy ofiarę składali przed ! zarazą, ona im na dziesięć lat tę chorobę odroczyła. Otóż ona mnie oświecała o sprawach Erosa i to, co mi mówiła, spróbuję ja wam powtórzyć zaczynając od tego, na cośmy się z Agatonem zgodzili, a potem już na własną rękę, jak tylko potrafię. I potrzeba istotnie, mój Agatonie, tak jakieś ty to rozdzielił, naprzód omówić, kto to jest Eros i jaki, a potem E mówić o jego dziełach.

Otóż myślę, że najłatwiej będzie przejść te rzeczy tak, jak ta niewiasta z dalekich stron ze mną je przechodziła pytaniami.

Bo ja jej też wtedy takie rzeczy mniej więcej mówiłem, jak teraz Agaton mnie, że Eros to wielki bóg i piękny, a ona mnie, tak samo jak ja jego, przekonała, że on ani piękny nie jest, jak mi się wydawało, ani dobry.

A ja powiadam: ? Diotymo! Co mówisz? to Eros szpetny jest i zły?

A ona: ? Nie mów tak brzydko! ? powiada ? alboż ci się wydaje, że jeśli coś nie jest piękne, to musi zaraz być szpetne?

? A pewnie.

? A jeśli coś nie jest mądre, to zaraz musi być głupie? Czy też nie uważasz, że istnieje coś pośredniego pomiędzy mądrością i głupotą?

? Cóż takiego?

? A mieć słuszność, ale nie umieć tego uzasadnić, nie wiesz ? powiada ? że to jeszcze nie jest wiedza, bo przecież w takim razie wiedza byłaby czymś nieuzasadnionym?

? Ale to i nieświadomość nie jest. Bo jeśli tak jest naprawdę, to jakże to może być nieświadomość?

? Więc takie słuszne mniemanie jest czymś pośrednim pomiędzy wiedzą i niewiedzą.

? Słusznie mówisz ? powiadam.

? No więc nie wnioskuj tak, że to, co nie jest B piękne, musi zaraz być brzydkie, albo że to, co nie jest dobre, jest złe. Tak samo jeśli uważasz, że Eros nie jest dobry ani piękny, nie myśl zaraz, że jest szpetny i zły, ale że to jest coś pośredniego pomiędzy jednym a drugim.

? A przecież ? powiadam ? wszyscy mówią, że to jest wielki bóg.

? Jak to wszyscy, powiadasz; wszyscy, którzy tego nie wiedzą, czy też i ci, którzy wiedzą?

? No, wszyscy, przecież.

A ona się roześmiała i powiada: ? Mój Sokrate-; się, jak to może być, żeby go wielkim bogiem nazywali ci, którzy go nawet za boga nie uważają?

? Kto taki? ? powiadam na to.

?- Ty pierwszy, a ja druga.

Ja mówię: ? Jak to rozumiesz?

A ona: ? Po prostu, bo powiedz mi: czy wszyscy bogowie są szczęśliwi, czy też ośmieliłbyś się twierdzić, że któryś z bogów nie jest szczęśliwy?

? A niechże Bóg broni ? powiadam.

? A prawda, że szczęśliwymi nazywasz tych, którzy posiadają to, co dobre i co piękne? ? Oczywiście.

? A już się godził, że Eros nie posiada tego, co dobre i co piękne, i dlatego pragnie tych rzeczy, ponieważ mu tego brak?

Zgodziłem się.

? Więc jakżeby mógł bogiem być ten, któremu los nie dał ani piękna, ani dobra?

? Rzeczywiście, że nie.

? A widzisz ? powiada ? że i ty nie uważasz Erosa za boga?

? Więc czymże by on mógł być? Człowiekiem?

? Nigdy w świecie.

? No więc czymże?!

? Tak, jakem przed chwilą mówiła: czymś pośrednim pomiędzy śmiertelnymi istotami i nieśmiertelnymi.

? Więc czym, Diotymo?!

? Wielkim duchem, mój Sokratesie. Cała sfera duchów jest czymś pośrednim pomiędzy bogiem E a tym, co śmiertelne.

? A jakąż on ma moc, do czego on jest?

? On jest tłumaczem pomiędzy bogami a ludźmi:

on od ludzi bogom ofiary i modlitwy zanoszą, a od bogów przynosi ludziom rozkazy i łaski, a będąc pośrodku pomiędzy jednym i drugim światem, wypełnia przepaść pomiędzy nimi i sprawia, że się to wszystko razem jakoś trzyma. Przez niego trafia do nieba i cała sztuka wieszczbiarska, i to, co kapłani robią, te ofiary i ceremonie; bo

bóg się z człowiekiem nie wdaje, tylko przez niego się odbywa wszelkie obcowanie, wszelka rozmowa bogów z ludźmi i w śnie, i na jawie. Kto się na tych rzeczach rozumie, ten jest człowiekiem uduchowionym, a kto się rozumie na czymś innym, na jakiejś sztuce czy jakimś tam rzemiośle, ten jest prostym robotnikiem. Istnieje wiele różnych duchów tego rodzaju, a jednym z nich jest i Eros.

? A któż jest jego ojcem ? powiadam ? i matką?

? Dużo o tym gadać ? powiada ? ale ja ci powiem. Otóż kiedy się urodziła Afrodyta, ucztę bogowie wyprawiali, a między innymi był tam i Dostatek, syn Rozwagi. Kiedy już zjedli, przyszła tam Bieda, żeby sobie coś wyżebrać, bo było wszystkiego w bród, i stanęła koło drzwi. Dostatek, upiwszy się nektarem (bo wina jeszcze nie było), poszedł do ogrodu Zeusa i tam usnął, ciężko pijany. A Biedzie się zachciało, jako iż była uboga, dziecko mieć od Dostatku; zaczęła się przy nim położyć i poczęła Erosa. I dlatego to Eros został towarzyszem i sługą Afrodyty, bo go na jej urodzinach spłodzono, a z natury już jest miłośnikiem tego, co piękne, bo i Afrodyta piękna. A że to syn Dostatku i Biedy, przeto mu taki los wypadł: Przede wszystkim jest to wieczny biedak; daleko mu do delikatnych rysów i do piękności, jak się niejednemu wydaje; niezgrabny jest i jak potyrce wygląda, i boso chodzi, bezdomny po ziemi się wala, bez pościeli sypia pod progiem gdzieś albo przy drodze, dachu nigdy nie ma nad głową, bo taka już jego natura po matce, że z biedą chodzi w parze. Ale po ojcu goni za tym, co piękne i co dobre, odważny, zuch, tęgi myśliwy, zawsze jakieś wymyśla sposoby, do rozumu dąży, dać sobie rady potrafi, a filozofuje całe życie, straszny czarodziej, truciciel czy sofista; ani to bóg, ani człowiek. I jednego dnia to żyje i rozkwita, to umiera znowu i znowu z martwych powstaje, bo jest w nim natura ojcowska. A co tylko zdobędzie, to na powrót traci, tak że ani braków nie cierpi, ani też nie opływa w dostatki. A jest pośrodku pomiędzy mądrością i głupotą. Bo to tak jest: Z bogów żaden nie filozofuje ani nie pragnie mądrości ? on ją ma; 204 ani żadna inna istota mądra nie filozofuje. Głupi też nie filozofują i żaden z nich nie chce być mądry. Bo to właśnie jest całe nieszczęście w głupocie, że człowiek nie będąc ani pięknym i dobrym, ani mądrym, przecie uważa, że mu to wystarczy. Bo jeśli człowiek uważa, że mu czegoś nie brak, czyż będzie pragnął tego, na czym mu, jego zdaniem, nie zbywa?

? Moja Diotymo ? powiadam ? a któż się w takim razie zajmuje filozofią, jeżeli mądry nie, B a głupi także nie?

? To ? powiada ? nawet i dziecko zrozumie, że ci, którzy są czymś pośrednim pomiędzy jednym i drugim. Do tych i Eros należy. Bo mądrość to rzecz niezaprzeczenie piękna, a Eros to miłość tego, co piękne; przeto musi Eros być miłośnikiem mądrości, filozofem, a filozofem będąc, pośrodku jest pomiędzy mądrością i głupotą. I temu też winno jego pochodzenie. Bo ojciec jego mądry jest i bogaty, a matka niemądra i biedna. Więc taka jest natura tego ducha, mój Sokratesie miły. A żeś sobie Erosa wyobrażał inaczej, to i nic dziwnego. Z tego, co c mówisz, uważam, żeś brał za Erosa przedmiot miłości, a nie miłość samą. I dlatego ci się Eros taki cudny wydawał. Tak, przedmiot miłości jest naprawdę piękny, subtelny, skończony i doskonały, Ale to, co kocha, wygląda inaczej, o tak, jakem ci opowiedziała.

A ja powiadam: ? Dobrze, moja pani, mówisz bardzo pięknie. Ale skoro Eros jest taki, jakież pożytek mają z niego ludzie?

? Zaraz ci to spróbuję wyłożyć. Wiesz już, jaki jest Eros, jakie jego pochodzenie, i powiadasz, że się odnosi do tego, co piękne. Ale gdyby nas ktoś zapytał: "Sokratesie i Diotymo, czym Eros jest w rzeczach pięknych?" Albo czekaj, powiem wyraźniej: Kto kocha piękno, ten chce czego?

A ja powiedziałem, że posiadać je pragnie.

Ona mi mówi, że ta odpowiedź wymaga jeszcze takiego pytania: Co będzie miał ten, kto posiedzie piękno?

Ja powiadam: ? Jakoś nie bardzo mam pod ręką odpowiedź na to pytanie.

? To tak ? powiada ? jakby cię ktoś zamiast o piękno pytał na przykład o dobro i mówił: "Mój Sokratesie, jeśli ktoś pragnie dobra, czego on pragnie?"

? Posiąść je ? powiedziałem.

? A jakże będzie takiemu, który posiedzie dobro?

? Tu już ? powiadam ? łatwiej znajdę odpowiedź: będzie szczęśliwy.

? Naturalnie, bo szczęście polega na posiadaniu dobra i całkiem już nie potrzeba pytać, po co ktoś chce być szczęśliwy; owszem, odpowiedź jest już, zdaje się, skończona.

? Słusznie mówisz ? powiadam.

? A to chcenie, ten popęd, ta miłość, uważasz, że jest wspólna wszystkim ludziom; uważasz, że wszyscy chcą zawsze dobro posiadać, i to jest miłość powszechna, czy jak mówisz?

? Tak, mówię, że to wspólne wszystkim.

? No więc dlaczego ? powiada ? mój Sokratesie, nie mówimy, że wszyscy ludzie kochają, skoro i każdy kocha właściwie to samo i zawsze, tylko o jednych mówimy, że kochają, a o drugich nie?

? Mnie to samemu dziwne.

? No, nie dziw się ? powiada ? odróżniamy przecież coś, jako istotę miłości, i to nazywamy wyrazem ogólnym, a różne jej inne rodzaje różnymi określamy nazwami.

? Jak to? ? zapytałem.

? Tak to. Wiesz na przykład, że twórczości jest wiele. Bo wszelka przyczyna, która wyprowadza jakąś rzecz z niebytu do bytu, nazywa się twórczością. Toteż i wszelka robota w dziedzinie każdej c sztuki jest twórczością, a wykonawca jej jest właściwie twórcą.

? Słusznie mówisz.

? A jednak ? powiada ? nie nazywamy ich wszystkich twórcami, tylko się jeden nazywa tak, a drugi inaczej. W zakresie zaś całej twórczości wyróżniamy dokładnie jeden jej rodzaj, a mianowicie twórczość w dziedzinie wierszy i tonów, i temu rodzajowi dajemy imię ogólne. Bo przecież to tylko nazywamy twórczością (w ścisłym znaczeniu) i tych tylko zwiemy twórcami, poetami, którzy się zajmują tym właśnie rodzajem twórczości.

? Słusznie mówisz ? powiedziałem.

? Otóż podobnie i z Erosem. W najgłówniejszym znaczeniu jest to wszelkiego rodzaju dążenie do dobra i do szczęścia. Najpotężniejsza to i najbardziej zwodnicza miłość. Ale jeśli czyjeś myśli i pragnienia są skierowane do pieniędzy, do gimnastyki czy do filozofii, wtedy się ani o miłości nie mówi, ani o miłośniku; tylko jeśli ktoś idzie w

pewnym szczególnym kierunku i jest tylko jej pewnym rodzajem zajęty, wtedy się mówi, że to miłość, kochanie, miłośnik.

? Zdaje mi się, że masz rację. ? A niektórzy mówią ? powiada ? że kto ko-E cha, ten szuka swojej drugiej połowy. A ja ci mówię, że miłość ani połowy nie szuka, ani całości, jeśli to nie będzie właśnie jakieś dobro. Tak, mój przyjacielu. Przecież człowiek rad by sobie i ręce, i nogi poobcinał, gdyby mu się zepsute wydawały i złe. Więc uważani, że człowiek niekoniecznie to kocha, co "jego własne", chyba że to "jego" jest właśnie dobre, a inne złe. Zatem nie co innego ludzie kochają, jak tylko dobro. Albo myślisz może inaczej?

? Ależ dla Boga, zupełnie nie inaczej!

? A powiedzże mi, czy można tak po prostu powiedzieć, że ludzie kochają dobro?

? Tak ? powiadam.

? Jak to? Więc nie należałoby dodać ? powiada ? że pragną je posiadać?

? A należałoby.

? A może nie tylko posiadać, ale i wiecznie je posiadać?

? A dodać by i to.

? A zatem w ogóle, przedmiotem miłości jest wieczne posiadanie dobra.

? Świętą prawdę mówisz ? powiedziałem.

? A więc skoro Eros zawsze ma taki przedmiot i cel, w jakim sposób należy zmierzać do niego, co trzeba zrobić, żeby go osiągnąć; jakie zabiegi i wysiłki zasługują na nazwę miłości? Jaka to robota? Umiałbyś powiedzieć?

?? Moja Diotymo, ręczę ci, że gdybym sam umiał, nie dziwiłbym się wtedy tak twojej mądrości i nie chodziłbym do ciebie uczyć się tego wszystkiego.

? Czekaj ? powiada ? ja ci powiem. Jest to zapładnianie tego, co piękne, zarówno co do ciała, jak i co do duszy.

? To brzmi tak tajemniczo, jak wyrocznia, i nic tego nie rozumiem.

? Czekaj, ja ci to powiem jaśniej. Jest w każ-

dym człowieku pewien płciowy pęd, cielesnej i duchowej natury. Toteż kiedy człowiek wieku pewnego dojdzie, zapładniać pragnie nasza natura. A nie może zapładniać tego, co szpetne, tylko to, co piękne. Boska to jest rzecz, i w istocie śmiertelnej te dwa tkwią nieśmiertelne pierwiastki: ten płciowy pęd i 'zapłodnienie. Nie masz ich nigdy tam, gdzie harmonia pewna nie zachodzi. Bo to, co brzydkie, nie harmonizuje z żadnym boskim pierwiastkiem, a to, co piękne ? tak. Więc Piękno prawo wszelkich narodzin wyznacza i narodzinom pomaga. Przeto gdy się ktoś pełen nasienia zbliży do tego, co piękne, jakaś go radość rozbiera i w rozkoszach zapładnia i tworzy; ale gdy co szpetnego napotka, jakiś go smutek mrokiem opada, on się jak wąż w kłębek zwija i wstecz się cofa, i odchodzi, i nie zapładnia, ale cierpi nosząc się dalej z nasieniem. Przeto kto nasienia i potęgi twórczej jest pełen, ten za pięknem goni, bo go ona od tego ciężaru uwalnia. Więc nie za samym pięknem goni miłość, tak jak ty myślisz, Sokratesie.

? A za czym?

? Za płodzeniem, za tworzeniem w pięknie.

? Niech będzie ? powiedziałem.

? Oczywiście rzecz ? mówi.

? Ale czemuż za płodzeniem właśnie?

? So w zapłodnieniu jest jakiś pierwiastek wiekuisty, nieśmiertelny, o ile to być może w istotach śmiertelnych. A przecież, wobec tego, na cośmy się zgodzili, musi człowiek i nieśmiertelności pragnąć, jeżeli przedmiotem miłości jest wieczne posiadanie dobra. Więc wynika to rzeczywiście z naszych rozważań, że się Eros i do nieśmiertelności odnosi.

Takich mnie rzeczy nauczała, ile razy ze mną mówiła o miłości, a raz mi takie zadała pytanie:

? Jak myślisz, Sokratesie, jaka jest przyczyna tej miłości i tego popędu? Przypatrz się, czy nie widzisz, jak szaleją ku sobie zwierzęta na wiosnę; czy które chodzi, czy pływa, wszystkie miłosny szal ogarnia i najpierw je w pary łączy, a potem im każe wychowywać młode, i stare gotowe wtedy w ich obronie walczyć z najmocniejszymi nawet wrogami, choćby same były bardzo słabe, gotowe nawet ginąć w ich obronie, gotowe głodem przymierać, byleby młode przy życiu zostały, gotowe na wszystko w świecie: bo ludzie ? powiada ? mógłby ktoś myśleć, robią to samo z wyrachowania, ale skąd taki miłosny nastrój u zwierząt? Potrafisz powiedzieć?

Ja znowu powiadam, że nie wiem.

A ona mówi: ? I ty się myślisz rozumieć kiedyś na miłości, jeżeli nawet tego nie pojmujesz?

? Toteż dlatego, jak powiadam, Diotymo, do ciebie przychodzę, bo widzę, że mi potrzeba nauczyciela. Powiedz mi tedy, jaka i tego przyczyna, i innych zjawisk w miłości?

? Zatem ? powiada ? jeżeli wierzysz, że miłość z natury swej zwraca się do tych przedmiotów, któreśmy tyle razy już wymieniali, nie powinienes się i temu dziwić. Bo tutaj, w tych wypadkach, podobnie jak i tam, natura śmiertelna szuka sobie wiekuistego bytu i nieśmiertelności. A znaleźć ją może tylko na tej jednej drodze, że zostawia inną jednostkę młodą na miejsce starej. Przecież taki sam proces sprawia, że każda poszczególna istota żyje i jest, jak się to mówi, jedna i ta sama. Przecież człowieka nazywają jednym i tym samym od dziecięcego wieku aż do późnej starości, mimo że w nim nic nie zostało z tych rzeczy, które miał z początku; on wciąż jedne rzeczy zyskuje, a drugie traci: czy to o włosach mowa, czy o wnętrznościach, kościach, krwi, czy w ogóle o całym ciele. I nie tylko z ciałem tak, ale i z duszą podobnie; przecież obyczaje, uczucia, przekonania, żądze, rozkosze, smutki, obawy, żadna przecież z tych rzeczy w nikim nie zostaje zawsze jedna i ta sama, ale jedne z nich giną, a drugie powstają. A jeszcze głupsze to, że i nauki nie tylko jedne w nas powstają, a drugie giną, i że nigdy nie jesteśmy jedni i ci sami nawet w zakresie nauk, ale się to samo dzieje z każdą poszczególną wiadomością. I dlatego się mówi o ćwiczeniach przez powtarzanie, że wiedza z nas uchodzi. Uchodzi, gdy coś zapominamy, a powtarzanie na powrót nową nam zaszczenia wiedzę w miejsce tej, która uciekła, i tak chroniąc ją od zraty sprawia, że się nasza wiedza zawsze jedną i tą samą wydaje. Tą drogą chroni się od zraty wszystko, co śmiertelne; nie tym sposobem, żeby zawsze i wszędzie było naprawdę jedno i to samo; to dane tylko temu, co boskie; ale dzięki temu, że zawsze to, co się starzeje i odchodzi, zostawia po sobie podobną, inną

młodą jednostkę. Takim to sposobem ? mówiła ? mój Sokratesie, nieśmiertelność zyskują śmiertelne ciała i inne wszystkie rzeczy. Inaczej nie mogą. Więc nie dziw się, że każde z natury już skanuje swą latorośl. Gwoli nieśmiertelności taka te latorośle otacza troska i miłość.

Kiedym to usłyszał, dziwne mi się te myśli wydały i powiedziałem: ? Doprawdy, Diotymo, ty jesteś bardzo mądra. Ale czy tylko naprawdę tak jest wszystko?

A ona, jak prawdziwy sofista, powiada: ? Bądź przekonany, Sokratesie, że tak jest. Ot, spojrzij tylko na ludzkie dążenie do sławy; dziwisz się temu, com powiedziała, ale zastanów się, pomyśl, jak się ludzie rozbijają w pogoni za rozgłosem, za tym, żeby zdobyć „sławę, co przetrwa wieki, a czasu ząb jej nie dotknie”, jak za nią gotowi w ogień skoczyć, prędzej niż za własnymi dziećmi, jak na to pieniądze nie skąpią i trudów nie żalują, i śmiercią nawet i sławę okupić gotowi. Bo czy ty myślisz, że Akestis byłaby śmierć za Admeta. poniosła, albo Achilles byłby ginął zaraz po Patrokle, albo nasz Kodros byłby naprzód ginął, byleby dzieciom królestwo zostawić, gdyby nie byli wierzyli, że "nie umiera pamięć czynów dzielnych" i że pozostanie po nich ta pamięć, którą my dzisiaj chowamy? Nigdy w świecie ? powiada. ? Owszem, jeśli ktoś co robi, to właśnie dla tej „nieśmiertelności czynów dzielnych”, dla „dobrego imienia u ludzi”, a im' kto dzielniejszy, tym bardziej. Bo tacy nieśmiertelność i kochają. I ci, którzy ciała zapładniać by radzi, do kobiet się więcej zwracają; tam każdy z nich swoją miłość zaspokaja, bo myśli, że płodząc dzieci „nieśmiertelność i pamięć, i szczęście” sobie zdobędzie. Taki, to „wszelkie zapasy na jutro ? dzisiaj już pragnąłby mieć”. Ale są też tacy ? powiada ? co wołają zapładniać dusze, tacy, których dusze jeszcze bardziej są pełne nasienia, aniżeli ciała: nasienia, które się w duszy rodzić winno i w dusze ludzkie trafiać. A cóż się winno rodzić w duszy? Rozum i wszelkie inne dzielności. To nasienie naprawdę sięją twórcy wszelkiego rodzaju, a z wykonawców ci, którzy mają dar wynalazczy. A największy rozum ? powiada ? to ten, który powinien państwem i domem rządzić, a któremu na imię panowanie nad sobą i sprawiedliwość. Więc kto tego nasienia od młodości jest pełen, ten coś boskiego ma w duszy. A kiedy mu wiek po temu nadejdzie, on zaraz płodzić i tworzyć pragnie, i też uważam, zaczyna chodzić tu i tam, i szukać piękna, które by zapładniał. Niczego brzydkiego nigdy zapładniać nie będzie. I woli ciała piękne niż brzydkie, bo ma nasienia wiele, i chętniej spotyka dusze piękne, dzielne, zdrowe, a najwięcej się cieszy, kiedy w kimś spotyka jedno z drugim złączone. Wówczas takiemu człowiekowi zaczyna dużo mówić o dzielności i jakim powinien być tęgi człowiek, i do czego się brać powinien, i w ogóle zaczyna go kształcić. Zetknął się z tym, co piękne, i obcować z nim zaczął. Tedy to, co w nim tęskniło od dawna i było tylko nasieniem, promieniować zaczyna i zapładniać zarówno wtedy, gdy obaj są razem z sobą, jak i wówczas, kiedy ich tylko pamięć wiąże; a co tylko który z nich wyda, to pielęgnować razem i chowają: tak że bez porównania silniejszy związek ich łączyć zaczyna, niż gdyby inne dzieci mieli, i trwalsza się między nimi przyjaźń zawiązuje, tak jak i dzieci ich piękniejsze są i mniej podległe śmierci niż czylekolwiek inne. I każdy by wołał raczej takie płody wydawać, aniżeli ludzkie dzieci płodzić, kiedy tylko popatrzy na Homera i Hezjoda, i tylu innych dzielnych twórców, i zazdrościć im zacnie, że takie cudne dzieci zostawili, dzieci, które im nieśmiertelną sławę i pamięć przyniosły, bo same są nieśmiertelne. Patrz, jakie Likurg dzieci dał Lacedemonowi: zbawców Sparty, a można powiedzieć, że nawet całej Hellady. Cześć sobie i u nas zdobył Solon przez to, że prawa zostawił, i inni wielcy po różnych krajach mężowie, zarówno pośród Hellenów, jak i u obcych narodów; sława E nagradza ich za to, że, niby objawienia jakie, tyle pięknych dzieł ludziom przynieśli, że tyle różnych dzielności to wszystko dzieci tych ludzi. Już nawet wiele świątyń tym mężom za dzieci te zbudowano, a za ludzkie potomstwo dotychczas chyba nikomu.

Aż dotąd w święte sprawy Erosa można było, x mój Sokratesie, nawet i ciebie łatwo wprowadzić; ale najwyższe, najświętsze jego tajemnice, z których to wszystko dopiero wypływa, nie wiem, czy potrafisz przeniknąć, nawet choćbyś i szedł śladami dobrego przewodnika. Bo widzisz ? powiada ? właściwy rozwój miłości tak wyglądać powinien:

Już za młodu chodzi człowiek za ładnymi ciałami i, jeśli go tylko dobrze przewodnik prowadzi, kocha jedno z tych ciał i tam płodzi myśli piękne; niedługo jednak spostrzega, że piękność jakiegokolwiek ciała i piękność innych ciał, to niby siostry rodzone, n i że jeśli ma gonić za istotą piękną, to musi dobrze oczy otworzyć i widzieć, że we wszystkich ciałach jedna i ta sarna piękność tkwi. A kiedy to zobaczy, zaczyna wszystkie piękne ciała kochać; tamten gwałtowny żar ku jednemu ciału przygasać w nim zaczyna, wydaje mu się liche i małe. A potem więcej zaczyna cenić piękność ukrytą w duszach niż tę, która w ciele mieszka; toteż jeśli w kim duszę zdrową znajdzie, choćby nawet jej ciało nieszczególnie kwitło, wystarcza mu to, i kochać zaczyna, i troszczy się, i znowu takie myśli płodzi, i szuka, kto by też młodego człowieka rozwinąć potrafił; z czasem musi zobaczyć piękno ukryte w czynach i prawach i znowu pozna, że i ono w każdym jest jedno i to samo. Wtedy mu się piękno ciał zacnie wydawać czymś małym i znikomym. Od czynów przejdzie do nauk, a kiedy całą ich piękność zobaczy, kiedy na takie skarby piękna spojrzy, nie będzie już niewolniczo wisiął u jednostkowej formy jego, nie będzie ślepo kochał piękności jednego tylko chłopaka albo człowieka jednego, albo dążenia; nie, on na pełne morze piękna już wypłynął i kiedy się na nim rozglądnie, płodzić zacnie słowa i myśli wielkie i wspaniałe, gnany nienasyconym dążeniem do prawdy; aż kiedy sił w tej pracy nabierze i hartu, jedyna mu się wiedza ukaże, która naprawdę mówi o tym, co piękne. Teraz mnie słuchaj ? powiada ? jak tylko możesz, uważnie! Ten, kto aż dotąd zaszedł w szkole Erosa, kolejne stopnie piękna prawdziwie oglądając, ten już do końca drogi miłości dobiega. I nagle mu się cud odsłania: piękno samo w sobie, ono samo w swojej istocie. Otwiera się przed nim to, do czego szły wszystkie jego trudy poprzednie; on ogląda piękno wieczne, które nie powstaje i nie ginie, i nie rozwija się ani nie więdnie, ani nie jest z jednej strony piękne, a z drugiej szpetne, ani raz tylko takie, a drugi raz odmiennie, ani takie w porównaniu z czymkolwiek, a z czym innym inne, ani też dla jednego piękne, a dla drugiego szpetne. I nie ukaże mu się piękno niby twarz albo ręce jakie, lub jakakolwiek cząstka cielesna, ani jako słowo, ni wiedza jakakolwiek, ani jako cecha jakiegoś, powiedzmy, stworzenia, ni ziemi, ni nieba, ani czegokolwiek E innego, tylko piękno samo w sobie niezmiennie i wieczne, a wszystkie inne przedmioty piękne uczestniczą w nim jakoś w ten sposób, że podczas gdy same powstają i giną, ono ani się pełniejszym nie staje, ani uboższym, ani go żadna w ogóle zmiana nie dotyka.

Więc kto od kochania chłopców zaczął, jak należy, a wznosząc się ciągle wyżej już to piękno oglądać zaczyna, ten stanął prawie u szczytu. Bo tędy biegnie naturalna droga miłości, czy ktoś sam po niej idzie, czy go kto drugi

prowadzi: od takich pięknych ciał z początku ciągle się człowiek ku temu pięknu wznosi, jakby po szczeblach wstępował: od jednego do dwóch, a od dwóch do wszystkich pięknych ciał, a od ciał pięknych do pięknych postępków, od postępków do nauk pięknych, a od nauk aż do tej nauki na końcu, która już nie o innym pięknie mówi, ale człowiekowi daje owo piękno samo w sobie; tak że człowiek dopiero przy końcu istotę piękną poznaje. Na tym szczeblu życia, Sokratesie miły? mówiła niewiasta z Wieszczego u Grodu W obcym kraju? na tym szczeblu dopiero życie jest coś warte: wtedy, gdy człowiek piękno samo w sobie ogląda. Gdybyś je kiedy ujrział, nie myślałbyś go porównywać z klejnotami, szatami, czy pięknymi chłopcami, ani z młodymi ludźmi. Dziś na takie rzeczy patrzysz ty i wielu innych i zaraz każdy równowagę traci, i gwałt, byle tylko ulubienca zobaczył i był z nim ciągle razem, gdyby tylko można, gotów nie jeść i nie pić, ale patrzeć tylko i nie odchodzić. A cóż myślisz? powiada? gdyby komu było dane zobaczyć piękno samo w sobie, nieskalane, czyste, wolne od obcych pierwiastków, nie splamione ludzkimi wnętrzościami i barwami, i wszelką lichotą śmiertelną, ale to nadświatowe, wieczne, jedyne, niezmiennie piękno samo w sobie. Co myślisz, czyby mógł jeszcze wtedy marne życie pędzić człowiek, który aż tam patrzy i to widzi, i z tym obcuje? Czy nie uważasz, że dopiero wtedy, gdy ogląda piękno samo i ma je czym oglądać, potrafi tworzyć nie tylko pozory dzielności, bo on nie z pozorami obcuje, ale dzielność rzeczywistą, bo on dotyka tego, co naprawdę jest rzeczywiste. A skoro płodzi dzielność rzeczywistą i rozwija, kochankiem bogów się staje, i jeśli komu wolno marzyć o nieśmiertelności, to jemu wolno. Takie to rzeczy, Fajdroisie, mówiła mi Diotyma i ja, proszę was, uwierzyłem. A skórom uwierzył, próbuję i innych przekonywać, że do osiągnięcia tego celu nikt lepiej niż Eros naturze ludzkiej pomóc nie potrafi. Nie łatwo przynajmniej znaleźć innego patrona. Toteż powiadam, że każdy powinien czcić Erosa, i sam go czcąc, a szczególnie się ćwicząc w miłości i innym to doradzam, a teraz i zawsze wielbię potęgę Erosa ze wszystkich moich sił. Przyjmij tedy, Fajdroisie, jeśli wola, tę mowę jako pochwałę Erosa, a jeśli nie, to ją nazwij, jak ci się tylko podoba.

Mit-alegoria jaskini

Państwo

Potem powiedziałem: - Przedstaw sobie obrazowo, jako następujący stan rzeczy, naszą naturę ze względu na kulturę umysłową i jej brak.

Zobacz! Oto ludzie są 'niby w podziemnym pomieszczeniu na kształt jaskini. Do groty prowadzi od góry wejście zwrócone ku światłu, szerokie na całą szerokość jaskini. W niej oni siedzą od dziecięcych lat w kajdanach; przykute mają nogi i szyje tak, że trwają na miejscu i patrzą tylko przed siebie; okowy nie pozwalają im obracać głów. Z góry i z daleka pada na nich światło ognia, który się pali za ich plecami, a pomiędzy ogniem i ludźmi przykutymi biegnie górą ścieżka, wzdłuż której widzisz murek zbudowany równoległe do niej, podobnie jak u kuglarzy przed publicznością stoi przepierzenie, nad którym oni pokazują swoje sztuczki.

- Widzę - powiada.

- Więc zobacz, jak wzdłuż tego murku ludzie noszą różnorodne wytwory, które sterczą ponad murek; i posagi, i inne zwierzęta z kamienia i z drzewa, i wykonane rozmaicie i oczywiście jedni z tych, co je noszą, wydają głosy, a drudzy milczą.

- Dziwny obraz opisujesz i kajdaniarzy osobliwych.

- Podobnych do nas - powiedziałem.

- Bo przede wszystkim czy myślisz, że tacy ludzie mogliby z siebie samych i z siebie nawzajem widzieć cokolwiek innego oprócz cieni, które ogień rzuca na przeciwległą ścianę jaskini?

- Jakimże sposobem? - powiada - gdyby całe życie nie mógł żaden głową poruszyć?

- A jeżeli idzie o te rzeczy obnoszone wzdłuż muru? Czy nie to samo?

- No, cóż.

- Więc gdyby mogli rozmawiać jeden z drugim, to jak sądzisz, czy nie byłiby przekonani, że nazwami określają to, co mają przed sobą, to, co widzą?

- Koniecznie.

- No, cóż? A gdyby w tym więzieniu jeszcze i echo szło od im przeciwległej ściany, to, ile razy by się odezwał ktoś z przechodzących, wtedy, jak myślisz? Czy oni by sądzili, że to się odzywa ktoś inny, a nie ten cień, który się przesuwa?

- Na Zeusa, nie myślę inaczej - powiada.

- Więc w ogóle - dodałem - ci ludzie tam nie co innego braliby za prawdę, jak tylko cienie pewnych wytworów.

- Bezwarunkowo i nieuchronnie - powiada.

- A rozpatrz sobie - dodałem - ich wyzwolenie z kajdan i uleczenie z nieświadomości. Jak by to było, gdyby im naturalny bieg rzeczy coś takiego przyniósł; ile razy by ktoś został wyzwolony i musiałby zaraz wstać i obrócić szyję, i iść, i patrzeć w światło, cierpiałby robiąc to wszystko, a tak by mu w oczach migotało, że nie mógłby patrzeć na te rzeczy, których cienie poprzednio oglądał. Jak myślisz, co on by powiedział, gdyby) mu ktoś mówił, że przedtem oglądał ni to, ni owo, a teraz coś bliższego bytu, że zwrócił się do czegoś, co bardziej istnieje niż tamto, więc teraz widzi słuszniej; i gdyby mu ktoś teraz pokazywał każdego z przechodzących i pytaniami go zmuszał, niech powie, co to jest. Czy nie myślisz, że ten by może był w kłopotcie i myślałby, że to, co przedtem widział, prawdziwsze jest od tego, co mu teraz pokazują?

- Z pewnością - powiada.

- Nieprawdą? A gdyby go ktoś zmuszał, żeby patrzył w samo światło, to bolałyby go oczy, odwracałby się i uciekał do tych rzeczy, na które potrafi patrzeć i byłby przekonany, że one są rzeczywiście jaśniejsze od tego, co mu teraz pokazują?

- Tak jest - powiada.

- A gdyby go ktoś - dodałem - gwałtem stamtąd pod górę wyciągał po kamieniach i stromiznach ku wyjściu i nie puściłby go prędzej, ażby go wywłócił na światło słońca, to czy on by nie cierpiał i nie skarżyłby się i nie gniewał, że go włoka, a gdyby na światło wyszedł, to miałby oczy pełne blasku i nie mógłby widzieć ani jednej z tych rzeczy, o których by mu teraz mówiono, że są prawdziwe?

- No nie - powiada - tak nagle przecież.

- I myślę, że musiałby się przyzwyczajać, gdyby miał widzieć to, co na górze. Naprzód by mu najłatwiej było dojrzeć cienie, potem w wodach odbicia ludzi i innych przedmiotów, ciała niebieskie i niebo sarno po nocy łatwiej by mógł oglądać patrząc na światło gwiazd i księżycy, niż po dniu widzieć słońce i światło słoneczne.

- Jakżeby nie?

- Dopiero na końcu, myślę, mógłby patrzeć w słońce; nie na jego odbicie w wodach i nie mieć go tam, gdzie ono nie jest u siebie, ale słońce samo w sobie i na swoim miejscu mógłby dojrzeć i mógłby oglądać, jakie ono jest.

- Koniecznie - powiada.

- Potem by sobie wymiarkował o nim, że od niego pochodzą pory roku li lata, i że ono rządzi wszystkim w świecie widzialnym, i że jest w pewnym sposobie przyczyną także i tego wszystkiego, co oni tam poprzednio widzieli.

- Jasna rzecz, że do tego by potem doszedł.

- Więc cóż? Gdyby sobie swoje pierwsze mieszkanie przypominał i tę mądrość tamtejszą, i tych, z którymi razem wtedy siedział, wspólnymi kajdanami skuty, to czy nie myślisz, że uważałby sobie za szczęście tę odmianę, którą przeszedł, a litowałby się nad tamtymi?

- I bardzo.

- A tam u nich przedtem może niejedyn zbierał od towarzyszków pochwały i zaszczyty, i dary, jeżeli najbystrzej umiał dojrzeć to, co mijalo przed oczami, i najlepiej pamiętał, co przedtem, co potem, a co równocześnie zwykło się było zjawiać i mijać, i najlepiej umiał na tej podstawie zgadywać, co będzie. Czy ty myślisz, że on by za tym tęsknił i zazdrościłby tym, których tamci obsypują zaszczytami i władzę im oddają? Czy też raczej czułby się tak, jak ten u Homera, i stanowczo by wołał "być na ziemi i służyć gdzieś u jakiegoś biedaka" i nie wiadomo jaką dolę znosić raczej, niż wrócić do poprzednich poglądów i do życia takiego jak tam?

- Ja tak myślę - powiada - że wolałby raczej wszystko inne znieść, niż wrócić do tamtego życia.

- A jeszcze i nad tym się zastanów. Gdyby taki człowiek z powrotem na dół zeszedł i w tym samym szeregu usiadł, to czy nie miałby oczu napełnionych ciemnością, gdyby nagle wrócił ze słońca?

- I bardzo - powiada.

- A gdyby teraz znowu musiał wykladać tamte cienie na wyścigi z tymi, którzy bez przerwy siedzą w kajdanach, a tu jego oczy byłyby słabe, zanimby nie wróciły do siebie, bo przystosowanie ich wymaga nie bardzo małego czasu, to czy nie narażałby się na śmiech i czy nie mówiono by o nim, że chodzi na górę, a potem wraca z zepsutymi oczami, i że nie warto nawet chodzić tam pod górę. I gdyby ich ktoś próbował wyzwalać i doprowadzać wyżej, to gdyby tylko mogli chwycić coś w garść i zabić go, na pewno by go zabili.

- Z pewnością - powiada.

- Otóż ten obraz - powiedziałem - kochany Glaukonie, trzeba w całości przyłożyć do tego, co się poprzednio mówiło. Więc to siedlisko, które się naszym oczom ukazuje, przyrównać do mieszkania w więzieniu, a światło ognia w nim do siły słońca. Wychodzenie pod górę i oglądanie tego, co jest tam wyżej, jeśli weźmiesz za wznoszenie się duszy do świata myśli, to nie zbłądzisz i trafisz w moją nadzieję, skoro pragniesz ją usłyszeć. Bóg tylko chyba wie, czy ona prawdziwa, czy nie. Więc jeżeli o to chodzi, co mnie się zdaje, to zdaje mi się tak, że na szczycie świata myśli świeci idea Dobra i bardzo trudno ją dojrzeć, ale kto ją dojrzy, ten wymiarkuje, że ona jest dla wszystkiego przyczyną wszystkiego, co słuszne i piękne, że w świecie widzialnym pochodzi od niej światło i jego pan, a w świecie myśli ona panuje i rodzi prawdę i rozum, i że musi ją dojrzeć ten, który ma postępować rozumnie w życiu prywatnym lub w publicznym.

- Mniemam i ja tak samo - powiedział - tak, jak tylko potrafię.

- Więc proszę cię - dodałem - podziel ze mną jeszcze i to mniemanie i nie dziw się, że ci, którzy tam zaszli, nie mają ochoty robić tego samego, co ludzie, tylko ich dusze chcą wciąż tam przebywać i tam dążyć. To chyba też naturalne, jeżeli i to jest zgodne z omówionym obrazem.

- To z pewnością naturalne - powiada.

- No cóż? A czy to, myślisz, dziwne, jeżeli ktoś od tych boskich widoków do marność ludzkich powróci, że nie wygląda wtedy jak ludzie i mocno wydaje się śmieszny, bo jeszcze słabo widzi, zanim się nie przyzwyczai do tutejszych ciemności, kiedy będzie musiał w sądach czy gdzieś indziej walczyć o cienie sprawiedliwości albo o bałwany, które tylko cienie rzucają, i stawać do zawodów o te rzeczy tak, jak je biorą ludzie, którzy Sprawiedliwości samej nie widzieli nigdy?

- To nie jest zgoła dziwne - powiedział.

- Gdyby ktoś miał rozum - dodałem - to by pamiętał, że dwojaki bywają zaburzenia w oczach. Jedne u tych, którzy się ze światła do ciemności przenoszą, drugie u tych, co z ciemności w światło. Więc gdyby wiedział, że to samo dzieje się i z duszą, to kiedykolwiek by widział, że się któraś miesza i nie może niczego dojrzeć, nie śmiałyby głupio, tylko by się zastanowił, czy ona wraca z życia w większej jasności i teraz ulega zaćmie, bo nie jest przyzwyczajona, czy też z większej ciemnoty weszła w większą jasność i zbyt ni blask ją olśnieniem, napełnia; wtedy by jej stan i jej życie uważał za szczęście a litowałby się nad tamtą. A gdyby się miał i z niej śmiać, to mniej śmieszny byłby jego śmiech nad nią niż pod adresem tamtej, która z góry, ze światła przychodzi.

- Mówisz w sam raz - powiada.

- Więc powinniśmy - dodałem - tak myśleć i o tych rzeczach, jeżeli to wszystko prawda, i że z wykształceniem zgoła nie tak stoi sprawa, jak to mówią pewni ludzie, którzy się ogłaszają. Oni mówią, że chociaż ktoś wiedzy nie ma w duszy, oni ją tam włożyć potrafią, jak by wzrok wkładali w oczy ślepe.

- Tak mówią - powiada.

- A nasza myśl obecna - ciągnąłem - wskazuje zdolność tkwiącą w duszy każdego człowieka i to narzędzie, którym się każdy człowiek uczy. Tak samo, jak oko nie mogło się z ciemności obrócić ku światłu inaczej, jak tylko wraz z całym ciałem, tak samo całą duszą trzeba się odwrócić od świata zjawisk, które powstają i giną, aż dusza potrafi patrzeć na byt rzeczywisty i jego pierwiastek najjaśniejszy i potrafi to widzenie wytrzymać. Ten pierwiastek nazywamy Dobrem. Czy nie?

- Tak.

- Więc tego właśnie - dodałem - dotyczyłaby umiejętność pewna - nawracania się; w jaki sposób najłatwiej i najskuteczniej zawrócić w inną stronę, nie o to chodzi, żeby człowiekowi wszczepiać wzrok, on go ma, tylko się w złą stronę obrócił i nie patrzy tam, gdzie trzeba, o to chodzi, żeby to zrobić najlepiej.

- Zdaje się - powiedział.

Metafora demokracji - okręt - a sytuacja filozofów w państwie

Państwo

(...) posłuchaj obrazu, abys jeszcze lepiej widział, jak ja się nie mogę obejść bez obrazowych porównań. Bo stosunek najprzystojniejszych filozofów do państw jest taki zawity i trudny, że nawet nie ma żadnej innej poszczególniej jednostki, która by zostawała do państwa w podobnym stosunku, tylko trzeba rysy tego stosunku zbierać z wielu jednostek, budując porównanie i obmyślając ich obronę, poddbinie jak malarze łączą rysy kół i jeleni, i tam innych zwierząt, kiedy swoje wytwory malują.

Więc weź pod uwagę takie oto zdarzenie? na wielu okrętach albo na jednym okręcie. Kapitan statku przewyższa wszystkich na okręcie wielkością i siłą, a tylko przygluchy jest i ma jakoś krótki wzrok, a na sztuce żeglarskiej też się mało rozumie. A żeglarze kłócą się z sobą o sterowanie. Każdy z nich uważa, że powinien siedzieć przy sterze, chociaż się nigdy sztuki sterowania nie uczył, ani nie potrafi wskazać tego, u kogo by się jej uczył, ani czasu, w którym by tę naukę pobierał. Oprócz tego oni twierdzą nawet, że się tej sztuki nauczyć nie można. A jeśli kto mówi, że można, c gotowi go zabić. Sami wciąż tylko kapitana oblegają, nastają na niego i robią co mogą, żeby im ster powierzył. A nieraz, jeśli on im nie ulega, tylko innym raczej, wtedy oni tych innych albo zabijają, albo ich wyrzucają z okrętu, a dzielnemu kapitanowi podają ziółka czarodziejskie na sen albo go upijają czymkolwiek, aby go z nóg zwalić, i panują nad okrętem, mają na swoje usługi wszystko, co na nim jest; piją i używają sobie w podróży po swojemu, oczywiście; a do tego chwalą jako znakomitego żeglarza i nazywają zawołanym sternikiem i znawcą okrętu każdego, kto potrafi razem z nimi rękę przykładać do tego, żeby im władza przypadła w udziale, kiedy zbałamucą albo gwałtem zmogą kapitana. Każdego innego oni ganią i mówią, że jest do niczego, a o prawdziwym sterniku nie mają bladego pojęcia, nie przeczuwają nawet, że on powinien się interesować porami roku i dnia, i niebem, i gwiazdami, i wiatrami, i wszystkim, co leży w zakresie umiejętności, jeżeli ma być naprawdę przygotowany do prowadzenia okrętu.

A żeby ktoś mógł okrętem kierować, czy tam zgodnie z wolą tych, czy owych, czy wbrew ich woli, tego, oni uważają, ani się wyuczyć, ani w tym wyćwiczyć nie można? wraz z umiejętnością sitemniczą. Kiedy się tak dzieje na okrętach, to czy nie myślisz, że o sterniku prawdziwym będą rzeczywiście mówili, że tylko w gwiazdy patrzy i w niebo, że dużo gada i że jest do niczego, ci, co w tych stosunkach płyną okrętami?

? Zapewne? odrzekł Adejmant.

? I ja sądzę? dodałem? że ci nie potrzeba szczegółowego rozbioru tego obrazu, aby dojrzeć, jak na nim widać stosunek państw do prawdziwych filozofów; ty rozumiesz i tak, co mam na myśli.

? Zapewne? powiada.

? Więc naprzód temu, który się dziwi, że filozofowie nie cieszą się czcią w państwach, pokaż ten obraz i spróbuj go przekonać, że byłoby rzeczą o wiele bardziej dziwną, gdyby się cieszyli czcią.

? Już ja mu pokażę? powiada.

? Więc i to, że ty prawdę mówisz, że na nic się szerokim kołem nie przydają najprzystojniejsi spośród oddanych filozofii. Ale o tę nieużyteczność, powiedz, żeby obwiniał tych, którzy filozofów nie używają, a nie tych przyzwoitych filozofów. Bo to przecież nie jest naturalne, żeby sternik miał prosić marynarzy, aby go raczyli słuchać, ani żeby mądrzy mieli pukać do drzwi ludzi bogatych. Kto ten dowcip powiedział, powiedział nieprawdę. A prawda naturalna jest ta, że jeśli choruje bogaty czy tam choruje ubogi, to jeden i drugi powinien pukać do drzwi lekarza, i tak samo każdy, komu potrzeba, żeby nim rządzono, do drzwi tego, który c rządzić potrafi, a nie żeby rządzący prosił rządzonych o to, aby sobą rządzić pozwolili; jeżeli on tylko jest naprawdę coś wart. Jeżeli tych, którzy dzisiaj w państwach rządzą, przyrównasz do tych marynarzy, o którychśmy przed chwilą mówili, to nie zbłądzisz, ani też, jeśli w tych, którym oni wszelkiej wartości odmawiają, że to niby próżniacy wpatrzeni w niebo, dojrzyysz sterników prawdziwych.

Mit o pierścieniu Gygesa

Państwo

Więc to, co naprzód miałem powiedzieć, o tym posłuchaj, co to takiego jest, i skąd się wzięła sprawiedliwość. Mówią przecież, że wyrządzanie krzywd jest z natury dobre, a doznawanie krzywdy? złe. Ale większym złem

góruje doznawanie krzywd, niż dobrem ich wyrządzenie. Tak że gdy się ludzie nawzajem krzywdzą i wzajemnych krzywd od siebie doznają, i kosztują jednego i drugiego, wtedy ci, którzy nie mogą jednego uniknąć, a na drugie sobie pozwolić, uważają za rzecz pożyteczną umówić się wzajemnie, że się nie będzie krzywd ani wyrządzało, ani doznawało.

Dlatego zaczęli prawa układać i umowy wzajemne i nazwali to, co prawem przepisane, czymś legalnym i sprawiedliwym. Takie jest pochodzenie i taka jest istota sprawiedliwości; ona jest czymś pośrednim pomiędzy tym, co jest najlepsze: jeżeli się krzywdy wyrządza, a nie ponosi kary, i tym, co najgorsze: kiedy pokrzywdzony nie może się mścić. Sprawiedliwość leży pośrodku pomiędzy jednym i drugim, więc jej nie kochają jako dobra, tylko ją cenią dlatego, że nie czują się na siłach, żeby krzywdy wyrządzać. Przecież, kto by to mógł robić i był mężczyzną naprawdę, ten by się z nikim na świecie nie umówił, że ani krzywd wyrządzać nie będzie, ani ich doznawać. Musiałby być szalony. Otóż to jest sprawiedliwość, Sokratesie, i taka jest jej natura, a skąd się wzięła, to jest tak, jak mówię.

Że ci, którzy ją praktykują, robią to niechętnie, dlatego tylko, że nie potrafią krzywd wyrządzać, to może najlepiej potrafimy dojrzeć, jeżeli coś takiego potrafimy zrobić w myśli: dajmy jednemu i drugiemu wolność? niech każdy z nich robi, co chce, i ten sprawiedliwy, i niesprawiedliwy. A potem pójdziemy w trop za nimi; zobaczymy, dokąd każdego z nich żądza zaprowadzi. Wtedy byśmy ich na gorącym uczynku schwytali, bo na jedno i to samo wychodziłby i sprawiedliwy i niesprawiedliwy? aby więcej mieć? do tego każda żywa istota z natury dąży, bo to jest dobro, a tylko prawo gwałtem ją ściąga do tego, żeby cenić równość mienia. Wolność, o której mówię, byłaby wtedy największa, gdyby każdy z nich posiadał taką moc, jaką miał mieć kiedyś Gygesa przodek Lidy języka. On był pasterzem, i służył u ówczesnego króla Lidii. Kiedy spadł wielki deszcz i przyszło trzęsienie ziemi, pękła ziemia w pewnym miejscu i utworzyła się rozpadlina w tej okolicy, gdzie on pasał owce. On to zobaczył, zdziwił się, zeszedł w jej głąb i Ujrzał dziwne rzeczy, o których bajki opowiadają, a między innymi i konia z brązu, pustego wewnątrz, który miał drzewiczki. Kiedy nachylił się przez nie do środka, zobaczył wewnątrz trupa, który się wydawał nadludzkiego wzrostu. Nie miał na sobie nic, tylko złoty pierścień na ręku. On ściągnął mu ten pierścień i wylazł stamtąd na górę.

Kiedy pasterze odbywali swoje zebranie zwyczajne, jak co miesiąca, aby królowi donieść, co się dzieje z trzodami, przyszedł i on i miał pierścień z sobą. Więc kiedy siedział pomiędzy innymi, obrócił przypadkiem nasadę kamienia ku sobie, ku wnętrzu dłoni. Kiedy się to stało, zrobił się niewidzialny dla siedzących przy nim; oni zaczęli rozmawiać tak, jak by go nie było. Zdziwił się i znowu namacawszy pierścień, obrócił nasadę kamienia na zewnątrz. Jak tylko ją obrócił, zrobił się widzialny. Zauważywszy to zaczął doświadczać swego pierścienia, czyby miał taką siłę i czyby mu się udawało, obracając nasadę kamienia ku środkowi, stawać się niewidzialnym, a jeśli na zewnątrz, widzialnym. Stwierdziwszy to, natychmiast się postarał, żeby go wśród posłańców wyprawiono do króla. Poszedł tam, żonę królowi uwiódł i razem z nią zamachu na króla dokonał. Zabił go i tron po nim objął.

Więc gdyby istniały takie dwa pierścienie i jeden by sobie na palec włożył człowiek sprawiedliwy, a jeden niesprawiedliwy, to nie znalazłby się chyba żaden człowiek taki kryształowy, żeby wytrwał w sprawiedliwości i nie śmiałby wyciągać ręki po cudze ani go tykać, chociażby mu wolno było, i z rynku bez obawy brać, co by tylko chciał, i do domów wchodzić, i obcować z kim by mu, się podobało, i zabijać, i z więzów uwalniać, kogo by tylko zechciał. I inne rzeczy robiłby między ludźmi będąc do bogów podobnym. Postępując tak, nie robiłby nic innego niż drugi? na jedno i to samo wychodziliby obaj. Przecież to wielkie świadectwo, mógłby powiedzieć ktoś, że nikt nie jest sprawiedliwy z dobrej woli, tylko z musu, bo sprawiedliwość to nie jest dobro dla jednostki, bo każdy, gdzie tylko myśli, że będzie mógł krzywdy wyrządzać bezkarnie, tam je wyrządza. Każdy człowiek uważa, że o wiele większy pożytek przynosi jednostce niesprawiedliwość niż sprawiedliwość. I słusznie tak uważa; to powie każdy, kto będzie myślał o tej myśli. Kto by dostał w ręce taką wolność, a nie chciałby nigdy żadnej krzywdy wyrządzać i nie tykałby tego, co cudze, wydawałby się ostatnim nędznikiem każdemu, kto by go widział, i ostatnim głupcem. Chwaliliby go ci, co się w żywe oczy nawzajem okłamują ze strachu przed doznawaniem krzywd. To już tak jest.

Mit "egipski" o dziwnej naturze pisma i o mowie żywej

Fajdros

SOKRATES. No więc, o tym artyzmie i braku artyzmu w mowach byłoby już dość!

FAJDROS. A pewnie.

SOKRATES. A tylko o pisaniu jeszcze, gdzie ono jest na miejscu a gdzie nie, jeszcze to zostaje. Prawda?

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. Wiesz ty, jakieś powinien na punkcie mów postępować i mówić, abyś się jak najwięcej bogu podobał?

FAJDROS. Zgoła nie; a ty?

SOKRATES. Słyszałem jedno podanie dawnych ludzi. Prawdę oni tylko sami znają. Gdybyśmy i my ją znali, czyby nam jeszcze zależało co na ludzkich sądach?

FAJDROS. Et, zabawne pytanie. Ale coś ty słyszał? Opowiedz!

SOKRATES. Słyszałem tedy, że koło Naukratis w Egipcie mieszkał jeden z dawnych bogów tamtejszych, któremu i ptak jest poświęcony, nazywany Ibisem. A sam bóg miał się nazywać Teut. On miał pierwszy wynaleźć liczby i rachunki, geometrię, astronomię, dalej warcaby i grę w kostki, a oprócz tego litery. Królem Egiptu całego był podówczas Tamuz, a panował w owym wielkim mieście w Górnym Egipcie, które Grecy nazywają Tebami Egipskimi, a boga nazywają Ammonem. Do niego tedy przyszedł Teut, nauczył go swoich sztuk i kazał mu je rozpowszechnić między innymi Egipcjanami. A ten pytał, jaki by każda z nich przynosiła pożytek, a potem, w

miarę, jak mu się słowa Teuta wydawały słuszne lub niesłuszne, jedno ganił, a drugie chwalił. O każdej sztuce miał Tamuz Teutowi wiele dobrego i wiele złego do powiedzenia, o czym długo byłoby opowiadać. Otóż kiedy doszli do liter, powiedział Teut do Tamuza: Królu, ta nauka uczyni Egipcjan mądrzejszymi i sprawniejszymi w pamiętaniu; wynalazek ten jest lekarstwem na pamięć i mądrość. A ten mu na to: Teucie, mistrzu najdoskonalszy; jeden potrafi płodzić to, co do sztuki należy, a drugi potrafi ocenić, na co się to może przydać i w czym zaszkodzić tym, którzy się zechcą daną sztuką posługiwać. Tak też i teraz: Ty jesteś ojcem liter; zatem przez dobre serce dla nich przypisałeś im wartość wprost przeciwną tej, którą one posiadają naprawdę. Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, ze znaków obcych jego istocie, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko środek na przypomnianie sobie. Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiedzą bowiem wielkie czytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrzy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę.

FAJDROS. Sokratesie! Jak ty łatwo układasz mowy egipskie I jakie: tylko chcesz, stąd i zowąd, SOKRATES. Toż mowa dębu w świątyni Zeusa w Dodonie miała pierwsza wyrocznie zawierać. Dawni ludzie nie byli tacy mądrzy jak wy młodzi;

w prostocie ducha umieli i dębu, i głazu posłuchać, byleby tylko prawdę mówić. Czyż ci nie wszystko jedno, kto to mówi i skąd on? Więc nie na to tylko patrzysz, czy tak jest naprawdę, jak on mówi, czy inaczej?

FAJDROS. Zamknąłeś mi usta; masz słuszność. I mnie się zdaje, że z literami to tak, jak ten Tebańczyk powiada.

SOKRATES. Nieprawdaz? Ten, co myśli, że sztukę w literach zostawia, i ten, co ją chce z nich czerpać, jak gdyby z liter mogło wyjść coś jasnego i mocnego, to człowiek bardzo naiwny i nie wie, co bóg Ammon powiedział, skoro myśli, że słowa pisane coś więcej potrafią, jak tylko przypomnieć człowiekowi, który rzecz samą zna, to, o czym pismo traktuje.

FAJDROS. Zupełnie słusznie.

SOKRATES. Coś strasznie dziwnego ma do siebie pismo, Fajdrosie, a prawdę rzekłszy, to i sztuka malarska.

Toż i jej płody stoją przed tobą, jak żywe, a gdy ich zapytasz o co? wtedy bardzo uroczyście milczą. A tak samo słowa pisane. Zdaje ci się nieraz, że one myślą i mówią. A jeśli ich zapytasz o coś z tego, o czym mowa, bo się chcesz nauczyć, one wciąż tylko jedno wskazują; zawsze jedno i to samo. A kiedy się mowę raz napisze, wtedy się ta pisana mowa toczyć zaczyna na wszystkie strony i wpada w ręce zarówno tym, którzy ją rozumieją, jak i tym, którym nigdy w ręce wpaść nie powinna, i nie wie, do kogo warto mówić, a do kogo nie. A kiedy ją fałszywie oceniają i niesłusznie hańbią, zawsze by się jej ojciec przydał do pomocy, bo sama ani się od napaści uchronić, ani jej odeprzeć nie potrafi.

FAJDROS. I to bardzo słuszne słowa.

SOKRATES. A gdyby tak inną mowę zobaczyć; rodzoną siostrę tamtej: jaka ona jest i o ile lepsza i więcej potrafi niż tamta.

FAJDROS. Jakaż to; jak ona się robi?

SOKRATES. Mistrz, który wiedzę posiada, pisze ją w duszy ucznia. Ona potrafi odpierać napaści i wie, do kogo mówić, a przed kim milczeć potrzeba.

FAJDROS. Mówisz o żywej, pełnej ducha mowie człowieka, który wiedzę posiada; mowa pisana, to Jej. mara tylko?

SOKRATES. Ze wszech miar; ale coś innego mi powiedz. Jeżeli rolnik ma rozum, a zależy mu na pewnym nasieniu i chciałby, żeby ono owoc wydało, to czy je rzuci podczas lata gdzieś w ogródku Adonisa i będzie się po ośmiu dniach cieszył, patrząc, jak to pięknie wschodzi, czy też na to sobie czasem tylko, jeśli w ogóle kiedy, i to dla zabawy pozwoli, od święta, a jeśli mu na którym nasieniu serio zależy to, jak mu sztuka rolnicza nakazuje, posieje je w grunt odpowiedni i będzie się cieszył, jeśli to, co posiał, po ośmiu miesiącach dojrzeje?

FAJDROS. Tak jest, Sokratesie; jedno będzie robił serio, a drugie inaczej? tak, jak mówisz.

SOKRATES. A cóż ten, który posiada wiedzę o tym, co sprawiedliwe i piękne, i dobre; czyżby on miał mieć mniej rozumu od rolnika, tam gdzie chodzi o jego własne nasiona?

FAJDROS. Bynajmniej.

SOKRATES. Więc i on nie będzie serio pisał tych rzeczy na płynącej wodzie, nie będzie piórem i atramentem siał słów, które za sobą słowa przemówić nie potrafią i prawdy nauczyć, jak należy.

PAJDROS. Nie będzie; z pewnością nie będzie.

SOKRATES. O nie! Ogrody z liter i słów dla własnej zabawy będzie obsiewał i pisał, jeżeli zechce; będzie sobie kaplicę osobistych pamiętek budował, aby do niej chodził, kiedy starość niepamięć przyniesie; on sam i każdy, który za nim pójdzie śladami. Rozkosz będzie miał patrzeć, jak te kwiaty kwitną, i kiedy inni w zabawach i ucztach, i innych tego rodzaju rzeczach odświeżenia szukają, on się tak, jak mówię, bawić potrafi całe swoje życie.

FAJDROS. Przecudną opisujesz zabawę wobec tamtej, podłej. Tak się móc bawić mowami: o sprawiedliwości i tych innych, jak mówisz, mity układać...

SOKRATES. Tak jest naprawdę, kochany Fajdrosie, tak jest. Ale znacznie piękniejsza poważna praca na tym polu, kiedy ktoś sztuki dialektyki zażywa, a weźmie duszę zdolną i umiejętnie w niej zasadzi i posieje mowy, które i sobie samym, i swojemu siewcy pomóc potrafią, a nie zmarnieją bez plonu, bo jest w nich nasienie, z którego nowe mowy w rozmaitych typach ludzkich rosną, i ono nie umiera nigdy, a takie szczęście daje człowiekowi, jakiego tylko tu dostąpić można.

FAJDROS. O wiele to piękniejsze jeszcze, to, co teraz mówisz.